

DLACZEGO TUSK STRASZY POLAKÓW WOJNĄ?
O RAPORCIE CIA, KTÓREGO NIE BYŁO



BRONISŁAW WILDSTEIN: KŁOPOT Z FASZYZMEM

KACPER PŁAŻYŃSKI: POROZUMIENIE NA PRAWICY BĘDZIE MOŻLIWE



„GAZETA WYBORCZA" MUSI PRZEPROSIĆ ZA KŁAMSTWA O KS. JANKOWSKIM

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

40 (722) 2026
28 IX – 4 X 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

AWANTURA O „LALKĘ"

GŁOŚNY SERIAL PODZIELIŁ POLAKÓW. NASZ WERDYKT JEST JEDNOZNACZNY: TANIA PROWOKACJA, DEMOLOWANIE KLASYKI, WYPACZANIE SENSU POWIEŚCI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 40
Numer w sprzedaży do 5 X 2026 r.

E-WYDANIE SIECI HISTORII

GRY o TRON

dla subskrybentów W PREZENCIE!



- 13 nietypowych lekcji historii
- kulisy panowania ostatnich królów Polski
- pasjonujące historie wielkich kobiet
- polskie militaria, które zasłynęły na wojennych frontach

E-PRENUMERATA SIECI + wPolityce.pl Premium 50% TANIEJ

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

WEJDŹ NA:

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl b306bac7a5

Tusk szuka swojej Albanii

Zbliżają się amerykańskie wybory prezydenckie. Ubiegająca się o reelekcję głowa państwa dwa tygodnie przed elekcją zostaje przyłapana w dwuznacznej sytuacji z nieletnią harcerką w Gabinecie Owalnym. Skandal, a więc także porażka wiszą w powietrzu. Zbiera się sztab kryzysowy. Ściągnięty zostaje znakomity spin doctor, by odwrócić uwagę odbiorców mediów. Recepta? Zrobimy wojnę! Przekonamy obywateli, że musimy się zaangażować w konflikt zbrojny daleko od domu, by odegrać rolę światowego strażnika wolności i demokracji. Wybór pada na Albanię. Dlaczego? „Bo nikt nie wie, gdzie leży Albania" – wyjaśnia tę prostą receptę szarlatan od mediów. I dzwoni do hollywoodzkiego producenta, który ma tę wojnę wyreżyserować.

Ten robi to z powodzeniem. Amerykanie dostają historię napakowaną wzruszającymi wątkami bohatera, porzuconego w Albanii za linią wroga (wyrzucony „jak stary but", co stanie się kanwą jednoczącej naród piosenki „Good Ol' Shoe"), czy uciekającej przed zagrożeniem dziewczynki, niosącej na rękach słodkiego kotka (pamiętają Państwo historie „naszego" Ibrahima z granicy z Białorusią czy kotka, który razem z migrantami miał przywędrować do nas aż z Afganistanu?).

To oś fabuły filmu „Fakty i akty" Barry'ego Levinsona sprzed blisko 30 lat. Gwiazdorska obsada (De Niro, Hoffman, Dunst, Harrelson), świetna muzyka Marka Knopflera, kapitalny humor i oczywiste nawiązania do skandalu z Billem Clintonem sprawiają, że to jedna z moich ulubionych produkcji z lat 90. Po latach, przy dzisiejszym zalewie fake newsów i piętrowych operacji, można wręcz odnieść wrażenie, że ten obraz staje się jeszcze bardziej aktualny.

A przypomniał mi się on w ostatnich dniach, gdy trudno oprzeć się wrażeniu, że Donald Tusk też chce, byśmy uwierzyli w wojnę. W tę, która dopiero nadejdzie. Już za chwilę, wszak czyha za rogiem. A może nawet już się zaczęła?

Polski premier w obliczu kolejnych afer i topniejącego poparcia też szuka swojej Albanii. Daleki jestem od lekceważenia zagrożenia rosyjskimi prowokacjami, ale przecież gdyby faktycznie miały one tak szybko przerodzić się w konflikt zbrojny, szef rządu pewnie zrobiłby coś więcej poza powtarzaniem przestróg. Po więcej argumentów odsyłam Państwa do znakomitej analizy obnażającej tę strategię pióra Piotra Gursztyna na kolejnych stronach „Sieci", który dobitnie rozprawia się z zerową wiarygodnością Tuska.

Od siebie dorzucę jeszcze jeden element. Otóż Polacy dużo łatwiej uwierzyliby w tę nadchodzącą wojnę, gdyby premier w swojej postawie wobec Rosji był konsekwentny. A nie jest. Bo w czasie swoich pierwszych rządów był prorosyjskim gołębiem, który – czy samodzielnie, czy na rozkaz Berlina – chciał Putina ucywilizować i otwierał mu wszystkie drzwi, których otwarcia gospodarz Kremla sobie zażyczył.

Nie wiedział, z kim ma wówczas do czynienia? Pierwszą podróż do Moskwy (w lutym 2008 r.) odbył co prawda jeszcze przed inwazją na Gruzję (Rosja zaatakowała państwo Saakaszwilego kilka miesięcy później, dokładnie w dniu otwarcia igrzysk olimpijskich w Pekinie, nic to nie zmieniło w polityce wschodniej Tuska), ale mieliśmy wszak świeżo w pamięci dwie wojny czeczeńskie. Aby mieć pretekst do tej drugiej, FSB wysadziła bloki mieszkalne z własnymi obywatelami, zginęło ponad 300 osób. Dla nikogo na Zachodzie nie było to tajemnicą, wszak dowiedzieliśmy się o tym od Aleksandra Litwinienki, byłego funkcjonariusza FSB, dla którego mordowanie rodaków przez władze, by wtargnąć do Czeczenii, było przekroczeniem nieprzekraczalnego. Litwinienko zapłacił za to życiem, zakończonym w męczarniach wskutek otrucia polonem. Jeden z tych, którzy poczęstowali go w Londynie radioaktywną herbatą – Andriej Ługowoj – został zresztą później, jak gdyby nigdy nic, deputowanym do Dumy (trzy miesiące przed wizytą Tuska w Moskwie).

Mimo tego wszystkiego operacja resetu trwała w najlepsze.

Po 1989 r. nikt nie próbował zbliżyć Polski z Rosją tak jak Tusk. Dlatego (jak również z powodu ruiny prawno-gospodarczej, którą z takim zapałem funduje Polsce) jest on ostatnim politykiem, który ma jakąkolwiek wiarygodność w stawianiu Moskwie realnej tamy i uchronieniu nas przed jej agresją.

Marek Pyza



Autopromocja

eprasa.pl b306bac7a5

SIECI spis treści



28 Uzda Trumpa na Tuska
Stanisław Janecki



38 Po nas choćby potop!
Dariusz Matuszak



59 W dziczy i Hollywood
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **JAK VON DER LEYEN KIBEL WŁODKOWI INSTALOWAŁA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROLNIKU, CZAS NA HAUTE COUTURE!**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ORĘDZIE O STANIE UNII URSULI VON DER LEYEN, CZYLI JAK WCISKAĆ KLIMATYCZNY PEDAŁ GAZU, MÓWIĄC PASAŻEROM, ŻE SIĘ HAMUJE**
Daniel Obajtek

13 **ODWRÓCONY GLOBUS?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA SZYMONA SZEREDY**
Michał Korsun

16 **CZARZASTY NA POLU BEZ KIBLA!**
Jan Pietrzak

16 **EDYCJA PRZESZŁOŚCI**
Samuel Pereira

17 **REPARACYJNA SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NIEMIECKU**
Arkadiusz Mularczyk

18 **DWA SŁOWA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **ŁĘCKA Z BEJSBOLEM**
Maciej Walaszczyk

24 **NAJWIĘKSZE KŁAMSTWA SERIALOWEJ „LALKI”**
Stanisław Płużański

KRAJ

28 **UZDA TRUMPA NA TUSKA**
Stanisław Janecki

31 **POLSKA MUSI PRZEWODZIĆ**
Z George'em Friedmanem rozmawia Jacek Karnowski

35 **RAPORT, KTÓREGO NIE BYŁO**
Piotr Gursztyn

38 **PO NAS CHOĆBY POTOP!**
Dariusz Matuszak

41 **POROZUMIENIE NA PRAWICY BĘDZIE MOŻLIWE**
Z Kacprem Płażyńskim rozmawia Jerzy Szmit

44 **SĄDOWA PRAWDA O MEDIALNEJ EGZEKUCJI**
Marzena Nykiel

OPINIE

47 **KŁOPOT Z FASZYZMEM**
Bronisław Wildstein

ŚWIAT

51 **W JAKI SPOSÓB ROSJANIE MOGĄ ZAATAKOWAĆ NATO**
Marek Budzisz

54 **LICENCJA NA ZABIJANIE**
Grzegorz Górny

56 **METODA MELONI**
Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

59 **W DZICZY I HOLLYWOOD**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **ANI PACYFIZM, ANI MILITARYZM**
Maciej Walaszczyk

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

64 **KROKODYLE W EUROPIE**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: JASIEK PIWOWARCZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **SUWERENIZM**
Robert Tekieli

70 **TUSK NIE ODPUSZCZA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **JAD**
Aleksander Nalaskowski

73 **HERRENVOLK**
Ryszard Czarnecki

74 **CYFROWA DŻUMA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl b306bac7a5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak von der Leyen kibel Włodkowi instalowała

Włodzimierz Czarzasty przyznał, że przed przystąpieniem Polski do Unii musiał „srać w polu". I dlatego „jak słyszy, że Unia Europejska jest złem, to mu się chce rzygać". Pewnie ze strachu, że jeśli Ursula von der Leyen się o tym dowie, to mu kibel zabierze.

Pośród dobrodziejstw, które nam zapewniła, marszałek polskiego Sejmu wymienił zmianę zapachów w toaletach publicznych: „Pamiętacie te śmierdzące moczem kible?". To miała być jedna z cech reprezentatywnych naszego kraju przed przystąpieniem do UE, wymieniona przez Czarzastego obok stanu dróg, hoteli, sklepów „i wszystkiego". Dlatego: „Dobrem jest Unia Europejska".

Oto streszczenie mowy lidera Lewicy na jej ostatniej konwencji. Powstrzymując wymioty, ogłosił on, że „jeżeli ktoś uważa, że Unia Europejska jest złem, to albo jest z PiS-u, albo jest z Konfederacji, albo jest od Nawrockiego, albo jest idiotą".

Te głębokie przemyślenia formalnie drugiej osoby w państwie polskim warte są analizy. Wbrew pozorom bowiem wystąpienie to w pełni oddaje mentalność establishmentu III RP, którego Czarzasty jest idealnym wcieleniem.

Jest prawdziwym demokratą i dlatego ogłasza, że ktoś, kto głosuje na opozycję, jest idiotą, bo dokładnie to oznacza ostatnie z jego przytoczonych zdań. A jego stosunek do UE głębią uzasadnień na jotę nie różni się od tego, czym karmią nas prounijne media i politycy, a także ich intelektualne zaplecze. Rozumowanie polega na zestawieniu stanu Polski przed przystąpieniem do Unii i niewątpliwego materialnego postępu, który nastąpił w latach późniejszych, co zostaje przypisane błogosławionemu działaniu Brukseli. Nawet eliminację odoru moczu w kiblach publicznych zawdzięczamy UE. Niestety, położenie to nie jest trwałe, bo obrażona Bruksela może pozbawić nas darów, a to oznacza nawrót warunków sprzed paru dekad, w tym likwidację kibli. Nie dziwmy się zatem odruchom Czarzastego.

W swoim wystąpieniu rozpędził się tak, że dobro, którym obdarzyła nas Bruksela zestawia z rzeczywistością sprzed 30 lat. Biorąc pod uwagę, że jej niedomogi zawdzięczaliśmy wcześniejszym rządom Czarzastego i jego komilitonów z PZPR, jego wystąpienie nabiera dodatkowego znaczenia.

Duchowy Ojciec Czarzastego, Mieczysław F. Rakowski – jeden z bardziej prominentnych działaczy PZPR, m.in. redaktor naczelny „Polityki", która otoczona szacunkiem z dumą kontynuuje dziś swoją lewicową drogę – mawiał często, że gdyby nie komunizm, to zamiast robić polityczną karierę pasałby krowy. Myślałem wówczas, że to kolejny argument przeciw tamtemu systemowi, gdyż opieka nad bydłem czy trzodą byłaby zajęciem ze wszech miar bardziej właściwym dla Rakowskiego niż nadzorowanie Polaków, a z pewnością przyniosłoby im więcej pożytku. Teraz również zdałem sobie sprawę, że defekować Czarzasty powinien raczej w polu niż w polskim Sejmie.

Poważnie natomiast mówiąc, prezentuje on z gruntu fałszywy typ uzasadniania, który ma jakoby dowodzić przewag UE. Słyszymy, że gdyby nie ona, to Europa zostałaby już zniszczona przez wojny między stanowiącymi ją krajami, co wydaje się zupełnie nie przystawać do rzeczywistości. Urzędnicy unijni, deklarujący swoją sprawczość w tej mierze, przypominają chrząszcze z bajki Ezopa, które, siedząc na kołach wozu, głosiły, że to one wprawiają go w ruch.

Polska rozwinęła się po upadku komunizmu. Przystąpienie do UE pewnie jej w tym nieco pomogło, ale nie poprzez fundusze strukturalne, którym – obok realnych, chociaż mało znaczących korzyści – towarzyszyły patologie związane z ich przyznawaniem. Znaczącą rolę odegrał natomiast wspólny rynek, co nie znaczy, że nie mógłby on w istotnej części funkcjonować bez UE. Nie jest to zresztą zjawisko stabilne, lecz proces, który obecnie UE bardziej blokuje, niż intensyfikuje. W prounijnej propagandzie nie uświadczymy jednak nawet cienia refleksji. Bruksela dała nam wszystko, a von der Leyen zafundowała Czarzastemu kibel.

Służy to wytwarzaniu – niestety do pewnego stopnia skutecznie – służalczo-niewolniczej postawy Polaków. Sami nic nie znaczymy, nic nie potrafimy i bez reszty zależymy od łaski jaśniepaństwa.

Podejście takie jest typowe dla aparatczyków PZPR. Bez reszty podporządkowani byli zwierzchnikom w partyjnej hierarchii, a ona sama Moskwie. Komunizm kultywował folwarczną mentalność. Będziemy posłuszni, to jaśniepani postawi wygódkę, zezłości się, to każe ją rozebrać. Dlatego należy całować ją po rękach.

Nomenklatura PZPR zmieniła patronów, ale nie stosunek do nich. To ona ukształtowała etos III RP. Jej siły polityczne są uniżone wobec swoich zachodnich mocodawców, a żywią pogardę do zwykłych Polaków. Według nich gdyby nie Unia siedzielibyśmy w prasłowiańskich gaciach na przyzbie, pędzili samogon i kręcili kołowrotkiem. No i sralibyśmy w polu.

Jeśli Polacy w to uwierzą, to przyjmować będą bez sarkania dowolnych namiestników z Brukseli i Berlina, byle jaśniepaństwo się nie zezłościli. I nie zabrali kibla.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b306bac7a5



Sygnalista nadaje

Trump zagarnął Grenlandię! Duńczycy skapitulowali. Wiecie, czyja to wina? Tygryska. ***Władysława Kosiniaka-Kamysza***. Podczas pierwszej próby trumpowskiej inwazji na rdzennie duńską Grenlandię posiłki wojskowe wysłało wiele europejskich krajów. Pan Premier Donald Tusk również chciał wysyłać nasze wojsko na odsiecz udręczonym Eskimosom. Odwiódł go od tego szlachetnego zamiaru Władek. Dlaczego? Bo zwąchał się z amerykańską soldateską. Imponują mu tacy brutale jak niejaki Hegseth, typ pokryty dziarami od stóp do głów. Wyobrażacie sobie, jak Władek będzie wyglądał, gdy też zrobi sobie takie dziary?

Islandia stracona, Grenlandia przepadła, ale niech demokraci nie tracą nadziei. Jeśli chodzi o geopolitykę, limitrofy, pivoty i inne takie trudne słowa, to Trump zaraz znajdzie się w potrzasku. Kanada dołączy do Unii Europejskiej. Niektórzy już nawet zamieszczają mapy w internetach. Wszystko w kolorze niebieskim – od Vancouver po Bukareszt. Fajny pomysł, dobrze, by również Kanadyjczycy doświadczyli dobrodziejstw ETS, paktu migracyjnego i umowy z Mercosur. Dobrą nauką dla nich będzie też wysłuchiwanie przemówień Ursuli von der Leyen.

Dobra, koniec z błahostkami. Czas na rzeczy naprawdę ważne. Pan Premier Donald Franciszek znalazł czas i obejrzał na Netfliksie nową wersję „Lalki". Wszystkie odcinki, choć są dość długie. „Kocham »Lalkę« Prusa, podoba mi się serial, a najbardziej cieszę się, że cały niemal naród dyskutuje o książce i jej adaptacji. Każdy ma prawo do swojej oceny, tylko błagam: nie pozabijajmy się przy tej okazji" – zaszczycił nas taką uwagą. Oczywiście, kochani, nie pozabijajcie się. Moc zabijania trzeba zachować na pisiorów i tych wszystkich, którzy głosowali na tego Nawrockiego z Gdańska (jemu na pewno nowa „Lalka" się nie podobała).

No i fajnie, że Pan Premier potrafi tak zorganizować sobie pracę, że ma czas i na oglądanie seriali, i na przeglądanie albumów z malarstwem, i na zabawy z wnukami. Morawiecki i Szydło tak nie potrafili. Oni rozumieli, że przyszłością jest czterodniowy tydzień pracy. A nawet krótszy, bo Pan Premier Donald Franciszek osobiście uczestniczy w specjalnym programie pilotażowym, w którym tydzień pracy liczy trzy dni.

Rating-srating, Moody-srudi. Nie przejmujcie się tym, że ktoś obniżył rating naszemu krajowi. To chamska prowokacja wymierzona w Polskę Uśmiechniętą. Dla nas, demokratów walczących, dług publiczny może być jeszcze nawet 10 razy większy. Byleby PiS nie rządziło. Demokracja walcząca sama się wyżywi. A tym z Moody-srudi to śpiwory możemy wysłać.

Poza tym to wina tego Nawrockiego z Gdańska. Jak wszystko zresztą. Poza tym, kogo interesuje jakiś głupi deficyt? A o ministrze Domańskim ładnie napisała „GW": „Rada uznała, że rząd wydaje dużo za dużo pieniędzy, dług państwa rośnie, co Ministerstwa Finansów nie interesuje, a sam minister nie pokazuje, jak ten problem zatrzymać, bo wychodzi z założenia, że o tym, co będzie jutro, pomyśli się jutro". Słusznie! Jutro też jest dzień.

Tajemnicza sprawa! Jedna z tych tajemnic jak Trójkąt Bermudzki,

eprasa.pl b306bac7a5

potwór z Loch Ness albo rysunki na pustyni Nazca. Czy toczą się rozmowy między Nową Lewicą a Razem w sprawie wspólnego startu w wyborach parlamentarnych? Z jednej listy, na której będzie partia rządowa i partia opozycyjna. Otóż tego również nie wiadomo. Identycznie jak z yeti – każdy słyszał, nikt nie widział. Razem mówi, że idzie osobno. Wprawdzie to niezgodne z nazwą partii, ale zgodne z lewicową logiką. Bo jak iść do wyborów z Nową Lewicą, która ani nie jest nowa, ani zbyt lewicowa?



Jeszcze o lewicy: znacie Wiktorię Grelewicz, osobę działacką i lewicową? To osoba asystencka marszałka WC, bardzo przez niego lansowana. Młoda blondyna, więc źli i nieodpowiedzialni ludzie gadają głupie rzeczy. I jeszcze próbują na nią napuścić osobę polityczną starszego pokolenia, Annę Marię Żukowską. Nie słuchajcie tych złych języków i nie wierzcie im. Na lewicy takie rzeczy się nie dzieją. To, że Anka Maryśka nie chciała przyjąć Wiktorii do pracy w Sejmie, jeszcze nic nie znaczy. Zwłaszcza że w końcu została przyjęta, tyle że przez kogoś innego.



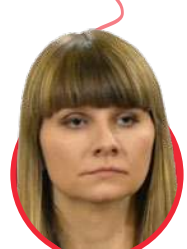
Będziecie zaskoczeni, ale musimy skrytykować marszałka ***Czarzastego Włodzimierza***. Zawiódł nas. Przeprowadził haniebny atak na pamięć Polski Ludowej. „Pamiętacie jak nasz kraj, Polska, wyglądał 30 lat temu? No po prostu jaka była infrastruktura, jakie były drogi, jakie były hotele, jakie były sklepy, jak to wszystko wyglądało. Pamiętacie stacje benzynowe? Pamiętacie te śmierdzące moczem kible? To wszystko było 30 lat temu. Dotykaliśmy tego. Młode pokolenie w tej chwili nie zna tego, i dobrze. Jest szczęśliwe, i dobrze. Nigdy wam tego nie życzę, młodemu pokoleniu, bo też je widzę na tej sali. Jak ja słyszę, że Unia Europejska jest złem, to mi się rzygać chce" – przemawiał do elektoratu w Będzinie, czyli Czerwonym Zagłębiu. To po co on wstępował w 1983 r. do PZPR? Żeby teraz opluwać socjalizm i jego osiągnięcia?



Kolejne zmartwienie. „Sypie się zespół śledczy do spraw Zondacrypto" – pisze fanzin Silnych Razem, czyli „Gazeta Wyborcza". Według doniesień „GazWybu" zrezygnowała kolejna osoba prokuratorska. „Trwają poszukiwania następców" – czytamy. Dziwna sprawa. Czy odpolitycznione i niezależne osoby prokuratorskie nie chcą awansować? Bo chyba nie wierzą w to, że jesienią przyszłego roku zmieni się władza.



Prokuratorzy powinni zająć się sprawą lekarza ***Kacprzyka Dawida***. Ale nie tak, jak oczekują tego oszalali z nienawiści prawaccy hejterzy. Powinni zająć się tymi, którzy prześladują pana Kacprzyka, doktora Judyma naszych czasów. Nowa kampania nienawiści rozgorzała po tym, jak zostało opublikowanych kilka spokojnych i rozsądnych opinii pana Kacprzyka. Np. to, że ma w d... całą tę pseudoaferę. Prawdziwym skandalem jest również to, że pan Kacprzyk nie może jeździć swoim ukochanym autkiem, Porsche Panamera, na które zarobił ciężką i uczciwą pracą, gdyż – jak stwierdził – znów będzie obmawiany przez zawistnych nieudaczników życiowych. W Tenkraju ludzie sukcesu – tacy jak pan doktor – mają ciężkie życie.



Bartek Sienkiewicz, niezapomniany minister kultury, twórca Telewizji w Likwidacji, koneser dobrych i niedobrych trunków, zaszokował opinię publiczną. Stwierdził, że ten Nawrocki z Gdańska, który pełni funkcję domniemanego prezydenta, powinien być pozbawiony wypłacanej mu pensji. „Jak nie realizuje swojej funkcji, to właściwie powinien stracić pensję" – stwierdził Bartek. Wszyscy demokraci w szoku. Zwłaszcza Silni Razem. Jak to pozbawić pensji tego Nawrockiego z Gdańska? To on ma pensję? ***Domański*** do dymisji!

Jeśli chodzi o Bartka i dzieło jego życia, czyli Telewizję w Likwidacji, to czytamy, że w TVP zabrakło na wypłaty. „Wygląda to tak, jakby w firmie po prostu skończyły się pieniądze. Jeszcze nigdy nie było takiej sytuacji i powtarzają to wszyscy współpracownicy o wieloletnim stażu. Sporo osób nie dostało pieniędzy" – opowiadają osoby zatrudnione w Telewizji w Likwidacji. Spieszymy z wyjaśnieniami, jak demokratyczna opinia publiczna powinna to rozumieć. Wersja A: rząd spełnia swoje obietnice i likwiduje Telewizję w Likwidacji. Wersja B: to wina tego Nawrockiego z Gdańska. Jak zwykle zresztą. Wstępnie rekomendujemy wersję B, ale na dokładniejsze instrukcje prosimy jeszcze czekać.

Udała nam się Rzecznik Praw Dziecka ***Monika Horna-Cieślak***. Jest tak dobra jak Rzecznik Praw Obywatelskich (ta nowa, zapomnieliśmy jej nazwiska, ale to dobra demokratka). Planeta płonie, posiadanie dzieci niszczy ją jeszcze bardziej, więc Monika reaguje na fakt niepotrzebnego posiadania potomstwa. Pamiętamy ją z brawurowej akcji, gdy dojechała lodziarnię z Pszczyny za to, że ta rozdawała nieletnim lody (niezgodne z zasadami diety planetarnej). Teraz Monika dojechała jakąś babę z Białołęki, która nie uszanowała jej godności urzędowej i pyskowała do niej. Zabrała jej bachory. Za dużo ludzi w Tenkraju niegrzecznie wyraża się o czołowych postaciach strony demokratycznej. Warto wyciągnąć szersze wnioski z tego, co zrobiła Monika.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Ludmyla Skwarczyńska x2

eprasa.pl b306bac7a5

WIEŻA BAB

Rolniku, czas na haute couture!

Nareszcie! Polskie rolnictwo doczekało się reformy, na którą wszyscy czekaliśmy. Żadnych nudnych rozmów o cenach skupu, dopłatach, kosztach nawozów, imporcie, eksporcie, suszy czy opłacalności produkcji. Koniec z tym przaśnym myśleniem. Polska wieś wkroczyła właśnie w świat wielkiej mody!

A przynajmniej takie można odnieść wrażenie po ubiegłotygodniowym wieczorze w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi. W gmachu przy ul. Wspólnej, gdzie za dnia urzędnicy zajmują się sprawami polskich rolników, wieczorem pojawiły się modelki, celebryci, światła i najnowsza kolekcja duetu Paprocki & Brzozowski.

Proponuję, aby resort rolnictwa wprowadził nowy program: „Moda dla polskiej wsi". Rolnik wyjeżdża w pole? Oczywiście w kreacji Paprocki & Brzozowski. Orka? Marynarka oversize

Resort uspokaja, że nie organizował pokazu. Minister Stefan Krajewski wyraził zgodę na komercyjny wynajem przestrzeni, ale sam nie uczestniczył w wydarzeniu. Ministerstwo zapewnia również, że nie wydało na imprezę ani złotówki z budżetu państwa czy funduszy promocji. Przeciwnie, Skarb Państwa miał zarobić na wynajmie państwowej przestrzeni. A zatem mamy sukces. Państwo zarobiło, projektanci pokazali kolekcję, celebryci mieli gdzie zrobić zdjęcia, a polskie rolnictwo dostało coś bezcennego: modowy lifting.

Dość już patrzenia na rolnika jak na człowieka w ubłoconych butach, który o piątej rano jedzie traktorem na pole. To stereotyp, który najwyraźniej trzeba było przełamać. Nowoczesny polski rolnik powinien być przecież trendy. Dlatego proponuję, aby resort rolnictwa od razu wprowadził nowy program: „Moda dla polskiej wsi". Rolnik wyjeżdża w pole? Oczywiście w kreacji Paprocki & Brzozowski. Orka? Marynarka oversize. Żniwa? Szerokie spodnie i obowiązkowo minimalistyczny top. Dojenie krów? Haute couture. Zbiór ziemniaków? Stylizacja inspirowana „naturalnym pięknem polskiej ziemi". A na kombajn – coś bardziej odważnego. Gumofilce można oczywiście zachować, ale tylko jako element vintage. Bo po co nam rolnik wyglądający jak rolnik, skoro możemy mieć rolnika wyglądającego jak człowiek z pierwszego rzędu warszawskiego tygodnia mody? Przynajmniej tak można odczytać przekaz płynący z ministerstwa rolnictwa.

Resort ma jeszcze inny mocny argument na obronę pokazu. Podczas wydarzenia przygotowano strefę promocji polskiej żywności. Były jabłka, sery i miody. I tu naprawdę trudno nie docenić geniuszu strategii. Polscy rolnicy przez lata zastanawiali się, jak dotrzeć ze swoimi produktami do konsumentów. Tymczasem rozwiązanie było banalnie proste. Wystarczy postawić jabłko obok modelki. Nagle jabłko przestaje być zwykłym owocem – staje się produktem premium. Być może nawet apple couture. Ser? Artisanal dairy experience. Miód? Golden honey concept.



Najciekawsze jest jednak to, co z tego wszystkiego ma mieć polski rolnik. Ministerstwo mówi: promocję polskiej żywności. Tyle że rolnik może mieć pewien problem z dostrzeżeniem związku pomiędzy pokazem mody a jego codziennością. Bo kiedy on rano wsiada na ciągnik, raczej nie myśli o tym, czy jego kolekcja na sezon jesień-zima jest zgodna z najnowszymi trendami. Myśli o cenie paliwa. Kiedy sprawdza pogodę, nie zastanawia się, czy tej jesieni modne będą szerokie spodnie. Gdy chce sprzedać żywność, nie pyta o moodboard. Kiedy patrzy na rachunek za środki produkcji, raczej nie krzyczy z zachwytu: „Wow! Jakie piękne wykończenie!". A pokaz mody w ministerstwie raczej nie zwiastuje nadejścia „nowej polskiej wsi". Rolnik wciąż będzie jeździł traktorem, zamiast wchodzić w nowy sezon. Będzie zbierał jabłka, a nie kompletował jesienną kolekcję. Będzie produkował miód, a nie tworzył złotą linię premium, krowy zaś wciąż będą w oborze, a nie w lifestylowej przestrzeni dla bydła. Rolnik może i chciałby wyglądać jak Paprocki i Brzozowski (choć głęboko w to wątpię), tyle że o piątej rano musi nakarmić zwierzęta i wywieźć obornik. A tego, zdaje się, najnowsza kolekcja jesień-zima nie przewiduje.

Dorota Łosiewicz

RUDY i BRUDY

Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Wytresowany elektorat

Adam Stópka, rzecznik najlepszego rządu w historii Tenkraju, stał na baczność przed premierem Ronaldem Kłem.

– Czy przygotowałeś, mój rzeczniku, najważniejsze wydarzenia minionego tygodnia? – zapytał Kieł, który wymyślił, jak spędzać więcej czasu na oglądaniu swoich rolek w internecie. Rządzenie Tenkrajem było zajęciem nudnym i ilekroć zabierał się do czytania poważniejszych opracowań, natychmiast zasypiał. Wpadł zatem na to, by cotygodniowy raport przygotowywał mu Stópka. Chłopak wierny, ale żaden inteligent, więc to, co przygotuje, też nie będzie zbyt mądre, czyli akurat w sam raz.

– Oczywiście, Kierowniku! – Stópka trzasnął obcasami. – Przygotowałem raport. Po pierwsze, Pomarańczowy ogłosił na Igreku, że w Tenkraju będzie stała baza amerykańskich wojsk, i że robi to tylko dlatego, że lubi prezydenta Rocky'ego.

– Ło matko – jęknął Kieł.

– Po drugie, jakaś ważna agencja obniżyła rating kredytowy Tenkraju ze względu na nasz wysoki deficyt budżetowy – kontynuował Stópka.

– Ajajaj – Kieł jęknął po raz drugi.

– Po trzecie, nasz niezawodny system ostrzegania esemesowego zawiódł i wysłał niepotrzebnie informacje o zagrożeniu do mieszkańców ściany wschodniej. – Głos rzecznika nie zadrżał ani na chwilę.

– Fuuuuck... A nie, oni głosują przeważnie przeciwko nam, więc dobrze im tak – powiedział premier, szukając pozytywów tam, gdzie w zasadzie pozytywów być nie może.

– Po czwarte, wrogie media odkryły, że ten nasz dobrze zapowiadający się młody lekarz ze Szpitala Południowego pracuje w podmiejskiej placówce. – Stópka czytał głośno i wyraźnie. – No i jak go zapytali o samopoczucie, to odpowiedział, że ma wszystko w du...

– Piekło urządzają młodemu człowiekowi, który chciał tylko w dobrym stylu wejść w dorosłość – przerwał mu Kieł. – Po prostu zazdroszczą, że chłopaka stać na niezły samochód.

– Po piąte, w Ministerstwie Rolnictwa odbył się pokaz mody i wszyscy piszą, że to gruba przesada – zaraportował Stópka, nie zmieniając tonu.

– Eee, dlaczego? – zdziwił się premier. – Przecież każdy ma prawo do pięknego stroju. W ten sposób ministerstwo wpisuje się w program „Damy i wieśniaczki". Niesiemy kaganiec sztuki do wiejskich izb!

– Rolnicy mówią, że woleliby tańsze paliwo – zauważył rzecznik. – Poza tym mówi się chyba kaganek, a nie kaganiec...

– Ty mnie, Stópka, nie wkurzaj – warknął Kieł. – Ja lepiej wiem, jak się mówi archaicznym językiem, bo oglądałem nową „Lalkę" w Netfliksie. Zresztą słowo „kaganiec" pasuje do moich rządów znacznie lepiej niż „kaganek". A na ceny paliwa nie mam żadnego wpływu. Jakbym miał, to dzisiaj benzyna byłaby po 5,19.



Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

Gdy Ronald Kieł otwierał usta, by wyjaśnić, dlaczego nie ma wpływu na ceny benzyny, do gabinetu wpadła Justyna Szop-Pracz, gwiazda telewizji w likwidacji, wymachując elegancką torebką.

– Panie premierze, to skandal! – krzyknęła od progu.

– Co skandal? – zapytał Kieł.

– Ten pokaz mody – wyjaśniła zasapana.

– Dlaczego, Justyno? I ty przeciwko nam? – zdziwił się premier.

– Nie jestem przeciwko nam, jestem przeciwko temu, że nikt nie pomyślał, by zaprosić na wybieg piękną właścicielkę cudownych nóg... – Szop-Pracz zatrzepotała rzęsami i dyskretnie podciągnęła minispódniczkę, odsłaniając uda.

Kieł spojrzał na nogi dziennikarki i nozdrza mu zadrżały.

– Wyciągnę wobec winnych poważne konsekwencje. To się może nawet skończyć dymisją – rzekł gardłowym głosem, patrząc w szeroko otwarte oczy Szop-Pracz.

Coś niewypowiedzianego wisiało w powietrzu, ale przerwał to beznamiętny głos Stópki.

– Po szóste, najnowszy sondaż opinii publicznej pokazuje, że nasze notowania wciąż utrzymują się na poziomie 30 proc. – skończył wyliczankę rzecznik i schował kartkę z raportem w kieszeni.

Ronald Kieł popadł w zadumę. Po chwili wzniósł dłoń, podkreślając, że powie coś bardzo ważnego.

– Mój drogi, Stópko – zaczął uroczyście – najpierw wymieniłeś pięć rzeczy, które dla każdego rządu są w zasadzie dyskwalifikujące. A następnie mówisz, że mimo to nasze notowania ani drgną. Czy wiecie, co to znaczy?!

Szop-Pracz i Stópka pokręcili przecząco głowami i ze skupieniem wpatrywali się w rozjaśnioną twarz premiera.

– Otóż to znaczy, że nasi wyborcy cierpią na syndrom sztokholmski! – wypalił Kieł.

– Nie rozumiem – przyznała Szop-Pracz.

– Oni też nie rozumieją! – zarechotał premier i dumnie wypiął pierś. – Ale nie muszą rozumieć, są już po prostu wytresowani.

MuMa

eprasa.pl b306bac7a5



Grenlandia

Koniec sporu o wyspę

Stany Zjednoczone, Dania i reprezentanci Grenlandii podpisali porozumienie w sprawie wyspy, które – zdaniem Donalda Trumpa – kończy okres wzajemnych sporów i kontrowersji. Według premier Danii Mette Frederiksen umowa wzmocni bezpieczeństwo w Arktyce, a premier Grenlandii Jens-Frederik Nielsen zapewnił, że uwzględnia ona grenlandzkie interesy.

W światowych mediach pojawiły się głosy, że nowa umowa po prostu potwierdza amerykańskie prawa zapisane w porozumieniu z 1951 r. W takim ujęciu trudno by było w ogóle mówić o jakimkolwiek sukcesie Trumpa, a deklaracje amerykańskiego prezydenta powinny być traktowane w kategoriach chwytu przedwyborczego.

Trump zaznacza, że nowe porozumienie pozwoli Stanom Zjednoczonym na ustanowienie znaczącej obecności wojskowej na Grenlandii, ale tego rodzaju uprawnienia były już zapisane w umowie z 1951 r. Dwa tygodnie temu amerykańscy żołnierze przeprowadzili rekonesans na dawnym lotnisku wojskowym w Narsarsuaq. Umowa blokuje również uzyskanie strategicznego dostępu do wyspy geopolitycznym rywalom spoza NATO, takim jak Chiny i Rosja.

Główna zmiana w stosunku do poprzedniego porozumienia dotyczy kwestii obowiązywania traktatu po ewentualnym uzyskaniu niepodległości przez Grenlandię. Umowa z 1951 r. nie zakładała takiego rozwoju wydarzeń, tymczasem w nowej umowie zapisano, że będzie ona obowiązywać, nawet jeśli wyspa uniezależni się od Danii. Wojska amerykańskie zyskały też pełną swobodę w poruszaniu się po Grenlandii i jej wodach terytorialnych.

Zdaniem komentatorów znacznie ważniejsze od treści umowy jest jednak zakończenie politycznych sporów i wyraźna redukcja napięcia między Kopenhagą a Waszyngtonem, co może przynieść wzrost amerykańskich inwestycji, które były zamrożone przez ostatni rok. Dania nie zdoła znacząco zwiększyć dotacji dla Grenlandii (1 mld dol. rocznie) i w związku z tym trzeba szukać dodatkowych środków. Umowa ze Stanami Zjednoczonymi może w tym pomóc.

Marek Budzisz



Francja

(Nie) nabici w butelkę

Francuski rząd nie będzie zmuszał lokalnych władz do wprowadzenia systemu kaucyjnego. Zamiast tego zaproponowano im dobrowolny udział w programie. Tym samym upadł projekt, wznowiony w maju przez prezydenta Emmanuela Macrona.

Pod koniec czerwca oburzeni samorządowcy opuścili spotkanie na ten temat, zorganizowane przez ministerstwo transformacji ekologicznej. Przekonywali, że projekt to „absurd" i „ekościema". Według nich na przykładzie Niemiec, gdzie taki system istnieje, „wyraźnie widać, iż doprowadziło to tylko do większej produkcji plastiku". Ponadto samorządy, które sporo zainwestowały w sortownie, z podejrzliwością podchodziły do odbierania im najcenniejszych odpadów (butelek i puszek). Jak przekonywano, system kaucyjny generuje duże koszty dla lokalnych budżetów, które byłyby przerzucone na podatników. Ostatecznie wobec silnej presji z dołu rząd się wycofał.

Pod względem recyklingu plastiku Francja nie spełnia unijnych wymogów. Z rządowych danych wynika, że w 2024 r. w kraju odzyskano zaledwie 25,7 proc. opakowań z tworzyw sztucznych, a wskaźnik zbiórki plastikowych butelek wyniósł 58,3 proc. „Zwiększenie recyklingu plastiku pozostaje naszym priorytetem" – podkreślił wiceminister ds. transformacji ekologicznej Mathieu Lefèvre. Zgodnie z unijną dyrektywą o produktach jednorazowego użytku (SUP) kraje członkowskie muszą do 2029 r. osiągnąć 90-proc. poziom selektywnej zbiórki butelek oraz wdrożyć systemy kaucyjne.

Ekolodzy nie kryją rozczarowania decyzją władz w Paryżu. Według Jeana Hornaina, dyrektora generalnego organizacji ekologicznej Citeo, rząd nie powinien porzucać projektu, który był jedną z „głównych dźwigni" recyklingu. Producenci napojów również wyrazili ubolewanie z powodu „niezrozumiałej decyzji", podkreślając, że Francja co roku wpłaca do unijnego budżetu 1,5 mld euro tytułem kar za słabe wyniki w zakresie recyklingu odpadów. Tyle że 27 września odbyły się wybory do Senatu, czyli izby wyższej francuskiego parlamentu. Senatorów wybierało kolegium tzw. wielkich elektorów, złożone głównie z merów, lokalnych radnych oraz parlamentarzystów. Wiosną odbędzie się zaś wyścig prezydencki, a w sondażach prowadzi Marine Le Pen. Nie jest to więc – jak podkreślił Corentin Duprey, szef największych związków zawodowych sektora odpadów – „dobry moment na wzniecanie niepotrzebnych pożarów i forsowanie rozwiązań, którym sprzeciwiają się wszyscy".

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl b306bac7a5

Finanse cieni



Rosja

Wiele osób słyszało o rosyjskiej flocie cieni – dziesiątkach tankowców, którymi Moskwa, omijając zachodnie sankcje, eksportuje swoją ropę naftową. Znacznie mniej znane są „finanse cieni", czyli skomplikowany system międzynarodowych operacji bankowych, dzięki któremu Rosja sprowadza towary objęte sankcjami, w tym podzespoły do produkcji broni.

„Financial Times" ustalił, że Rosja – mimo odcięcia od międzynarodowego systemu płatności SWIFT – od końca 2024 r. zdołała przeprowadzić transakcje o wartości 6,9 mld dol. Było to możliwe dzięki pośrednictwu firmy A7, specjalizującej się w płatnościach transgranicznych. Została ona założona przez Ilana Şora, mołdawskiego oligarchę z rosyjskim i izraelskim paszportem. Wiele lat wcześniej Şor działał w Mołdawii, gdzie skazano go zaocznie na 15 lat więzienia za wyprowadzenie 1 mld dol. z tamtejszych banków. Jednocześnie prowadził aktywną działalność polityczną, tworząc własną partię, opowiadającą się za utrzymaniem przez Mołdawię bliskich związków z Rosją.

Podczas pobytu w Moskwie Şor wpadł na sprytny pomysł omijania zachodnich sankcji bankowych. Mechanizm polegał na utworzeniu międzynarodowej sieci firm-wydmuszek, które, działając poza Rosją, posiadały konta w bankach podpiętych do systemu SWIFT, i zlecaniu im płatności. Osoba z Rosji, która chciała zakupić towar w Europie Zachodniej, wpłacała umówioną sumę w rublach na konto firmy A7. Za te pieniądze A7 kupowała na kontrolowanej przez siebie giełdzie kryptowaluty, które spieniężano za granicą za pośrednictwem podstawionych firm. Uzyskaną kwotę – już w dolarach lub euro – przesyłano potem na rachunki w zagranicznych bankach, najczęściej chińskich i hongkońskich, a także zachodnich. Stamtąd trafiała ona do odbiorcy, który przesyłał zamówiony towar na adres podstawionej firmy, skąd dostarczano go do Rosji. W ten sposób ukrywano zarówno pochodzenie pieniędzy, jak i adresata przesyłki. Za usługę A7 pobierała marżę liczoną od wartości towaru.

Działalność Şora wspierał rosyjski sektor obronny, który poszukiwał skutecznego sposobu na nielegalny import podzespołów do produkcji broni. Według niezależnych źródeł rosyjskich oligarcha miał zostać przedstawiony samemu Putinowi, który dał zielone światło tej operacji. Jak wynika z ustaleń „Financial Times", za pośrednictwem A7 trafiły do Rosji m.in. precyzyjne obrabiarki dla przemysłu wojskowego, a wśród banków, które zostały wykorzystane w tym procederze, znalazły się Deutsche Bank, Citigroup i JPMorganChase.

Proceder został wykryty przez brytyjski bank Standard Chartered. Jak dotąd udało się udokumentować nielegalne transakcje o wartości 6,9 mld dol., wiele wskazuje jednak na to, że mogły one sięgać nawet 20 mld dol.

Konrad Kołodziejski

Kenia

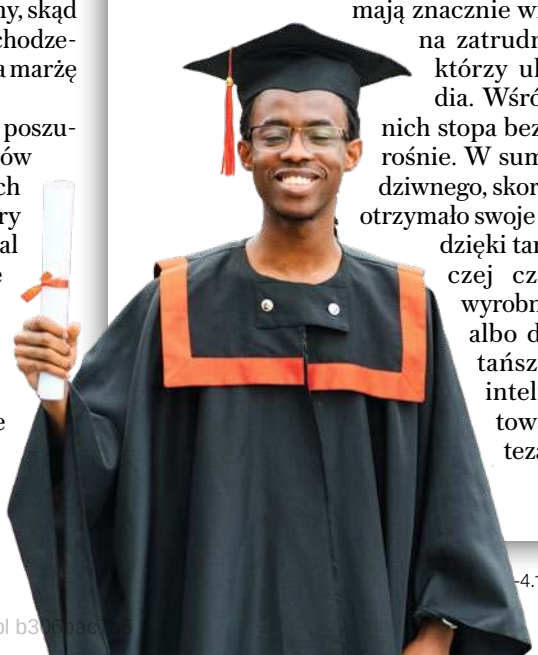
Czarny rynek dla białych studentów

Jedną z pierwszych ofiar sztucznej inteligencji na świecie są studenci i absolwenci wyższych uczelni w Kenii. Jak donosi „The New York Times", na skutek rozpowszechnienia się systemów AI, doszło tam do gwałtownego załamania się rynku pisania prac zaliczeniowych, esejów, raportów i rozpraw dla zagranicznych studentów.

Przez kilkanaście lat Kenia była jednym ze światowych liderów tego rodzaju usług. Absolwenci tamtejszych uniwersytetów posługują się bowiem na co dzień językiem angielskim i są zazwyczaj dobrze wyedukowani, zarazem nie mają w swoim kraju perspektyw na wysokie zarobki. Wielu z nich dorabiało więc pisaniem prac akademickich dla studentów z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Irlandii, Australii czy Nowej Zelandii. Niektórzy z nich uczynili z tego podstawowe źródło utrzymania, np. opisany przez nowojorski dziennik Teresios Bundi, który w ciągu ostatnich 12 lat napisał ponad 2,5 tys. różnych tekstów dla studentów z całego świata. Według szacunków w szczytowym okresie w 5-milionowym Nairobi tę pracę wykonywało co najmniej 40 tys. osób, które zarabiały w ten sposób więcej niż w swoich wyuczonych zawodach.

Pojawienie się sztucznej inteligencji znacznie zmniejszyło popyt na usługi świadczone przez wykształconych Kenijczyków. Studenci na Zachodzie, zamiast zamawiać teksty w Afryce, zaczęli wykorzystywać do tworzenia swych prac generatywne modele AI. To sprawiło, że liczba zleceń gwałtownie spadła.

Zdobyty w ten sposób dyplom może jednak nie pomóc absolwentom uniwersytetów na Zachodzie w zdobyciu pracy. Niedawne badania rynku pokazały, że w USA osoby bez wyższego wykształcenia mają znacznie większe szanse na zatrudnienie niż ci, którzy ukończyli studia. Wśród tych ostatnich stopa bezrobocia stale rośnie. W sumie nic w tym dziwnego, skoro wielu z nich otrzymało swoje dyplomy albo dzięki taniej sile roboczej czarnoskórych wyrobników z Afryki, albo dzięki jeszcze tańszej sztucznej inteligencji, traktowanej jak proteza mózgu.



Grzegorz Górny

eprasa.pl b3[illegible]

Orędzie o stanie Unii Ursuli von der Leyen,

czyli jak wciskać klimatyczny pedał gazu, mówiąc pasażerom, że się hamuje

Niemiecki koncern chemiczny Evonik ogłasza cięcia kosztów i zatrudnienia. Ponad 3 tys. etatów w ramach programu, który od 2024 r. pochłonął już ok. 6 tys. stanowisk, w warunkach strukturalnego kryzysu branży. To kolejny krwawy ślad na drodze do gospodarczego upadku Europy, zaraz po sektorze motoryzacyjnym czy stalowym. Tymczasem Bruksela w tym samym tygodniu zapowiada Sojusz na rzecz Ubezpieczeń Klimatycznych. Fabryk ubywa, klimatycznych szaleńców przybywa.

ETS2, podatek nałożony na każdego mieszkańca Europy, piętnujący go za to, czym się ogrzewa i czym jeździ, czai się tuż za rogiem. To 2028 r. Tymczasem w orędziu Ursuli cisza – jak rozumiem, ciężko mówić o swoich porażkach. Do tego cichy cios w przemysł – już w połowie 2026 r. Komisja Europejska radykalnie zmniejszyła liczbę darmowych uprawnień, tzw. benchmarków. Firmy, które jeszcze miały złudzenia, że ktoś w Brukseli walczy o ich przetrwanie, mogą je schować do szuflady z bajkami o „sprawiedliwej transformacji". Zapowiadana z fanfarami reforma ETS to zasłona dymna – dym unosi się głównie nad zamykanymi zakładami, nie nad nowymi inwestycjami. Zmiana tonu to nie zmiana kursu – Fit for 55 jedzie dalej na pełnym gazie, tylko w bardziej apokaliptycznej otoczce. Polski rząd tymczasem mówi, że trudno będzie coś zmienić.

I to jest sedno przedstawienia. Von der Leyen z powagą ogłasza, że mieliśmy za sobą „lato prawdy", że Europa ociepla się najszybciej ze wszystkich kontynentów i będzie tak już zawsze. To nie klimatologia, to liturgia – wyznanie wiary powtarzane tym samym tonem, niezależnie od faktów. Dlaczego przewodnicząca KE tak zafiksowała się na polityce rozmontowującej unijną gospodarkę? Coraz więcej osób, nie tylko z prawicowych kręgów, mówi wprost o fanatyzmie. A może to jedyna dziedzina, w której może w ogóle udawać sprawczość?



Strasburg, 16 września. Pani przewodnicząca cytuje na mównicy Dickensa o „najlepszych i najgorszych czasach" i przez 73 minuty tłumaczy Europie, że wszystko idzie zgodnie z planem. Tyle że plan od lat wygląda tak samo – przyciskać gaz do dechy, ale krzyczeć: „Przecież hamuję!", gdy ktoś zapyta, dlaczego na pełnej prędkości chcemy rozjechać europejską gospodarkę

Deklaracja, że „Unia musi pozostać na kursie polityki klimatycznej" wobec fali zwolnień i rachunków gospodarstw domowych nie daje się racjonalnie uzasadnić, staje się obłędem powtarzanym do znudzenia. Podobnie formułka o „modernizacji" ETS – pasuje do każdego przemówienia od dekady. Przewodnicząca dobrze wie, jakim ciężarem jest ETS dla gospodarki, po prostu nie ma odwagi powiedzieć tego na głos.

A na deser – koniec Unii, jaką znaliśmy – inwestycje z nowego budżetu mają być w pełni kontrolowane przez Komisję, czyli praktycznie przez jedną osobę i jej gabinet. Centralizacja pod hasłem transformacji.

Na tym tle polska krytyka wypada komicznie skromnie. Wiceminister Bolesta ogłaszał, że udało się „wybić zęby" ETS2 przez jego wejście w życie o rok później, bez jakichkolwiek większych ustępstw. To nie sukces – to oswajanie z podwyżką na raty. Ale najważniejsze, że 2028 r. jest już po wyborach parlamentarnych w Polsce. Tak cynicznie oszukują Polaków aktualnie rządzący.

Całość spina jeden wzór – obietnica hamowania przy jednoczesnym wciskaniu pedału gazu do oporu. Bruksela mówi o odporności, podczas gdy fabryki zwijają linie produkcyjne. Mówi o ochronie rodzin, gdy szykuje im rachunek za ogrzewanie. Mówi o modernizacji ETS, myśląc o jego wzmocnieniu w kolejnych latach. I mówi to z takim przekonaniem, że słuchacz zaczyna się zastanawiać, czy powinien postarać się wyrzucić z samochodu kierowcę, czy próbować ratować się samemu – wyskakując z auta.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b306bac7a5

Odwrócony globus?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Mapa, którą chińskie dziecko może zobaczyć w atlasie, przedstawia Azję w centralnej części obrazu. Chiny znajdują się blisko środka, nad nimi rozciąga się terytorium Rosji, Europa przesuwa się na zachód, a obie Ameryki – ku drugiej części mapy. Chińska perspektywa ukazuje Ziemię z zupełnie innego punktu widzenia niż powszechnie znana projekcja Merkatora. Ta ostatnia została stworzona przede wszystkim z myślą o nawigacji. Zachowuje kierunki, ale zniekształca powierzchnie na wysokich szerokościach geograficznych. Dlatego Grenlandia, Kanada czy Rosja wydają się na niej proporcjonalnie znacznie większe, niż są w rzeczywistości.

We wrześniu br. 164 państwa poparły na forum ONZ wykorzystanie mapy Equal Earth, powołując się na problem zniekształcania powierzchni przez tradycyjne mapy świata. Delegacja USA oceniła, że przyjęcie rezolucji w tej sprawie jest nieuzasadnione, postrzegając ją jako element „bardziej radykalnego projektu ideologicznego". Zgłosiła więc swój sprzeciw.

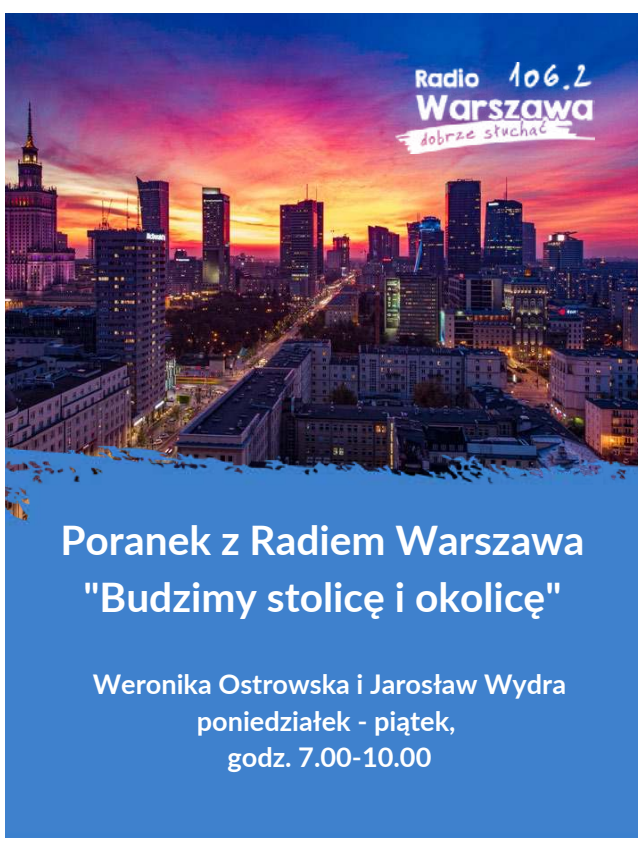
Mapa nie jest wyłącznie ilustracją geografii. Kształtuje mentalność dotyczącą tego, gdzie znajduje się centrum, a gdzie peryferie. Patrząc na świat z Europą w pobliżu środka, widzimy Atlantyk jako naturalną oś. Po jednej stronie znajduje się Europa, po drugiej Ameryka Północna. Chiny leżą na „Dalekim Wschodzie", Rosja ciągnie się ku krańcowi mapy, a Arktyka znajduje się na jej górnej krawędzi. Spoglądając na globus od strony bieguna północnego, widzimy Europę, Rosję, Chiny i Amerykę Północną układające się wokół Oceanu Arktycznego. Obszar, który na tradycyjnej mapie wydaje się odległą północną krawędzią świata, okazuje się przestrzenią położoną pomiędzy największymi gospodarkami półkuli północnej. Arktyka przestaje być końcem mapy. Może stać się drogą. Przez dziesięciolecia podstawowy morski szlak łączący Chiny z Europą prowadził przez morza Azji Południowo-Wschodniej, cieśninę Malakka, Ocean Indyjski, Morze Czerwone, Kanał Sueski i Morze Śródziemne. Blokada żeglugi w jednym z tych miejsc zakłóca globalne łańcuchy dostaw. Alternatywą jest Północna Droga Morska (NSR), prowadząca z Azji przez Cieśninę Beringa, wzdłuż północnego wybrzeża Rosji i rosyjską Arktykę do Europy Północnej. Dla części połączeń może to oznaczać znaczące skrócenie dystansu i czasu transportu w porównaniu z trasą przez Suez.

Chińska gospodarka jest uzależniona od transportu morskiego, prowadzącego przez obszary, których Chiny nie kontrolują, zwłaszcza cieśninę Malakka. Dodatkowa droga przez północ zmniejsza to ryzyko, stąd chińska koncepcja Polarnego Jedwabnego Szlaku. Ponieważ NSR przebiega przede wszystkim wzdłuż rosyjskiego wybrzeża, gdzie Rosja posiada porty, infrastrukturę i flotę lodołamaczy, powstaje szczególna współzależność: Chiny zyskują dodatkową drogę do Europy, Rosja zyskuje na znaczeniu jako przestrzeń tranzytowa. Droga północna stanowi przestrzeń strategiczną o znaczeniu gospodarczym, lecz także militarnym.

Zdając sobie sprawę z wieloaspektowego znaczenia dążeń Chin i ich partnerów – a w szczególności Rosji – w ubiegłym tygodniu Stany Zjednoczone, Dania i Grenlandia podpisały porozumienie, dające Waszyngtonowi stałą, bezterminową kontrolę nad bezpieczeństwem wyspy. USA zapowiedziały budowę dwóch dużych baz wojskowych i rozbudowę Pituffik Space Base, a umowa ogranicza tworzenie na wyspie baz przez państwa spoza NATO oraz zaostrza kontrolę inwestycji spoza NATO i UE, by ograniczyć wpływy Chin i Rosji. Suwerenność formalnie pozostaje przy Danii, ale funkcjonalnie Zachód zabezpiecza zachodnią bramę Arktyki.

Odwrócenie globusa dokonuje się zatem na kilku poziomach jednocześnie i wcale nie w jednym kierunku. Są poziomy kartograficzny i transportowy – obok Suezu pojawiają się alternatywne korytarze, a także kontrapunkty broniące dostępu do nich. Jest energetyczny – rosną bezpośrednie przepływy surowców między Rosją a Bliskim Wschodem a odbiorcami w Azji. Jest finansowy – powstają dodatkowe sposoby rozliczeń. Jest wreszcie instytucjonalny i wojskowy – BRICS potwierdza swoje istnienie jako forum współpracy, podczas gdy Waszyngton, zawierając porozumienie w sprawie Grenlandii, przypomina, iż zachodnia mapa wciąż ma swoich strażników.

REKLAMA



22/0826/F

eprasa.pl b306bac7a5



Walizka Szymona Szeredy

dziennikarza telewizji wPolsce24

Życie dziennikarza bardzo często wiąże się z podróżami, ale nigdy nie traktowałem ich wyłącznie jako części pracy. Po prostu lubię być w drodze. Polska i świat mają tak wiele do zaoferowania, że trudno jest mi długo usiedzieć w jednym miejscu. Zawsze coś gdzieś mnie ciągnie – raz pod wodę na nurkowanie, innym razem w góry na wspinaczkę albo w zupełnie nieznane miejsce. Najlepszym kompanem w podróży jest moja narzeczona, która uwielbia egzotyczne wyprawy i marzy o odkrywaniu najdalszych zakątków świata. Ja z kolei bardzo chciałbym dokładnie poznać Szkocję i Irlandię. Zachwyca mnie tamtejsza historia, zamki, krajobrazy, a także ten charakterystyczny klimat małych miasteczek, pubów i miejsc, w których można na chwilę zwolnić. Myślę, że przede mną jeszcze wiele takich podróży.





„POMIĘDZY ZŁEM A ZŁEM”



Historia II wojny światowej sama w sobie jest niezwykle wciągająca – opowiada o trudnych wyborach, poświęceniu, odwadze i honorze. Ta książka jest dla mnie szczególnie ważna, ponieważ opisuje również heroiczne akcje, którymi dowodził mój pradziadek. Dzięki temu ma dla mnie nie tylko wartość historyczną, lecz przede wszystkim bardzo osobisty wymiar.

RODOWY SYGNET



Na sygnecie widnieje jednorożec – symbol rodu Szereday de Szereda. Moja rodzina ma węgierskie korzenie i wyemigrowała do Polski w drugiej połowie XIX w., po upadku Wiosny Ludów. Sygnet jest więc dla mnie swoistym łącznikiem z historią i rodzinnym dziedzictwem.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Szymona Szeredy

eprasa.pl b306bac7a5



PŁETWY



Moim ulubionym sportem jest nurkowanie i właściwie mógłbym nie wychodzić z wody. Eksplorowanie podwodnego świata to dla mnie prawdziwa przygoda. Można poczuć się trochę jak Indiana Jones albo James Bond – odkrywając kolejne wraki, podwodne jaskinie oraz obserwując niezwykłą faunę i florę, kryjącą się w głębinach.

SPINKI DO MANKIETÓW



Praca w studiu telewizyjnym wymaga na co dzień eleganckiego stroju, a ten z kolei często oznacza koszule z mankietami na spinki. Używam spinek z moimi inicjałami, które dostałem kiedyś w prezencie urodzinowym. To drobny, ale osobisty element codziennej garderoby.

PIÓRA WIECZNE I DŁUGOPISY



Lubię pióra wieczne i klasyczne długopisy. W codziennym natłoku zdarzeń łatwo coś przeoczyć, dlatego zawsze zapisuję najważniejsze rzeczy. No i oczywiście pytania do gości mojego programu.

SZELKI



Dodają stylizacji nieco vintage'owego charakteru, a przy okazji mają bardzo praktyczną zaletę – spodnie zawsze pozostają dokładnie na swoim miejscu.

SKŁADANY GRZEBIEŃ



Nie toleruję bałaganu, również tego na głowie. Dlatego praktycznie nigdzie nie ruszam się bez grzebienia. Lubię, kiedy wszystko jest uporządkowane, a fryzura – podobnie jak reszta stroju – musi być „pod linijkę".

KRAWAT



To dla mnie obowiązkowy element każdej stylizacji. Niezależnie od tego, czy mam na sobie klasyczny garnitur, czy tweedową marynarkę, całość zawsze musi zostać zwieńczona perfekcyjnie zawiązanym krawatem. Traktuję go jako integralną część stroju.

ZDJĘCIE PRADZIADKA



Mój pradziadek, st. sierż. pchor. Jan Szczepaniak, przed wojną służył w 2. pułku strzelców podhalańskich. W czasie wojny, wspólnie z bratem mojej prababci, dowodził pierwszym oddziałem Armii Krajowej, który powstał na Podkarpaciu. Jego zdjęcie to przypomnienie człowieka, który pozostaje dla mnie wielkim autorytetem moralnym – wzorem patriotyzmu, odwagi i wierności własnym wartościom.

WOSK I SZCZOTKA DO POLEROWANIA



Buty muszą być czyste i idealnie wypolerowane, dlatego zestaw do ich pielęgnacji jest absolutnym „must have" w każdej mojej podróży. Dziadek nauczył mnie, że but powinien być wypolerowany tak, aby można było się w nim przejrzeć.

ZEGAREK



To Atlantic Worldmaster z lat 60., na pasku z aligatora, odziedziczony po moim pradziadku. Jest dla mnie czymś więcej niż tylko przedmiotem do odmierzania czasu.

KASZKIET



Idealny na jesienną pogodę. Ma w sobie coś zawadiackiego, a przy tym pozwala trochę pobawić się kolorem i fakturą. Lubię kaszkiety właśnie za ten charakter – są klasyczne, ale nigdy nie wyglądają zupełnie banalnie.

WODA KOLOŃSKA



O zapachu drzewa sandałowego – klasyczna i ponadczasowa. Szczególnie dobrze sprawdza się w chłodniejsze dni, kiedy ciepłe, drzewne nuty nabierają wyjątkowego charakteru.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl b306bac7a5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czarzasty na polu bez kibla!



Jan Pietrzak

Jakaś niepoważna agencja ratingowa poważnie obniżyła Polsce rating. Nawet nie zapytali o zgodę ministra finansów Domańskiego i nie uzgodnili decyzji z naszym premierem. Jak wiadomo, tego mądrali nikt nie ogra. Może jest więc tak, że jego rzeczywiście nie ograli, ale Polskę jednak wykiwali. Gra w pieniądze jest niezwykle skomplikowana – w odróżnieniu od gry w palanta. Ma wiele pułapek. Wiedzą o tym cwaniacy od Amber Gold i Zondycrypto. Samo słowo rating, pozornie angielskie, pochodzi od polskiego okrzyku: „Ratuj się, kto może!".

Nie jestem czarnowidzem, nie jestem ponurym pesymistą, znają mnie Państwo od dawna. Publicznie funkcjonuję od kilkudziesięciu lat. Zawsze, nawet w najczarniejszych momentach, szukałem iskry nadziei, pozytywnej energii, którą mógłbym przekazać mojej publiczności ze sceny. Polakom nie wolno tracić ducha! Dlatego obecny rząd nie wpuszcza mnie na żadne sceny!

Nasza wspólnota, otoczona strasznymi, agresywnymi plemionami, wymaga nieustannej obrony przed przemocą, a także przed bezradnością. Najbliższy mi przykład: sytuacja emerytów, których rząd bezczelnie okrada. Co mają robić, by opłacić szalejące ceny narzucone przez Berlin i rachunki wystawione przez Brukselę? Najlepiej by było odesłać ten rząd do innych zajęć, niezależnie od własnych poglądów politycznych. W tym punkcie warto zwrócić uwagę na szokujący niekiedy rozziew między oceną własnej sytuacji a oceną obozu rządzącego, na ludzi niewidzących związku między swoim losem a swoim wyborem. To jakaś nienazwana choroba. À propos.

Zza płotu szpitala psychiatrycznego pacjent pyta rolnika pracującego w ogrodzie: „Co pan tam robi?". „Posypuję truskawki nawozem". „Ja posypuję truskawki cukrem, ale ja jestem wariat". Zmiana ról to częsty chwyt żartownisiów. Za komuny hydraulik naprawia u kogoś kran. Po robocie żąda 1,5 tys. zł. „Ja wykładam na uczelni. Jestem profesorem i dostaję tyle za miesiąc". Na to hydraulik: „Też tyle brałem, jak byłem profesorem!". To stare żarty, ale zawsze śmieszne. Nowych szukajcie w młodych kabaretach, ale przede wszystkim na mównicy sejmowej i w sferach rządowych. Np. marszałek Sejmu Czarzasty na spotkaniu z wyborcami w Będzinie tak tłumaczył zalety przystąpienia RP do Unii Europejskiej: „Przed Unią srałem na polu, bo nie było kibli". Temat śmierdzący, ale uśmiać się można. Przepraszam Państwa za drugą osobę w państwie. Z tego, co pamiętam z tamtego ustroju, wydalanie „na polu" nie było przymusowe, chyba że się trafiło do kompanii karnej, ale tego wątku nie będę rozwijał. Problematyka papieru toaletowego zdominowała natomiast wiele posiedzeń Biura Politycznego. Był to produkt o znaczeniu bardziej strategicznym niż dzisiaj Zielony Ład, ślad węglowy, SAFE i inne gówna.

Edycja przeszłości



Samuel Pereira

Możliwości „uśmiechniętej Polski" są nieograniczone. Wydawać by się mogło, że Lech Wałęsa już swoje naopowiadał, ale faktów, dokumentów i zeznań świadków pokonać nie może. Nawet jeśli jako wiernie oddany swojemu obozowi politycznemu w swoich wypowiedziach żyruje najbardziej radykalne posunięcia. Nic bardziej mylnego. To, co swoją decyzją i uzasadnieniem zrobiła prokuratura Waldemara Żurka, przekracza już ludzkie pojęcie.

Śledztwo o fałszywe zeznania w sprawie teczek Kiszczaka umorzono nie dlatego, że dowody zniknęły. Umorzono je, bo według fikołkowatej interpretacji prokuratury opinia biegłych z Instytutu Ekspertyz Sądowych „nie jest kategoryczna", materiał porównawczy – „nieadekwatny", a Wałęsa w latach 70. był w praktyce analfabetą, który sam nie pisał długich tekstów. Naprawdę to napisali. „Niektórzy świadkowie wskazywali wprost, że w tamtym okresie był on wtórnym analfabetą, nie posługiwał się pismem i słabo czytał, a dokumenty, które podpisywał jako przewodniczący Związku Zawodowego »Solidarność«, były pisane dla niego przez inne osoby" – napisano w komunikacie Prokuratury Okręgowej w Warszawie. I dalej: „Nawet analfabeci [...] potrafią się sprawnie podpisać, a nie umieją zapisać żadnego innego słowa".

Czyli co? Podpisywał, owszem. Pisał wielostronicowe donosy – już nie. Tę konstrukcję oparto m.in. na relacjach funkcjonariuszy SB, którzy, jak wiadomo, są krynicą prawdomówności. Logika postawiona na głowie: ci sami ludzie raz są wiarygodni – gdy mówią o fałszerstwach – a raz niewiarygodni – gdy chodzi o teczki z początku dekady.

Decyzja prokuratury z pewnością nie miała żadnego związku z tym, że kilkanaście dni przed tym wiekopomnym wydarzeniem Lech Wałęsa spotkał się w Wejherowie z Ewą Wrzosek, prawą ręką Waldemara Żurka. Ważne, że wątpliwości rozstrzygnięto na korzyść podejrzanego. Prawo do obrony objęło nawet to, czego świadek nie chciał potwierdzić.

Dokumenty z teczek Kiszczaka przez lata były twardym rdzeniem sporu: albo Wałęsa je napisał, albo nie. Teraz nagle stały się zbyt niepewne, by cokolwiek z nich wynikało. Nie dlatego, że ktoś znalazł nowy dowód. Dlatego, że stary był dla tej władzy niewygodny.

eprasa.pl b306bac7a5

Reparacyjna sprawiedliwość po niemiecku



Na marginesie ubiegłotygodniowego Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku Ghana, Niemcy i Francja wspólnie zorganizowały debatę o sprawiedliwości reparacyjnej za historyczne krzywdy związane z handlem niewolnikami. Mowa o restytucji zagrabionych dóbr, formalnych przeprosinach, redukcji zadłużenia, a w dalszej perspektywie również o finansowej kompensacji.

Czyli jednak można.

Presja z Ghany, a nie jak u nas polityka wywieszonej białej flagi Tuska, pokazuje, że można mówić o odpowiedzialności historycznej. Można wracać do krzywd sprzed dziesięcioleci i stuleci. Można mówić o zagrabionych dobrach, o ofiarach, o zadośćuczynieniu. Można uznać, że upływ czasu nie zamyka obowiązku rozliczenia przeszłości. Ale gdy podobne pytania stawia Polska – państwo, które poniosło gigantyczne straty w wyniku niemieckiej agresji i okupacji – nagle słyszymy: „Sprawa jest zamknięta".

Wciąż żyją ofiary niemieckiej okupacji. Wciąż nie zostało rozliczone zagrabione polskie dziedzictwo. Wciąż istnieją polskie roszczenia dotyczące niewyobrażalnych strat poniesionych w latach 1939–1945. Tydzień temu pisałem Państwu, że również Grecja podnosi wobec Berlina kwestię niemieckich zobowiązań wojennych i uznaje ją za nierozwiązaną.

Trudno nie dostrzec tu fundamentalnej sprzeczności.

Jeżeli sprawiedliwość reparacyjna jest słuszna w relacjach z Afryką, dlaczego przestaje być nawet przedmiotem dialogu, gdy chodzi o Polskę czy Grecję? Jeżeli można rozmawiać o restytucji, przeprosinach i kompensacji za krzywdy sprzed stuleci, dlaczego w przypadku ofiar niemieckiej okupacji z lat II wojny światowej Berlin odpowiada, że temat został zamknięty? Nie kwestionuję prawa narodów Afryki do sprawiedliwości. Przeciwnie. Każda ofiara ma prawo do pamięci, prawdy i zadośćuczynienia. Ale właśnie dlatego domagam się równych standardów.

Niemiecka dyplomacjo, nie można jedną ręką otwierać międzynarodowej debaty o sprawiedliwości reparacyjnej, a drugą zamykać drzwi w tej sprawie przed Polską i Grecją, których na unijnym polu nazywa się „partnerami".

Prawa ofiar, restytucja i sprawiedliwość historyczna nie mogą zależeć od tego, którego państwa dotyczy historia. Dziś Afryka to dla Niemców biznes – polityczny i gospodarczy. To by zatem tłumaczyło, dlaczego Niemcy mają w tej sprawie dwie twarze.

Arkadiusz Mularczyk

W duszy mi kolorowo

Z aktorką Grażyną Zielińską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Bardzo barwnie zaprezentowała się pani ostatnio na czerwonym dywanie.

Grażyna Zielińska: Bo mi w duszy kolorowo, a takie wdzianko dała mi koleżanka. Przyjechała z Kanady i przywiozła mi je w prezencie. Nie noszę takich rzeczy, ale przymierzyłam, nie czułam się w tym źle, usłyszałam jeszcze, że „dobrze się w tym komponuję", więc przyjęłam, a teraz założyłam.

Z jakiej okazji ta kolorowa odsłona?

Zapowiadamy nowy sezon „Rancza". Będą w nim barwne i mądre kobiety.

Pani jako babka-zielarka – ta, „która wie" – i kto jeszcze?

Tych „wiedźm" na ekranie nie zabraknie. A zostały tak dobrane, że jak zobaczycie, to nie uwierzycie, że ten reżyser, i ten producent, i ten scenarzysta, i w ogóle każdy, kto miał na to wpływ, wyszukali takie dziewuchy.

Trudno było odnaleźć się w Wilkowyjach po 10 latach przerwy?

Fajnie powiedział to Bogdan Kalus – że poczuł się tak, jakbyśmy skończyli rok temu. A ja dodam, iż mimo obaw różnych ludzi, wcale nie czuję, że się zestarzeliśmy. Skąd. Ten taki sam i ten taki sam. Oczywiście niektórych z nas już nie ma – bo różne rzeczy się wydarzyły, jak to w życiu – ale wspominaliśmy ich serdecznie, ciepło. Zostawili nam dobrą energię, a my ją podtrzymaliśmy.

Kiedy podzielicie się tą energią z widzami?

Producent Maciej Strzembosz już to ogłosił, więc chyba mogę powiedzieć: pierwszy odcinek będzie 6 grudnia.



Fot. Paweł Wodzyński/East News

eprasa.pl b306bac7a5

TRENDY I OWĘDY

Dwa słowa



Ryszard Makowski

To, ile mogą znaczyć dwa słowa wypowiedziane w odpowiednim momencie i w odpowiednim miejscu, udowodnił amerykański raper Macklemore. Na koncercie inaugurującym amerykańską trasę Eda Sheerana Loop Tour 2026, 4 września na MetLife Stadium w New Jersey, w obecności ponad 80 tys. widzów artysta wygłosił ze sceny oświadczenie: „Jednym z głównych powodów, dla których w ogóle chciałem wyruszyć w tę trasę, była możliwość, by stanąć na stadionach takich jak ten i wypowiedzieć dwa słowa, które są mi bardzo bliskie: »wolna Palestyna«. Powiedziałem: »wolna Palestyna!«”. Potem wykonał protestsong swojego autorstwa, „Hind's Hall”, poświęcony zabitej 5-letniej palestyńskiej dziewczynce, a na ekranach stadionu wyświetlano materiały ze zniszczonych miast w Gazie. Niestety raperowi nie udało się tego zaprezentować na kolejnych stadionach, choćby w Filadelfii, Foxborough, Atlancie, Indianapolis, Charlotte, Hollywood czy Tampie, ponieważ ich właściciele i zarządcy zażądali usunięcia go z trasy.

Ed Sheeran znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji. Gwiazdy, które zaprosił, w proteście przeciwko syjonistycznej cenzurze wycofały się z udziału w następnych koncertach. W Filadelfii zagrał sam. Jego umiejętność korzystania z najnowocześniejszej techniki estradowej sprawiła, że koncert został dobrze przyjęty. Wygłosił na nim spicz, w którym ze łzami w oczach wyznał, że czuje, jakby przyjaciele, rodzina i znajomi odwracali się od niego.

Dwa słowa – „wolna Palestyna” – zatrzęsły światem rozrywki. Dużo się mówi o wolności słowa. Jak widać, są jednak strażnicy słów i z nimi nie ma żartów.

ZDJĘCIE TYGODNIA Koniec lata. Żurawie odlatują.



Fot. Lech Muszyński/PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: R. PAŁKA/NETFLIX, ANDRZEJ WIKTOR X2, PIOTR FOTEK/REPORTER, SHUTTERSTOCK/FUN FUN PHOTO

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b306bac7a5



Łęcka z bejsbolem

Twórcy netfliksowej „Lalki” przerobili Izabelę Łęcką na lalkę Adolfa z „Akademii Pana Kleksa”. Pyskata Izabela gania więc po ekranie z feministycznym bejsbolem, szukając okazji, by komuś przywalić. Maślona i Demirski użyli jej, by rąbnąć nas między oczy, a dzieło Prusa splądrować



MACIEJ WALASZCZYK

Na uniwersytetach kwitną studia feministyczne, genderowe lub postkolonialne. Mnożą się bezwartościowe i paranaukowe teorie, za których zalew – w postaci naukowych prac i tytułów – państwo płaci duże pieniądze. To rzeczywistość niepodległej Polski, która od dawna rytualnie odcina się od swej komunistycznej przeszłości. Ale przez 35 lat nie potrafiła zrodzić sztuki godnej siebie. PRL to się jednak udało, również na polu filmu czy teatru. Choć w imię ideologii podejmowano próby przenicowania kultury, to wyszliśmy z nich obronną ręką. Sztuka X Muzy, mimo cenzury i politycznych nacisków, osiągnęła – szczególnie w latach 60., 70. i 80. XX w. – swe szczyty.

Dziś, w warunkach wolności, mamy zalew komercji, nijakości masowej produkcji, kiepskich aktorów i kiepskie scenariusze. Uwagę widza przyciąga się brutalnością i wulgarnością, programowo brutalniejszą i wulgarniejszą niż ta, której doświadczamy na co dzień. Również teatry przeprowadzają domorosłą polityczną i estetyczną rewolucję. W nieskończoność poszukują tego, czego nie potrafią znaleźć.

ILUZJA OBCOWANIA Z LITERATURĄ

Wyemitowany na Netfliksie serial pod tytułem „Lalka” w reżyserii Pawła Maślony to jeden z produktów skonstruowanych według tej metody. I wzorcowy przykład degradowania się kultury masowej. Wszak poprzednie ekranizacje „Lalki” również były jej częścią, ale dziś nie tylko wspaniale opierają się upływowi czasu, lecz także ich poziom jest nieosiągalny dla producentów współczesnego kontentu kulturalnego. Postanowiono więc przeżuwać i wypluwać to, co już znamy i traktujemy kanonicznie.

Mamy zalew dziwacznych remake'ów, jak ów serial, o którym stało się głośno tylko dlatego, iż żeruje jednocześnie na słynnej powieści i filmowych poprzednikach. Tylko dlatego, że jego twórcy, a więc reżyser Paweł Maślona, Paweł Demirski czy nieznana Jagoda Dutkiewicz, wstawili do scenariusza listy dialogowe bez dowcipu, ale upychając w nich wulgaryzmy. Ich wycięcie nie zwróciłoby na serial niczyjej uwagi. To bardzo wygodna metoda, czyniąca z filmu łatwo przyswajalny produkt, oferujący masowemu odbiorcy iluzję obcowania z wielką literaturą, a do tego zwalniający z wszelkich wymagań. Ot, rewolucja kulturalna w wersji instant.

O tym, że serial przyjmie taką konwencję, było wiadomo od początku. Ponad rok temu zapowiadali to sami twórcy, w tym Paweł Demirski, lewak, znany choćby ze współpracy z Moniką Strzępką, która zasłynęła słynną „intronizacją waginy” w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Efekty działalności Strzępki były tak fatalne, że nawet władze Warszawy musiały sprzątać bałagan, który narobiła. To twórcy filmu w rodzaju „Zaprawdę Hitler umarł” czy spektaklu „Jeńczyna”. Współcześni konformiści, najczęściej na publicznym garnuszku. Mówią, że poruszają „tematy tabu”, które już dawno temu zostały złamane.



Fot. Materiały prasowe Netflix

eprasa.pl b306bac7a5



W KRĘGU KABOTYNÓW

Pewnym pozytywem jest, że przy okazji serialu ujawniła się grupa ich adoratorów. Są nimi Tomasz Raczek, Hirek Wrona, dziennikarki „Gazety Wyborczej", Agnieszka Holland, Bartosz Węglarczyk i oczywiście Donald Tusk. Klasa dominująca i jej klakierzy, którzy natychmiast wzajemnie się w tym rozpoznali. „Postęp" – Wrona. „Nawyki głupiej polskiej publiczności" – Holland. „Język nowego pokolenia" – Węglarczyk. I nieukrywający zadowolenia z całego obrotu sprawy Tusk, przewrotnie nawołujący: „Tylko błagam: nie pozabijajmy się przy tej okazji".

Znamienne jednak, że wokół tego, co pokazano, Polska podzieliła się zgodnie z preferencjami politycznymi, które ujawniają podział kulturowy. Wulgarny język, grubo ciosane figurki podstawione w miejscu autentycznych bohaterów, parodyjny charakter przemówiły do zwolenników Koalicji Obywatelskiej, Lewic i ich liderów. Zwolennicy prawicy z miejsca wyczuli intencje twórców, a więc tanią prowokację i celowe demolowanie dzieła Prusa, zacieranie i wypaczanie sensu powieści.

„Lalka" ma wiele znaczeń, wokół niej do dziś toczą się spory o polską nowoczesność, których echa wybrzmiewają we współczesnych sporach o stapianie się z Unią Europejską oraz sens dalszego trwania jako naród i państwo. Ale tych rzeczy „Lalka" Maślony nie porusza. Nie opowiada nam on ani z pozycji romantyka, spiskowca, ugodowca, pozytywisty, kapitalisty, arystokraty, Żyda czy nędzarza z Powiśla, a nawet prostytutki. To nie jest również głos młodego pokolenia, bo ono w ogóle nie ma zdania na ten temat.

Maślona opowiada najprawdopodobniej z perspektywy wyciszonego w literackim pierwowzorze zaborcy, warszawskiego oberpolicmajstra. Po prostu kogoś z zewnątrz, z cyniczną nienawiścią patrzącego na Polaków, ludzi takich jak Rzecki czy Wokulski – powstańców, inteligentów, ludzi interesu, a także wszystkich pozostałych reprezentantów

warszawskiej elity. Widzącego wyłącznie ich wady i małość, poszukującego słabości, by w razie konieczności skorumpować i uderzyć.

PO PROSTU STROLLOWANA

Serial, ogłaszany jako kolejna próba „nowego odczytania", jest jedynie wypreparowaną wersją dla tych, którzy ani książki, ani dawnych ekranizacji nie znają i znać nie chcą. Być może to rodzaj edukacji dla tych dzieci, które dziś nie muszą odrabiać lekcji, a niedługo nie będą musiały czytać dzieł narodowej literatury. Piotr Pacek, który wcielił się rolę Starskiego, oświadczył, że kiedyś czytał książkę, ale dziś „nie czuł potrzeby, żeby ją sobie odświeżać", zwłaszcza że wiedział, że kreowana przez niego postać różni się od opisanej przez Prusa. To znamienna deklaracja. Większość uczniów przecież nie czyta lektur – bazuje na streszczeniach, fragmentach i oczywiście filmowych adaptacjach. Twórcy filmu chcą im podpowiedzieć, jak mają do tego wszystkiego podchodzić. Sprzyjać lub biernie przyglądać się upadkowi resztek porządku, na którym wciąż opieramy się jako wspólnota.

Ta dość gorączkowa reakcja na serial ma miejsce kilka dni przed premierą nowej ekranizacji w reżyserii Macieja Kawalskiego, z Marcinem Dorocińskim (Wokulski), Kamilą Urzędowską (Łęcka) i Markiem Kondratem (Rzecki) w rolach głównych. Dowodzi to, że „Lalka" – znakomita powieść, warta niejednokrotnej lektury, a do tego utrwalona w dwóch znakomitych filmach – ostała się jako jeden z mitów porządkujących naszą wyobraźnię. Serial Pawła Maślony ma ten mit zdemolować. Zarówno dla bolszewików, jak i lewicy, z którą tak ochoczo identyfikuje się Demirski, kultura i sztuka nigdy nie miały większego sensu poza rewolucyjnym. Dlatego literacka klasyka i niesione przez nią archetypy, symbole czy pomniki to jedynie materiał do rozbiórki i postawienia na głowie.

WYPOWIEDZIANO NAM WOJNĘ

Metoda tej dekonstrukcji – ze względu na słabość scenariusza, uzupełnianego dla efektu chamstwem i obscenicznymi podtekstami – przypomina raczej wyczyny uczestników zamieszek BLM, niszczących monumenty amerykańskiej historii i kultury. W Polsce toczy się taka sama batalia i właśnie jesteśmy świadkami jednej z jej odsłon.

> Maślona opowiada swoją „Lalkę" z perspektywy wyciszonego w literackim pierwowzorze zaborcy. Po prostu kogoś z zewnątrz, z cyniczną nienawiścią patrzącego na Polaków, ludzi takich jak Rzecki czy Wokulski – powstańców, inteligentów, ludzi interesu, a także wszystkich pozostałych reprezentantów warszawskiej elity

Wypowiedziano nam wojnę, atakując czy podkradając nasze symboliczne dziedzictwo. Dominująca klasa „prostackich" i „wulgarnych" atakuje dziś od góry, ma do tego zasoby i próbuje odebrać nam nie tyle przeszłość w postaci niematerialnego dziedzictwa, któremu hołdujemy, ile przyszłość. Chce nas z tego przywiązania rozliczyć i zawstydzić. Wokeizm, według schematów którego operowali twórcy netfliksowej „Lalki", to zjawisko zarówno podstępne, jak i inwazyjne. W estetyce, którą lansuje, brzydota – w tym przypadku prowokacyjna wulgarność, wmontowywana w charakterystyki bohaterów, którzy wulgarni nie byli – ukrywa projekt polityczny. Chodzi o to, by wysadzić ostatnią twierdzę nierówności, jaką jest piękno czy konwenans, klasyka, mit zapisany na kartach książki. Ludzie tacy jak Maślona chcą, by ich kośława estetyka stała się dominująca, a wokeizm okazał się sposobem na reinterpretację wszystkiego, co ma wartość dla narodowej tożsamości.

SPLĄDROWAĆ I UKRAŚĆ, CO WARTOŚCIOWE

Premiera „Lalki" według Wojciecha Jerzego Hasa miała miejsce w 1968 r. Gdy pracował nad adaptacją, również pragnął szukać pomostu pomiędzy tamtą epoką a dniem dzisiejszym, by ujawnić związki łączące współczesnego człowieka z bohaterami tamtej Warszawy. Serial Maślony jedynie markuje tę metodę – „zekranizujmy jedną z kanonicznych XIX-wiecznych powieści w sposób uwzględniający współczesną perspektywę". Niczego takiego jednak nie dostajemy. Nie mamy tu dylematu Polaków żyjących w rozpędzonej nowoczesności, świecie globalnego kapitalizmu, triumfu postępu, w tym nowoczesnych technologii, które wbrew nadziejom XIX-wiecznych wizjonerów, takich jak Geist, Ochocki czy Wokulski, podporządkowały sobie człowieka. Nic o fundamentach ekonomicznego bytu, choć jako naród zostaliśmy właściwie wydziedziczeni. Nic o realiach braku państwa i zaborów, odchodzenia w przeszłość pokolenia powstańców styczniowych czy weteranów Wiosny Ludów. Miłość została sprowadzona do pornograficznych klisz i egoizmu.

Maślona i Demirski nie stawiają żadnego z tych pytań, bo przecież to ich zupełnie nie interesuje. Potrzebują Prusa i jego „Lalki" wyłącznie do afirmacji własnych wizji kobiety i mężczyzny, kultury, ról społecznych. By wymazać, anulować i zlikwidować, a służącą im do tego wulgarność widzą wyłącznie jako normę. „Lalka", wypreparowana w ten sposób z realiów, w których została osadzona – nawet jeśli pieczołowicie zadbano o kostiumy i rekwizyty – jest raczej kolejnym aktem demolki symboli jeszcze dotąd niezdemolowanych. Oglądając te kilka

eprasa.pl b306bac7a5

odcinków, miałem wrażenie obcowania z kiczem, co prawda arogancko opierającym się na znanym dziele literackim i jego ekranowych adaptacjach, ale raczej plądrującym to, co u Prusa, Hasa i Bera wartościowe.

PYSKATA FEMINISTKA

Powieść i filmy ukazują rozpadający się porządek społeczny, który raczej murszeje i traci swe żywotne siły. Arystokraci stopniowo tracą swą pozycję społeczną, ale rodząca się polska burżuazja jest rachityczna. Nie ma rewolucji, więc twórcy wprowadzają na scenę feministyczną zapalczywość. Serialowa Izabela Łęcka, odgrywana w taki właśnie sposób przez Sandrę Drzymalską, to kobieta podejmująca walkę z patriarchatem, mężczyznami, obyczajem. Próba przekonania wszystkich, że Izabela musiała cierpieć, będąc adorowaną przez tłumy mężczyzn, z których jeden na dodatek zwariował. Odwrócenie osi książkowej historii nie jest jednak wizjonerstwem, ale właśnie perwersją jako metodą.

Ciekawe jest jednak to, że strojąca groźne miny Drzymalska nie tyle nie broni postaci, którą odgrywa, ile raczej eksponuje wszystkie wady Izabeli i zarazem współczesnej kobiety, w którą ją przebrano. Tej już „wyzwolonej" z konwenansu, rodziny i roli społecznej. Jako pyskata feministka Izabela zdaje się jeszcze głupsza niż książkowa. W ten sposób – i chyba wbrew woli twórców – owa „kobieta wyzwolona" stała się własną karykaturą, przypominającą raczej Martę Lempart i jej towarzyszki ze Strajku Kobiet. Pamiętajmy, że powieściowa Łęcka, znana również z dotychczasowych ekranizacji, to oczywiście postać niesympatyczna, kobieta próżna, rozpieszczona i emocjonalnie niedojrzała, wzorcowa reprezentantka klasy próżniaczej, prezentująca jednak swym zachowaniem i najlepszym wychowaniem, które odebrała, pociągający styl. No i w żadnym razie nieprzejawiająca dążeń emancypacyjnych, nieodrzucająca zamążpójścia i całkowicie zgadzająca się na przypisaną jej rolę.

Skonstruowanie Izabeli – tak znakomicie przecież opisanej przez Prusa – od nowa stanowi nadużycie. Efekt jest taki, że twórcy netfliksowej „Lalki" przerobili Łęcką na Adolfa z „Akademii Pana Kleksa" – lalkę, ale ożywioną przez Golarza Filipa. Jest mało wyrafinowana i rozwydrzona, gania od sceny do sceny z feministycznym bejsbolem, szukając okazji, by komuś przywalić. Małgorzata Braunek podkreślała, że Izabela to postać tragiczna, która za wszelką cenę chce zatrzymać odchodzący świat arystokracji. Jednocześnie pozostała kobietą z silnie rozwiniętymi wszystkimi kobiecymi potrzebami. Tymczasem kobiecość Drzymalskiej jest konsekwentnie przezwyciężana.

> Wypowiedziano nam wojnę, atakując czy podkradając nasze symboliczne dziedzictwo. Dominująca klasa „prostackich" i „wulgarnych" atakuje dziś od góry, ma do tego zasoby i próbuje odebrać nam nie tyle przeszłość w postaci niematerialnego dziedzictwa, któremu hołdujemy, ile również przyszłość

Łęcka, jak pisał Prus, była „niepospolicie piękna" i „wszystko w niej było oryginalne i doskonałe". Postać Drzymalskiej nie jest ani doskonała, ani oryginalna, ani czarująca, ani zbyt kobieca, ani fatalna. Jest wyłącznie pyskata. Ta metoda naprawdę przypomina obecną w bolszewickiej propagandzie świadomą rezygnację z tzw. arystokratycznego ideału kobiecości i zastąpienie go tęgimi robotnicami oraz grubo ciosanymi chłopkami, dziś wymienionymi w tej roli na równie grubo ciosane feministki. Nawet Starski nie zwariowałby dla żadnej z nich dla posagu.

TANDETA W CENIE

Ale nie możemy się niczemu dziwić. Film Pawła Maślony „Kos", choć równie ciężkostrawny jak „Lalka", również miał ambicje do bycia społeczno-politycznym moralitetem. Również używał postmarksistowskiego czy postkolonialnego schematu, zrównując np. zjawisko niewolnictwa Murzynów z polskim chłopem pańszczyźnianym. I też wyszła z tego heca, bo tkając tak komunistyczną z ducha przypowieść o przyczynach naszej katastrofy dziejowej, użył związków przyczynowych, wyśmianych lata temu przez Stanisława Bareję w „Brunecie wieczorową porą". Każdy pamięta nauczycielkę, tak kapitalnie odgrywaną przez Emilię Krakowską, która oprowadzając szkolną wycieczkę, przedstawia interpretację dziejów: „To jest butelka z XVII w., do której dziedzic nalewał wódkę. I rozpijał tą wódką pańszczyźnianych chłopów".

Netflix zasłynął jednak nie tylko z forsowania ideologii woke w sztuce filmowej, lecz także tym, iż nie żałuje pieniędzy na masową produkcję szmiry. Mieliśmy „Wiedźmina", wybitnie dowodzącego, że przy bardzo wysokim budżecie można było stworzyć adaptację jeszcze słabszą niż krytykowany kiedyś serial Marka Brodzkiego (2001), który nawet zyskał przez to na wartości. Również w produkcji Netfliksa scenarzyści napisali dialogi degradujące prozę Sapkowskiego, autora wszak w mistrzowski sposób operującego dialogiem. Całość została pozbawiona pierwotnego sensu, a wyrazistych bohaterów zastąpiły manekiny.

Zamiast więc kaleczyć „Lalkę", niech Paweł Maślona zabierze się w końcu za „Lubiewo" Michała Witkowskiego i przeniesie je na ekran, jak kiedyś zapowiadał. Ma tam wielkie pole do reinterpretacji. Albo niech „na nowo odczyta" „Zieloną granicę" i zdemaskuje Agnieszkę Holland jako agenta Putina i Łukaszenki. W końcu byłoby trochę śmiechu i może Donald Tusk też by polubił.

eprasa.pl b306bac7a5

Największe kłamstwa serialowej „Lalki”



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Historia Wokulskiego nie kończy się tak, jak pokazuje serial, Rzecki nie otrzymuje drugiego życia, a Warszawa sprawia wrażenie XXI-wiecznej metropolii, przebranej w XIX-wieczny kostium. Nowa „Lalka” Netfliksa ma niewiele wspólnego z powieścią. Co więcej, rozmija się nie tylko z książką Bolesława Prusa, lecz także z historią Warszawy i Królestwa Polskiego

Serialowa „Lalka” rozgrzała opinię publiczną do czerwoności. I to zarówno tych, którzy obejrzeli cały serial, jak i tych, którzy widzieli jeden lub kilka odcinków lub nie oglądali go wcale. Rozgorzała dyskusja nie tylko na temat jakości produkcji, lecz także tego, jak daleko można się posunąć w zmienianiu i reinterpretowaniu tekstu źródłowego, na podstawie którego tworzy się własne dzieło.

A w netfliksowej „Lalce” zmian w porównaniu z powieścią Prusa jest naprawdę dużo. Tak naprawdę nie sposób ich wszystkich wyliczyć w jednym tekście. Z serialu wypadają całe wątki, nie pojawia się mnóstwo postaci, a historie bohaterów zostają poprowadzone w zupełnie innym kierunku. Twórcy mieli prawo zrobić z „Lalką” niemal wszystko, pytanie tylko, czy jest to jeszcze „Lalka” Prusa. Dlatego warto wiedzieć, co zmienili i co przy okazji zgubili.

RZECKI BEZ POMYSŁU

Ignacy Rzecki jest jedną z największych ofiar nowej „Lalki”. Nie dlatego, że Dariusz Chojnacki gra go źle. Wręcz przeciwnie, aktorsko postać jest wyrazista. Problem polega na tym, że nie bardzo wiadomo, po co właściwie Rzecki istnieje w tej historii. W serialu nie jest przyjacielem Wokulskiego, lecz raczej jego zaufanym pracownikiem. U Prusa stary subiekt jest kimś znacznie więcej niż sympatycznym pracownikiem sklepu. To drugi narrator powieści, człowiek żyjący między epokami, relikt romantycznej wiary w Napoleona, uczestnik



Fot. Książek Iwo/Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl/b306bac7a5



Bolesław Prus

europejskich wydarzeń i świadek przemiany Wokulskiego.

W powieści ma również doświadczenie nieszczęśliwej miłości. Wspomina kobietę, którą kochał, choć ona interesowała się innymi mężczyznami. Nie jest to jednak najważniejszy element jego historii ani fundament całej postaci. Tymczasem Netflix w zasadzie buduje jego serialową biografię wokół romansu z Marianną, pracownicą Wokulskiego, której wątek został znacznie rozbudowany. Wokulski pomaga jej wyjść z prostytucji i znaleźć normalną pracę jako służąca w mieszkaniu Łęckich. Jednocześnie Marianna, z którą Rzecki ostatecznie się wiąże, dostarcza mu informacje o życiu panny Izabeli. W rezultacie stary subiekt staje się przede wszystkim jednym z uczestników melodramatycznej fabuły.

ELEKTRYCZNY SKLEP WOKULSKIEGO I WARSZAWA, KTÓREJ NIE MA

Jednym z ważnych wydarzeń w serialu jest otwarcie przez Wokulskiego odrestaurowanego sklepu i zaprezentowanie gościom nowości technicznej: lokal zostaje oświetlony za pomocą prądu. Warszawa rzeczywiście dopiero wchodziła w epokę elektryfikacji. Problem w tym, że na tym właściwie kończy się poważniejsza próba pokazania realiów ówczesnego miasta. Powieść Bolesława Prusa od początku zwracała uwagę czytelników niezwykle szczegółowym przedstawieniem Warszawy i jej mieszkańców. Miasto właściwie można uznać za jednego z głównych bohaterów książki.

Prus bardzo precyzyjnie osadził akcję w konkretnych punktach XIX-wiecznej Warszawy, a rzeczywiste szczegóły topograficzne pozwalają na jej rekonstrukcję i dokładne odtworzenie. Wokulski przechodzi przez wszystkie zaułki miasta. Z eleganckiego Krakowskiego Przedmieścia schodzi na Powiśle. Widzi przepych arystokracji, a także nędzę, czyli robotników i biedotę, ludzi żyjących na marginesie społeczeństwa. Dzięki temu „Lalka" staje się również powieścią o mieście gwałtownie modernizującym się, ale jednocześnie głęboko rozwarstwionym.

Ta opowieść o Warszawie w serialu praktycznie znika. Owszem, zdjęcia realizowano w mieście i łatwo poznać np. okolice kościoła św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. To jednak przede wszystkim efektowna scenografia. Za tym obrazem nie kryje się niemal żadna opowieść o Warszawie, jej mieszkańcach, przemianach, problemach i historii. A przecież mówimy o niezwykle interesującym momencie dziejów miasta. W efekcie historia opowiadana przez netfliksową „Lalkę" mogłaby rozgrywać się w niemal każdym XIX-wiecznym ośrodku, takim jak Londyn, Paryż, Moskwa, Wiedeń czy Budapeszt.

> Między serialem Netfliksa a książką istnieje przepaść. Czy wszystkie różnice należy uznać za błędy? Nie, chociaż część z nich każe się zastanowić, czy zasadne jest nazywanie serialu „Lalką". Być może właśnie dlatego przed seansem warto zrobić jedną rzecz: przeczytać powieść Prusa jeszcze raz

HISTORIA POZA KADREM

„Lalka" Prusa powstaje w świecie, który wciąż pamięta klęskę powstania styczniowego. Wokulski to były powstaniec i zesłaniec. Jego przeszłość stanowi jeden z powodów, dla których ta biografia jest tak niezwykła. Rzecki należy natomiast do starszego pokolenia europejskich rewolucjonistów. Doświadczenia obu bohaterów wpływają na sposób, w jaki postrzegają świat. Prus pokazuje społeczeństwo po klęsce romantycznych nadziei. Z jednej strony mamy pamięć o narodowej walce, z drugiej – pozytywistyczną wiarę w pracę, naukę, rozwój gospodarczy i stopniową odbudowę. Tymczasem serial niemal całkowicie pomija choćby świat nauki, który tak mocno fascynował pozytywistyczną naturę Wokulskiego.

Nie wiadomo nawet, w jakiej roli w mieście występują Rosjanie. Twórcy serialu pokazują różnice klasowe, konflikt płciowy, walkę o pieniądze i prestiż. Zdecydowanie najwięcej uwagi poświęcają jednak romantycznej relacji między Łęcką a Wokulskim.

EMANCYPANTKA

Izabela Łęcka z serialu Netfliksa również jest zupełnie inną postacią niż u Prusa. Próbuje wyrwać się z ograniczeń swojej epoki, ma ambicje, plany i znacznie większą sprawczość. Fabuła jest w dużej mierze budowana z jej perspektywy. W powieści Prusa Łęcka to przede wszystkim produkt własnego środowiska: wychowana



Fot. Shutterstock, Netflix, Polona.pl 3x

w świecie hierarchii, pozorów, konwenansów i przekonania o wyższości. Jej tragedia polega m.in. na tym, że nie potrafi dostrzec świata poza tym systemem, poza własnym wyobrażeniem o miłości i poza koniecznością ratowania statusu rodziny.

Netfliksowa Izabela otrzymuje znacznie bardziej współczesną autonomię i ambicje. Rozpoznaje system, w którym funkcjonuje i świadomie się przeciw niemu buntuje. Twórcy serialu mówili wprost, że chcieli uczynić z Izabeli Łęckiej postać bardziej żywą i ludzką, którą można zrozumieć – stąd m.in. motyw próby „ucieczki" z arystokratycznego porządku. Twórcy serialu przypisali Izabeli Łęckiej ambicje zawodowe związane z dziennikarstwem. W ten sposób trafia do Elizy Orzeszkowej i feministycznego magazynu „Bluszcz".

WALKA O PRAWA KOBIET

Eliza Orzeszkowa nie występuje w powieści Prusa, jej postać pojawia się jednak w serialu. Netflix wykorzystuje ją jako bohaterkę, która pomaga Łęckiej odnaleźć własną drogę. Izabela marzy o pisaniu dla „Bluszczu" i za wszelką cenę chce pomóc redakcji kierowanej przez Orzeszkową.

Warto jednak podkreślić, że „Bluszcz" nie był dziełem Orzeszkowej. Pismo powstało w 1865 r. z inicjatywy Michała Glücksberga, a jego pierwszą redaktorką była Maria Ilnicka. Co więcej, początkowy profil „Bluszczu" wcale nie był feministyczny, lecz konserwatywny. Dopiero z czasem pismo zaczęło prezentować program emancypacji kobiet. To prawda, że Orzeszkowa z nim współpracowała, ale warto również pamiętać, iż doszło do konfliktu między nią a czasopismem.

Historia samego „Bluszczu" jest zresztą znacznie bardziej fascynująca niż współczesny skrót wykorzystany w serialu. Pismo działało w realiach zaborów, zajmowało się kulturą, świadomością obywatelską i kwestią narodową. Wątek krzewienia ducha narodowego pod rosyjskim zaborem został jednak całkowicie pominięty.

Przy okazji tego wątku serial pokazuje także historię lekarki z dyplomem zdobytym w Zurychu, która ma problemy z uznaniem swoich kwalifikacji. W 1878 r. Warszawa rzeczywiście żyła sprawą Anny Tomaszewicz-Dobrskiej, pierwszej Polki z dyplomem lekarza. Studiowała ona w Szwajcarii, a po powrocie do kraju napotkała poważne bariery w uzyskaniu prawa do wykonywania zawodu. W styczniu 1878 r. jej kandydatura do Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego przepadła w tajnym głosowaniu. Sprawa wywołała publiczną dyskusję na temat dostępu kobiet do zawodów i edukacji. Co więcej, Bolesław Prus sam zabierał głos w obronie Tomaszewiczówny. W związku z tym do fabuły serialu włączono również częściowo wątki zaczerpnięte z późniejszej powieści Prusa, „Emancypantki".



Eliza Orzeszkowa



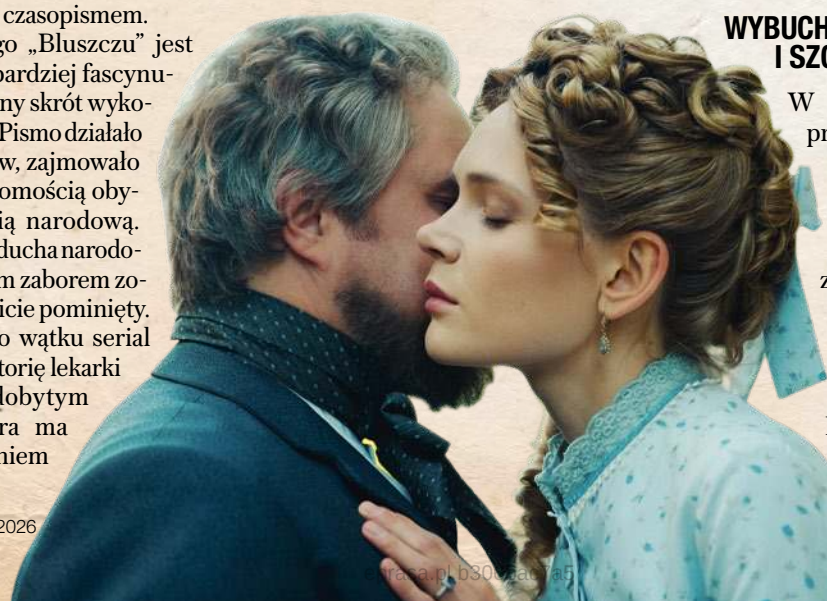
№ 36 Warszawa, dnia 27 Sierpnia (8 Września) 1875 r. Rok XI.—Tom XI.

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

WULGARNOŚĆ, SEKS, NARKOTYKI I PRZEMOC

Recenzenci zwracali uwagę na wulgarny język i daleko idące uwspółcześnienie „Lalki" w reżyserii Pawła Maślony. W produkcji pojawiają się również ostrzejsze sceny przemocy i seksualności. Netflix nie próbuje udawać, że oglądamy szkolną lekturę w kostiumach. Sam pomysł uwspółcześnienia nie musi być problemem, chociaż słuchanie niektórych dialogów wręcz kłuło w uszy. Bardziej zasadne pytanie brzmi jednak, co tracimy, kiedy XIX-wieczne społeczeństwo zaczyna mówić w dokładnie taki sam sposób jak współczesne. Prus był mistrzem ironii, a jego język budował hierarchie społeczne, rozwarstwienie klasowe i sposób myślenia bohaterów. Różnica między językiem arystokraty, kupca, subiekta czy mieszkańca Powiśla była istotną częścią konstrukcji świata przedstawionego w powieści. W serialu ta różnorodność w dużej mierze znika. Zostają współczesna wulgarność i dosadność, których widz może mieć serdecznie dosyć.



WYBUCHOWY FINAŁ I SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIE

W finałowym odcinku serial prowadzi bohaterów aż do kościoła, gdzie ma się odbyć ślub. U Prusa takiej sceny nie ma. W powieści pojawiają się zaręczyny i cały plan związany z małżeństwem, ale do uroczystości nie dochodzi w sposób przedstawiony przez Netfliksa. W książce Wokulski dowiaduje się o zdradzie Izabeli i jej relacji ze Starskim podczas podróży pociągiem.

01/0126/F/ZAL

To właśnie ten moment niszczy jego złudzenia. Następnie podejmuje próbę samobójczą pod Skierniewicami. Ratuje go dróżnik Wysocki. Później jednak jego los staje się zagadką. Wokulski znika, a pojawia się informacja o wybuchu w ruinach zamku w Zasławiu. Prus nie mówi wprost, że Wokulski zginął w eksplozji. Pozostawia czytelnikowi pole do spekulacji i domysłów.

Serial robi z finału relacji między głównymi bohaterami coś znacznie bardziej przewrotnego. Ślub niemal dochodzi do skutku, lecz zostaje wpisany w planowany przez bohaterów ciąg wydarzeń, którego punktem kulminacyjnym jest intryga związana z upozorowaniem samobójstwa Wokulskiego. Produkcja daje widzowi jednoznaczną opowieść o losie głównego bohatera. Tam, gdzie Prus zostawia znak zapytania, serial stawia kropkę.

I wreszcie rzecz fundamentalna: happy end. W powieści sklep Wokulskiego zostaje sprzedany i przechodzi w ręce Szlangbaumów. Rzecki bardzo przeżywa zarówno zmiany w firmie, jak i zniknięcie Wokulskiego. Jego stan zdrowia się pogarsza, w końcu stary subiekt umiera w swoim pokoju. Jego śmierć jest jednym z najbardziej gorzkich akcentów zakończenia „Lalki". Wokulski znika. Izabela wyjeżdża. Serial dokonuje natomiast czegoś zupełnie innego. Rzecki pozostaje z Marianną i razem prowadzą sklep. Koniec związku Izabeli i Wokulskiego jest melodramatyczny. Podczas gdy Prus pozostawił swoich bohaterów w świecie, który nie nagradza ich za dobre intencje, Netflix pozwolił części z nich odnaleźć szczęście i spokój.

WIELKA DEBATA

Skąd tak duże zainteresowanie serialem? „Lalka" to lektura, którą przeczytali niemal wszyscy. Jest uznawana za dobro narodowe, każdy może więc czuć się jej współwłaścicielem i mieć prawo do własnej opinii. Debata wokół „Lalki" Bolesława Prusa trwa zresztą od lat. Nie tak dawno dzieło zostało ostro skrytykowane przez krakowskiego poetę Jana Polkowskiego. Przekonywał on, że powieść Prusa nie jest arcydziełem realizmu w literaturze polskiej, lecz pamfletem na polskość, wpisującym się w ówczesną negatywną rosyjską narrację o Polakach. Zdaniem Polkowskiego Prus stworzył język fałszujący obraz Polski, który do dziś wpływa na nasze myślenie o polskości. Jednocześnie poeta przyznawał, że jego dzieło pozostaje nieusuwalnym elementem naszej tradycji. Właśnie dlatego „Lalka" wciąż wzbudza emocje.

Nie zmienia tego fakt, że między serialem Netfliksa a książką istnieje przepaść. Czy wszystkie różnice należy uznać za błędy? Nie, chociaż część z nich każe zastanowić się, czy zasadne jest nazywanie serialu „Lalką". Już przed premierą twórcy nie ukrywali, że ich produkcja nie będzie wierną ekranizacją powieści. Określali serial jako współczesną reinterpretację, świadomie rozbudowując fabułę o nowe tajemnice, konflikty i relacje. Być może właśnie dlatego przed seansem warto zrobić jedną rzecz: przeczytać „Lalkę" jeszcze raz.

Fot. Shutterstock, Netflix, Polona.pl 3x

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



Uzda Trumpa na Tuska

Obecny premier Polski boi się jedynie prezydenta Stanów Zjednoczonych i tylko ten strach hamuje jego odwetowe, niszczące demokrację wyczyny



STANISŁAW JANECKI

Od 2024 r. trwają jawne i niejawne interwencje prezydenta Donalda Trumpa oraz urzędników jego administracji w obronie polityków obecnej opozycji, a także ważnych instytucji państwowych oraz ich szefów, których Tusk chciałby wyrzucić, a nawet wsadzić do aresztów wydobywczych lub do więzienia po procesach pokazowych. Tusk i jego ludzie muszą się z tym liczyć oraz brać to pod uwagę w swoich planach odwetu na politykach oraz zamiarach „zdobycia" kolejnych instytucji.

O istnieniu swego rodzaju uzdy nałożonej na premiera Tuska przez prezydenta Trumpa 19 września 2026 r. wygadał się Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny. W Radiu ZET powiedział: „Ja nie chcę mówić, co prezydent Trump zrobi, czy wstrzyma [budowę stałej bazy USA]. Bo raz słyszymy, że wycofuje wojska z Polski, następnego tygodnia słyszymy, że te wojska zostają. Jednego dnia jest baza, później nie ma skonkretyzowanej żadnej decyzji amerykańskiej. Więc ja bym chciał, żeby Amerykanie, wspierając nas jako sojusznicy w kwestiach wojskowych, do spraw wewnętrznych Polski się nie mieszali. Dla nas najważniejsze jest, żeby polskie instytucje ochrony prawa działały, bo jeżeli nie działają i tutaj jest całkowity paraliż niektórych instytucji, to Rosja zaciera ręce i tak naprawdę Putin się cieszy z tego, co się dzieje. Więc my musimy przywrócić działanie prawa". Tłumaczenie walką z Putinem demolowania państwa prawa w imię jego przywracania jest czystą groteską i służy tylko na użytek wewnętrzny. Ale ta demolka nie pozostaje w USA niezauważona, a do Warszawy płyną kolejne ostrzeżenia.

W otoczeniu Donalda Tuska można usłyszeć, że 18 września 2026 r. nie doszło do fizycznego ataku na Trybunał Konstytucyjny i jego prezesa Bogdana Święczkowskiego, bo z Waszyngtonu nadeszły wyraźne groźby, że Tusk zapłaciłby za to bardzo wysoką cenę. Za ostrzeżenie

Fot. Andrzej Wiktor, Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl b306bac7a5

uważa się również odwołanie (przełożenie) wizyty w Waszyngtonie wicepremiera i ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza, choćby rządzący wymyślili tysiąc „zwykłych" powodów, dlaczego tak się stało.

W wypowiedziach polityków – zarówno rządzących, jak i opozycyjnych – oraz w polskich mediach sugestie, że administracja Donalda Trumpa blokuje rządowi Donalda Tuska możliwość „odwetu" lub uderzania w konkretne osoby i instytucje, zaczęły się intensywnie pojawiać po wygranych przez Trumpa wyborach prezydenckich w USA pod koniec 2024 r. oraz w 2025 i 2026 r., gdy ukształtowała się nowa dynamika relacji Waszyngtonu z Warszawą, a najważniejszym graczem stał się prezydent Karol Nawrocki.

PARASOL OCHRONNY

Ważną sprawą, przy której pojawiały się doniesienia o „parasolu ochronnym" USA i Trumpa, była kwestia zapowiadanego przez Koalicję Obywatelską postawienia prezesa NBP Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Pod koniec 2024 r. i w 2025 r. do rządzących regularnie napływały ostrzeżenia, że amerykańska administracja nie pozwoli na destabilizację polskiego banku centralnego. Dawano do zrozumienia, iż uderzenie w niezależność NBP spotka się z natychmiastową reakcją amerykańskich instytucji finansowych i samej administracji Trumpa, co mogłoby odciąć Polskę od rynków kredytowych lub utrudnić obsługę długu. W efekcie w 2025 i 2026 r. Tusk faktycznie „wyhamował" z bezpośrednimi atakami na prof. Glapińskiego ze strachu przed reakcją Waszyngtonu.

Kolejnym obszarem konfrontacji były relacje rządu z nowym prezydentem RP, Karolem Nawrockim. Prezydent USA demonstracyjnie „upokarzał" Tuska i dawał sygnały, że wszelkie próby frontalnego, instytucjonalnego paraliżowania działań prezydenta czy rzucania mu kłód pod nogi spotkają się z odwetem USA.

Na przełomie 2024 i 2025 r. na platformie X oraz w wypowiedziach niektórych polityków prawicy, np. Marka Jakubiaka, zaczęły krążyć informacje, jakoby prawnicy Donalda Trumpa przygotowali pozwy przeciwko Donaldowi Tuskowi i Radosławowi Sikorskiemu za ich wcześniejsze wypowiedzi z kampanii wyborczej uderzające w prezydenta USA, otwarcie oskarżające go o agenturalną działalność dla Rosji. Choć doniesienia o zamiarze domagania się od Tuska i Sikorskiego wielomilionowych odszkodowań nie zostały potwierdzone, stworzyły silną sugestię, że administracja Trumpa posiada prawno-finansowy „hak" na szefa rządu, grożący międzynarodowym skandalem, co studziło zapał do agresywnych rozliczeń i odwetu w Polsce. Donald Tusk musiał powstrzymywać swoje zaplecze przed siłowymi rozliczeniami, ponieważ Donald Trump traktuje polskie instytucje (takie jak NBP czy urząd prezydenta) jako strefę stabilności strategicznej NATO, której rząd w Warszawie nie ma prawa naruszyć pod groźbą marginalizacji na arenie międzynarodowej.

Pojawienie się Zbigniewa Ziobry w Stanach Zjednoczonych w maju 2026 r. oraz późniejsze starania polskich władz o jego wydanie spotkały się z wyraźnie protekcyjną postawą administracji Donalda Trumpa wobec byłego polskiego ministra sprawiedliwości. Wizę wjazdową do USA wydano Ziobrze w trybie przyspieszonym, na bezpośrednie polecenie Christophera Landaua, zastępcy amerykańskiego sekretarza stanu, który nakazał Departamentowi Stanu ułatwienie całej procedury. Zrobiono to tak, aby Donald Tusk nie miał złudzeń, że była to polityczna decyzja samego Donalda Trumpa. Gdy polskie władze i media zaczęły dopytywać o podstawy prawne pobytu polityka w USA – mimo że unieważniono mu paszporty – Departament Stanu USA odmówił ujawnienia szczegółów, powołując się na poufność danych wizowych. W czerwcu 2026 r. Ed Martin, pełnomocnik prezydenta USA ds. ułaskawień, oświadczył, że Ziobro jest atakowany przez polskie media, rząd Donalda Tuska oraz wymiar sprawiedliwości w dokładnie taki sam agresywny sposób, w jaki amerykański establishment i demokraci atakowali Donalda Trumpa. Ta retoryka była jasnym sygnałem, że Biały Dom traktuje sprawę Ziobry jako element „politycznej wendety", a nie zwykły proces karny.

Polski rząd i Prokuratura Krajowa 27 lipca 2026 r. skierowały do USA wniosek o tymczasowe aresztowanie i ekstradycję Zbigniewa Ziobry. Trafił on na biurko sekretarza stanu USA Marco Rubio. Zgodnie z procedurą dokumenty muszą zostać ocenione przez Departament Sprawiedliwości USA, a następnie dostarczone do sądu federalnego. Do jesieni 2026 r. amerykańskie władze nie podjęły żadnych kroków zmierzających do zatrzymania Ziobry. W otoczeniu Tuska panuje przekonanie, że dopóki w Białym Domu zasiada Donald Trump, wniosek o ekstradycję Ziobry będzie maksymalnie zamrażany lub zostanie ostatecznie odrzucony pod zarzutem politycznego podłoża oskarżeń.

PREZYDENT ZAMIAST PREMIERA

Nałożenie przez Donalda Trumpa uzdy Donaldowi Tuskowi i jego rządowi wynika m.in. z tego, że specjalne relacje z prezydentem USA utrzymuje prezydent Karol Nawrocki. Publiczne komplementy ze strony amerykańskiego prezydenta miały kluczowe znaczenie polityczne – stworzyły wokół polskiej opozycji i osób ściganych przez rząd Tuska potężny parasol ochronny. Ostentacyjnie podkreślając, jak bardzo ceni prezydenta Karola Nawrockiego, Donald Trump wysłał jasny sygnał, że dla Białego Domu to nie premier Tusk, lecz prezydent Nawrocki jest jedynym suwerennym i wiarygodnym reprezentantem Polski. Gdy w sierpniu 2026 r. Waszyngton pominął Tuska w kluczowych naradach wojennych dotyczących Ukrainy, zapraszając Karola Nawrockiego, pozycja rządu Tuska na arenie międzynarodowej została drastycznie obniżona. Tusk nie mógł ryzykować otwartej wojny dyplomatycznej z USA, co zmusiło jego gabinet do wycofania się z najbardziej radykalnych, siłowych prób marginalizowania pałacu prezydenckiego w kraju.

Bliska relacja Trumpa z Nawrockim pozwoliła na zbudowanie w Waszyngtonie konkretnej narracji na temat sytuacji wewnętrznej w Polsce. Środowisko skupione wokół polskiego prezydenta przekonało administrację Trumpa, że działania rządu Koalicji Obywatelskiej

eprasa.pl b306bac7a5

nie są próbą przywracania praworządności, lecz zwykłym odwetem, motywowanym politycznie. To dzięki bezpośrednim kanałom komunikacji i zaufaniu Trumpa do Nawrockiego urzędnicy tacy jak Ed Martin porównywali ściganego Ziobrę do Donalda Trumpa. Skoro Trump uważał Nawrockiego za przyjaciela i demokratycznie wybranego lidera, to automatycznie uznał, że ludzie, których ten broni (lub z którymi współpracował), są ofiarami tego samego „głębokiego państwa", z którym Trump walczy u siebie.

Ustawiczne chwalenie Nawrockiego przez Trumpa dało polskiemu prezydentowi potężną kartę przetargową w polityce krajowej. Za każdym razem, gdy rząd Tuska próbował uderzyć w instytucje obsadzone przez poprzednią władzę (np. zamiar postawienia Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu, zmuszenie do odejścia prezesa TK Bogdana Święczkowskiego albo czystki w sądownictwie), prezydent Nawrocki mógł się powołać na swoje bezpośrednie związki z Białym Domem. Dla rządu Tuska stało się jasne, że uderzenie w ludzi i urzędy chronione przez Nawrockiego wywoła natychmiastową, personalną reakcję Donalda Trumpa, np. w postaci sankcji dyplomatycznych, ochłodzenia relacji wojskowych czy retorsji gospodarczych. To właśnie ta asymetria sił zmusiła Tuska do „wyhamowania" rozliczeniowych igrzysk.

NAWROCKI MA TO POD KONTROLĄ

Sztab prezydenta Karola Nawrockiego zbudował w relacjach z administracją Donalda Trumpa precyzyjną i wielopoziomową argumentację. Jej głównym celem było przedstawienie głowy polskiego państwa i Kancelarii Prezydenta jako jedynego gwaranta stabilności i lojalności wobec USA. Podczas wizyt w Waszyngtonie (m.in. we wrześniu 2025 r. oraz w czerwcu 2026 r.) otoczenie Karola Nawrockiego posługiwało się kilkoma ważnymi argumentami, przede wszystkim „antyamerykańskości" i braku lojalności rządu Tuska. To był najbardziej bezpośredni i bolesny dla rządu cios dyplomatyczny. Udokumentowano, że Donald Tusk i Radosław Sikorski prowadzili i nadal prowadzą „antyamerykańską narrację", a relacji z USA nie buduje się poprzez „obrażanie lidera Stanów Zjednoczonych". W Waszyngtonie zauważono, iż rząd Tuska jest mentalnie i politycznie zorientowany na Berlin i Paryż, a nie na Waszyngton, Koalicja Obywatelska stanowi natomiast siłę, która w razie konfliktu interesów między UE a USA wybierze linię europejską, podczas gdy prezydent Nawrocki pozostanie wiernym sojusznikiem Ameryki.

> Rząd Tuska został zepchnięty do defensywy i musi się tłumaczyć przed Amerykanami ze swoich działań, podczas gdy prezydent Karol Nawrocki stał się dla Białego Domu głównym partnerem do rozmów o bezpieczeństwie i geopolityce w regionie

Ważnym argumentem było podnoszenie zagrożenia dla bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO. W kontekście trwającej wojny na Ukrainie i zagrożenia ze strony Rosji prezydent Nawrocki oraz jego zaplecze grali kartą stabilności militarnej. Amerykanie dowiedzieli się, że działania rządu Tuska zmierzające do przeprowadzenia głębokich czystek w armii, służbach specjalnych oraz próby paraliżowania instytucji państwowych osłabiają Polskę w krytycznym momencie historycznym. I Donald Trump zaczął publicznie powtarzać tę narrację: gdy Donald Tusk ostrzegał przed rosyjskimi atakami hybrydowymi, Trump ucinał temat stwierdzeniem, że „Karol Nawrocki ma to pod kontrolą" i wykonuje „fantastyczną pracę", całkowicie pomijając w strukturze bezpieczeństwa rząd Tuska. W Waszyngtonie kupiono też argument o „politycznej wendecie" zamiast przywracania praworządności. Wytłumaczono doradcom Trumpa, że działania rządu Tuska to nie są „rozliczenia i powrót do praworządności", ale ordynarna, polityczna zemsta mająca na celu zniszczenie opozycji. Używano pojęć bliskich Trumpowi – mówiono o „politycznym polowaniu na czarownice" (ang. witch hunt) oraz działaniu polskiego odpowiednika deep state (głębokiego państwa).

ODWRÓCONY PODZIAŁ RÓL

Karol Nawrocki i jego zaufani ludzie doskonale wiedzieli, że Donald Trump ceni twarde transakcje biznesowe. Przedstawili więc ofertę, której rząd Tuska – związany unijnymi procedurami i przetargami – nie mógł przebić. Deklarowali pełne poparcie dla wielkich kontraktów zbrojeniowych i energetycznych wyłącznie z firmami z USA (m.in. budowa elektrowni atomowych przez Westinghouse, zakupy myśliwców, czołgów i systemów rakietowych). Prezydent Karol Nawrocki uczynił z zabiegów o stałe bazy wojskowe USA w Polsce swój główny cel strategiczny. Przekaz dla Trumpa był prosty: „Damy zarobić amerykańskiemu przemysłowi i zapewnimy realizację waszych interesów w Europie Środkowej, ale w zamian potrzebujemy waszego pełnego poparcia politycznego, także przeciwko Donaldowi Tuskowi".

Ta strategia przynosi efekty. Podział ról w relacjach z USA został całkowicie odwrócony. Rząd Tuska został zepchnięty do defensywy i musi się tłumaczyć przed Amerykanami ze swoich działań, podczas gdy prezydent Karol Nawrocki stał się dla Białego Domu głównym partnerem do rozmów o bezpieczeństwie i geopolityce w regionie. Tusk musi się liczyć z Trumpem, bo ten może mu realnie zaszkodzić, co ma szczególne znaczenie w kontekście wyborów parlamentarnych w 2027 r.

eprasa.pl b306bac7a5

Polska musi przewodzić

Z mojego punktu widzenia, jeśli Kreml nie był w stanie zdobyć Ukrainy, jeśli nadal nie okupuje tego kraju, Polska nie ma się czego obawiać. Mówię to bardzo poważnie: w globalnym systemie geopolitycznym zaszła fundamentalna zmiana

Jacek Karnowski rozmawia z George'em Friedmanem, amerykańskim politologiem, założycielem i prezesem ośrodka analitycznego Geopolitical Futures i portalu geopoliticalfutures.com



Fot. Fratria

W pana opinii wojna na Ukrainie, którą uważnie śledzimy już od ponad czterech lat, jest rzeczywiście kluczowa dla przyszłości Polski, naszego regionu Europy, a szerzej – całego świata?

George Friedman: W mojej ocenie ta wojna już się skończyła, a Rosja poniosła klęskę. Przewidziałem, że Rosja zaatakuje Ukrainę, ponieważ dystans pomiędzy granicą Ukrainy a Moskwą to 450 km. To niewiele – zbyt niewiele jak dla Rosji. Napoleon przegrał z logistyką. Gdyby miał bliżej, może by wygrał.

Przewidywał pan, że Kreml przegra?

Nie przewidziałem tego, jak fatalnie Rosja będzie sobie radziła w tej walce. To było dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Wychowałem się w przekonaniu, że rosyjscy żołnierze są silni, bardzo wysocy, sprawni, nie do pokonania.

U nas, w Polsce, opinie o rosyjskich żołnierzach były wyraźnie inne.

Ale ja w głowie miałem taki obraz. Tymczasem oni uderzyli trzema kolumnami: jedna ruszyła na Kijów, druga w środek kraju, trzecia na wschodzie. Tak wyglądał początek tej wojny. Każda z tych kolumn działała samodzielnie, te zgrupowania nie pomagały sobie wzajemnie. A potem zobaczyłem, jak rosyjski czołg staje pod Kijowem, bo brakuje mu paliwa. Tak wyglądała ich logistyka.

Rosjanie uwierzyli we własną propagandę: sądzili, że inwazja zajmie im trzy dni.

Okazali się niezdolni do podbicia Ukrainy. Próbują od niemal pięciu lat, z fatalnym dla siebie skutkiem. Rosja już nie jest globalnym supermocarstwem, jest ledwie mocarstwem regionalnym.

Ale to wciąż kraj, który dysponuje „bandycką suwerennością": może robić i robi rzeczy, na które inne kraje o podobnej sile nigdy się nie zdecydują. Bo są związane siecią międzynarodowych powiązań, zależności, instytucji. Nie chcą niszczyć międzynarodowego zaufania, obawiają się sankcji i własnej opinii publicznej. Rosja się tego wszystkiego nie obawia. Czy to nie sprawia, że jej siłę trzeba mierzyć inaczej?

Stany Zjednoczone też robią rzeczy, które wykraczają poza przyjęte normy. Tym, co istotne, jest to, że Rosja podejmuje działania poza normami i jednocześnie nie osiąga strategicznych sukcesów. Fundamentalną kwestią nie są sprawy taktyki czy strategii, ale właśnie pytanie o powodzenie tych wszystkich przedsięwzięć. Fakt, że Rosjanie nadal walczą blisko swojej granicy, jest wyjątkowo wymowny. Z mojego punktu widzenia, jeśli Kreml nie był w stanie zdobyć Ukrainy, jeśli nadal nie okupuje tego kraju, Polska nie ma się czego obawiać. Mówię to bardzo poważnie: w globalnym systemie geopolitycznym zaszła fundamentalna zmiana.

Jak wygląda dziś system globalny?

Stany Zjednoczone są globalną siłą w każdym obszarze. Chiny są globalną siłą ekonomiczną i regionalną siłą militarną. Rosji już nie ma w tej grze.

eprasa.pl b306bac7a5

Ale to oznacza również, że Rosja jest bardzo groźna, bo kraje, które czują, iż tracą swój status, często uciekają się do agresji.

Jeszcze raz: pięć lat ciężkich walk. Podejście pod Kijów, potem wymuszona ucieczka, odwrót. I front blisko własnych granic. Przez długie lata nie wygrzebią się z tej klęski. Ludzie wciąż mają w głowach zimną wojnę, wciąż pamiętają czasy rosyjskiej potęgi, ale to nie powinno wpływać na fakty, na zimny ogląd sytuacji. Sprawa jest prosta: Rosja poniosła klęskę.

Czy wobec tego Polska robi słusznie, kontynuując bardzo drogi program rozbudowy sił zbrojnych, w tym zakupy dużej ilości nowoczesnego uzbrojenia i zwiększanie liczebności wojska?

Sądzę, że Rosja poniosła klęskę. Była światowym mocarstwem, stała się siłą regionalną. Sądzę, że potrzebuje przynajmniej jednego pokolenia, by się odbudować. I to jest czas dany Polsce na przygotowanie się do nowego zagrożenia. Rozbudowa sił zbrojnych nie jest więc marnowaniem pieniędzy.

Dlaczego rosyjskiej armii nie udało się podbić Ukrainy?

Było wiele przyczyn, ale w mojej ocenie najważniejsze są kwestie związane z dowodzeniem. Najpierw Clausewitz, a następnie myśl amerykańska, ujmuje to następująco: dowódcy wydają rozkazy, wskazują cel, ale oficerowie i żołnierze mają dużą swobodę doboru środków, mogą nawet improwizować na miejscu. Generałowie mówią, gdzie trzeba dojść, ale nie mówią, którą dokładnie drogą.

Elastyczna struktura?

Tak. I wojska ukraińskie właśnie tak się zachowywały. Rosjanie nigdy nie przyjęli takiego sposobu postępowania i to kosztowało ich przegraną. U nich wciąż o wszystkim, o każdym szczególe, decydują generałowie. Niższe szarże nie mają przestrzeni do bycia innowacyjnymi, muszą ściśle trzymać się otrzymanych rozkazów. Jest to więc kwestia kulturowa.

Czy to jednak było zaskoczeniem? Rosja zawsze wybierała centralizm, a nawet zamordyzm.

To prawda, wiedzieliśmy, że Rosjanie budują sztywne struktury. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, że są one aż tak sztywne. I że nawet po pierwszych klęskach niczego nie zmienią. Ale ma pan rację, w przyszłości Rosja może się wygrzebać z tego bagna, ponieważ klęski ogólnie są cenną lekcją dla narodów. Rosja nie jest ostatecznie skończona, ale macie teraz czas na przygotowanie się. I musicie to zrobić.

W swojej słynnej książce „Następne 100 lat" przewidywał pan, że Polska będzie jednym z krajów, które skokowo zyskają na znaczeniu, awansują do wyższej ligi, stając się mocarstwem regionalnym. Tamto proroctwo bardzo nam pochlebiło, myślę, że potrzebowaliśmy takiej zachęty.

Wielu się wówczas śmiało z moich słów.

Tak było. Ale dziś Ukraina ma apetyt na status mocarstwa regionalnego. Wskazuje na swoją ostrzelaną armię. Jednocześnie to kraj, który bardzo ucierpiał w wyniku wojny, stracił wielu mieszkańców. Czy Ukraina może stać się poważnym graczem na geopolitycznej scenie?

Ukraińcy mają coś cennego: pokolenie, które walczy, które poznało smak walki. Potęgę Ameryki zbudowało pokolenie, które walczyło w II wojnie światowej. Później już nie mieliśmy takiej generacji. Ale to powojenne pokolenie zrozumiało ważną rzecz: nigdy nie możemy być słabi. Nie wystarczy, że będziemy bogaci, musimy mieć siłę. I dlatego USA tak dbały i dbają o swoją armię. Sądzę, że Ukraina też przyjmie takie założenie: musi mieć siłę. Co ważne, to nie jest kraj agresywny, oni się jedynie bronią.

Oni walczą o życie, o swoje państwo.

Bronią się skutecznie, są dzielni, dobrze zorganizowani, ale nie mieliby szans, gdyby nie amerykańskie dane wywiadowcze, gdyby nie amerykańska i europejska broń. Jestem pewien, że w przyszłości będzie to poważny gracz. Ale nie natychmiast, potrzebują czasu. A Polska już teraz ma swobodę działania. Może robić, co chce dla swojego rozwoju i wiele już zrobiła. Stany Zjednoczone nie bez przyczyny widzą w Polsce istotną siłę.

> W istocie są dwie Europy. Jest Europa, która zbudowała światowy system kolonialny: Francja, Wielka Brytania, Hiszpania, Holandia. I jest Europa Wschodnia. Różnice pomiędzy tymi dwiema Europami są fundamentalne. Nie ma jednego europejskiego doświadczenia, są dwa doświadczenia

Jak w tym wszystkim wygląda rola Niemiec? Czy wyborcze sukcesy AfD powinny nas niepokoić?

Kilka pokoleń po wojnie pojawiła się partia, która mówi otwarcie, że Niemcy mają swoje interesy. To jeszcze nie czyni z nich faszystów. To jest w pełni usprawiedliwiona postawa.

Mamy jednak swoje doświadczenia. Wiemy, że gdy Niemcy upominają się „o swoje", może się to skończyć tragedią na skalę światową. To są pewne wzorce, które wracają. To niemieckie zbrodnie sprawiły, że Niemcom wolno mniej niż innym.

Pokolenia, które zbudowały nazistowskie Niemcy, już odeszły, wymarły. Jest całkowicie naturalne, że pojawia się koncepcja zamknięcia tego rozdziału, nowego podejścia. To wręcz nieuniknione. Byłem w Niemczech, patrzyłem na AfD i nie mam wrażenia,

eprasa.pl b306bac7a5

że to jest jakiś powrót nazizmu. Oni uważają, że zapłacili cenę za swoje czyny, że nigdy już niczego takiego nie zrobią, ale że jednocześnie mogą iść własną narodową ścieżką, bez zewnętrznego dyktatu Ameryki czy Francji.

W tle jest wielki problem współczesnego Zachodu, czyli ogromna skala imigracji z Azji i Afryki. Nie byłoby takiej potęgi AfD, gdyby nie ta sprawa. Czy imigracja, stopień nasycenia przybyszami, staje się czynnikiem, który należy uwzględniać w myśleniu geopolitycznym?

Na pewno. Ale krajom europejskim zalecam branie przykładu ze Stanów Zjednoczonych Ameryki – kraju, który zbudowali imigranci, wielkie fale imigracyjne. Każda z tych fal była na początku pogardzana, otoczona niechęcią, nawet wrogością i musiała podejmować najgorsze prace. Dotyczyło to również Niemców, o których Benjamin Franklin napisał słynny pamflet, nazywając ich „gburami". Później szydzono z katolików, z Irlandczyków i Włochów. Zawsze powtarzał się ten sam model: pierwsze pokolenie żyło na marginesie, drugie pięło się już bardzo wysoko. A działo się tak dlatego, że USA miały i mają świetny system integracji przybyszów, którego nie ma Europa.

Na czym polega istota tego systemu?

Najważniejsze jest, by nie przyjmować zbyt wielu przybyszów jednocześnie. Dlatego mamy systemy kwotowe. Jeśli Węgry liczą 9 mln ludzi, to nie są w stanie zaabsorbować, powiedzmy, 2 mln przybyszów. To fizycznie niemożliwe. To, co zrobili Europejczycy, jest wysoce nielogiczne, sprzeczne z regułami funkcjonowania świata. Stała za tym pełna dobrych intencji bezmyślność lewicy. To ona wywołała obecny kryzys o bezprecedensowej skali.

W Stanach Zjednoczonych ten problem też narasta, następuje rozprężenie systemu, tworzą się getta, dominacja kultury anglosaskiej słabnie.

W Ameryce problem rozwiązał Donald Trump. Zrobił to w charakterystyczny dla siebie, dziwny sposób, ale zrobił. Skończył z otwartymi granicami, z tym, co Joe Biden skopiował z Europy, i faktycznie powrócił do systemu kwotowego. I dobrze, że to zrobił, bo liberalizm doszedł do punktu, w którym zupełnie nie rozumie własnych społeczeństw. Moralne zasady, bardzo wzniosłe, są ważne i piękne, ale nie zawsze da się je zastosować w praktyce.

Czy nie jest także nadużywane pojęcie „uchodźcy", przewidziane dla ludzi uciekających przed bezpośrednim zagrożeniem?

Moi rodzice byli uchodźcami, uciekali przed Holokaustem, niektórzy członkowie uciekali także przed

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



niedziela TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja Instytut Mediów

WIĘCEJ O AKCJI POMOCY:

eprasa.pl b306bac7a5

komunistami. Oni rzeczywiście byli uchodźcami. Dziś Europejczycy traktują ludzi szukających lepszego życia jako uchodźców. Uchodźcą jest ktoś, kto ucieka przed przemocą, przed namacalnym zagrożeniem.

Co można z tym zrobić? Reemigracja jest możliwa?

Na to jest już za późno. Ale wiele można zrobić. Imigranci muszą dostawać zachęty do wchodzenia do miejscowej kultury, takie jakie ja dostawałem w swojej amerykańskiej szkole. A nawet więcej niż zachęty: ludzi można i trzeba przymuszać do pewnych zachowań, działań. Moi nauczyciele również byli Żydami, ale naciskali, byśmy np. uczyli się hymnów religijnych. Bo to jest część amerykańskiej kultury. Mówili, że jeśli chcesz być Amerykaninem, musisz się nauczyć pewnych rzeczy, musisz znać pieśni, które śpiewają. Musisz rozumieć reguły gry w baseball. Szkoła wymagała tego wszystkiego, mimo że budziło to czasami sprzeciw moich rodziców.

W wielu miejscach w Europie imigranci w szkołach stanowią już większość.

Oczywiście można to zrobić tylko wówczas, gdy imigranci nie dominują w danej społeczności. Dlatego mówię o wielkim błędzie, który popełniła Europa, przyjmując tak wielu przybyszów w ciągu tak krótkiego okresu.

Przyjechał pan do Polski w związku z konferencją poświęconą Trójmorzu, którą zorganizował Instytut Sobieskiego. Czy pana zdaniem ten projekt może rzeczywiście złapać wiatr w żagle?

Unia Europejska ma obecnie wyższy produkt krajowy brutto niż Chiny. Gdyby była jednym państwem, byłaby supermocarstwem. Ale to niemożliwe, ponieważ w istocie są dwie Europy. Jest Europa, która zbudowała światowy system kolonialny: Francja, Wielka Brytania, Hiszpania, Holandia. I jest Europa Wschodnia, wciąż używam tego wyrażenia. Różnice pomiędzy tymi dwiema Europami są fundamentalne. Nie ma jednego europejskiego doświadczenia, są dwa doświadczenia.



Fot. Fratria

> Niech kraje Intermarium słuchają Piłsudskiego, który zrozumiał, że ten region ma swoją drogę, że jest odmienny od Zachodu. Piłsudski jest ojcem Trójmorza. Słuchajcie go

Na czym polega różnica między tymi dwiema Europami?

Obie części nie ufają sobie do końca. Europa, która miała kolonie, wciąż myśli, że może decydować. Z kolei część wschodnia jest obecnie najbardziej dynamiczną częścią kontynentu. Wystarczy spojrzeć na to, co osiągnęli Polacy. Ale wiele krajów Europy Wschodniej to kraje niewielkie, z małą liczbą ludności, samodzielnie nie są w stanie prosperować. Jeśli Intermarium, jak mówię za geniuszem Piłsudskim, ma zostać zorganizowane w jakąś całość, musi to być coś innego niż Unia Europejska. UE nie została zaprojektowana do tego celu. NATO również nie.

Ale te małe kraje często boją się wychylać. Łatwo też przekupić je jakimś datkiem lub po prostu zastraszyć.

Jeśli kraje Intermarium, zwłaszcza małe, nie połączą swoich sił, zostaną rozdzielone pomiędzy siły zewnętrzne. Nie ma innego wyjścia. To jest wyjątkowa szansa: region przez wieki spychany na margines nagle może zbudować coś własnego. Nie mogę niczego gwarantować, mogę tylko przewidywać. I przewiduję, że jeśli te kraje nie połączą się, być może nawet nie wyjdą z Unii Europejskiej, nie zbudują własnego systemu ekonomicznego i także nie stworzą własnej siły zbrojnej, to stracą wielką szansę. Przewidziałem, że Polska będzie rosła, będzie zyskiwała. Nie opierałem tej tezy na mojej miłości do Polski, opierałem ją na konieczności.

W jakim sensie?

Wiedziałem, że to się musi wydarzyć. Teraz tak samo: kraje Intermarium powinny zachować swoją tożsamość, ale powinny również zrozumieć, że dzielą wspólny los. Rozumieją się nawzajem. Są dynamiczne. Ale Polska musi przewodzić.

Dlaczego właśnie Polska?

Polska wzięła odpowiedzialność za swoją obronę. Polska stworzyła 20. gospodarkę świata. Polska musi pomóc Intermarium wykorzystać pierwszą taką okazję od setek lat. Nie przemocą, ale przykładem. Niech zazdroszczą Polsce, niech chcą być jak Polska. Niech słuchają Piłsudskiego, który zrozumiał, że ten region ma swoją drogę, że jest odmienny od Zachodu. Piłsudski jest ojcem Trójmorza. Słuchajcie go.

eprasa.pl b306bac7a5



Fot. KPRM

Raport, którego nie było

Sprawa rzekomego raportu CIA dobitnie pokazuje, że Donald Tusk traktuje bezpieczeństwo kraju wyłącznie w kategoriach propagandowych i wewnętrznej rozgrywki politycznej. Szkody z tego będą ogromne. Z jednej strony Rosja dostała kolejny sygnał, że w Polsce nie ma konsensusu w sprawach bezpieczeństwa, z drugiej – społeczeństwo znów zobaczyło, że ostrzeżenia szefa rządu mogą być zwykłym blefem



PIOTR GURSZTYN

To wszystko wcale nie musiało tak wyglądać. Nie musiało być politycznej awantury. Po fakcie widać, że nikt nie miał z tego politycznego zysku. Wszystko wynikło ze skłonności premiera Donalda Tuska do łatwego rzucania słów, również w najbardziej poważnych tematach.

Początek to wizyta ministra koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka w USA. Spotkał się tam z szefem CIA Johnem Ratcliffem. Przypomnijmy, że charakter wizyty nie był rutynowy. Rząd Tuska – z wyjątkiem szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza – utrzymuje bardzo ograniczone kontakty z obecną amerykańską administracją, tak więc samo spotkanie miało znaczenie. Jego waga była tym większa, że odbyło się ono krótko po nadzwyczajnej wizycie Ratcliffe'a w Moskwie.

Od razu po spotkaniu Siemoniak zamieścił wpis na platformie X: „Jestem po bardzo ważnej rozmowie w siedzibie CIA z szefem Johnem Ratcliffem. Przekazałem właśnie premierowi Donaldowi Tuskowi najistotniejsze informacje dotyczące bezpieczeństwa Polski, które wynikają z tego spotkania". Chwilę później w rozmowie z dziennikarzami doprecyzował, że od razu po spotkaniu w siedzibie CIA zatelefonował do Tuska i tą drogą poinformował o treści rozmów. Nie mówił o raporcie otrzymanym z CIA. Dodał, że po powrocie złoży pełną relację.

PRAWO DO INFORMACJI

Wtedy zaczęły się problemy. Donald Tusk dał bardzo alarmistyczną w swym tonie wypowiedź: „Otrzymałem w ostatnich godzinach dość precyzyjny raport bezpośrednio od szefa CIA dotyczący możliwych zdarzeń w najbliższych miesiącach i tak, jak już na ten temat mówiłem i ostrzegałem od wielu miesięcy" – stwierdził na konferencji prasowej. I tak komunikat został odebrany przez opinię publiczną, polityków opozycji i media, czyli że do rąk szefa polskiego rządu trafił dokument sporządzony przez stronę amerykańską. „Donald Tusk otrzymał raport od szefa CIA" – tak np. brzmi tytuł artykułu na portalu TVN24. „Tusk dostał raport od szefa CIA" – to z kolei tytuł na portalu gazeta.pl.

Opozycja poczuła, że dzieje się coś niebezpiecznego dla Polski w relacjach Rosja–NATO. Pojawiły się żądania spotkania w trybie niejawnym odnośnie do treści raportu. „Jeżeli premier mówi publicznie, że otrzymał od szefa CIA precyzyjny raport o poważnych zagrożeniach dla Polski i wschodniej flanki NATO, to nie jest już temat bieżącej polityki. To sprawa bezpieczeństwa państwa. Donald Tusk powinien natychmiast zwołać spotkanie szefów klubów parlamentarnych i przedstawić informację o sytuacji" – napisał Mateusz Morawiecki.

eprasa.pl b306bac7a5

Te żądania były uprawnione. Po pierwsze, ogólna sytuacja międzynarodowa zwiastuje poważne niebezpieczeństwa, opozycja, a także opinia publiczna, mają zatem prawo domagać się informacji. Po drugie, tego rodzaju spotkania to rutyna. Poprzedni premier, czyli właśnie Morawiecki, kilkakrotnie zapraszał do siebie opozycję, aby poinformować o szczególnie poważnych problemach. Najważniejsze z tych spotkań miało miejsce w kancelarii premiera 29 listopada 2021 r. Była to trzygodzinna rozmowa z przedstawicielami wszystkich sił politycznych na temat zbliżającej się inwazji Rosji na Ukrainę.

„Czekamy na poważną informację, która należy się nie tylko opozycji, lecz także całemu polskiemu społeczeństwu" – mówił przed tamtym spotkaniem sekretarz generalny PO Marcin Kierwiński. „Pytaliśmy, czy to będzie jedno takie spotkanie, czy będzie bardziej regularna formuła współpracy, bo uważamy, że w kwestiach bezpieczeństwa Polski, granic, bezpieczeństwa międzynarodowego, warto rozmawiać i warto, by takie sprawy były prowadzone ponad podziałami" – dodał już po spotkaniu Tomasz Siemoniak.

W odróżnieniu od praktyki obecnego premiera Morawiecki co jakiś czas odbywał takie spotkania z przedstawicielami opozycji. W styczniu 2021 r. rozmowa dotyczyła pandemii. W styczniu następnego roku tematem był atak imigracyjny na polską granicę. W marcu 2022 r. spotkanie dotyczyło reakcji Polski na rosyjską agresję na Ukrainę.

Dzisiaj można tylko złośliwie przypomnieć słowa Kierwińskiego z listopada 2021 r. „Przez ostatnie miesiące nie było żadnej chęci rozmowy pana premiera Morawieckiego z opozycją, pan premier zajmował się głównie atakowaniem opozycji" – narzekał wtedy. Gdy dzisiaj Kierwiński i jego partia są u władzy, nie odbyło się ani jedno takie spotkanie.

> Alarmistycznymi wypowiedziami na temat bezpieczeństwa kraju Tusk chce uzyskać efekt flagi. To pokusa, której w polityce trudno się oprzeć, zwłaszcza gdy nie ma pozytywnych skutków własnych rządów. Ale tu może być tak, że Tusk się przeliczy

Mamy również świeży przykład z Francji, gdzie prezydent Emmanuel Macron zaprosił do siebie liderów partii politycznych i kandydatów w wyborach prezydenckich. Tematem była sytuacja międzynarodowa, a zwłaszcza zagrożenia ze strony rosyjskiej. Dokładniejsze informacje oraz poufne dokumenty przedstawili francuskim politykom wysokiej rangi przedstawiciele służb wywiadowczych. Widocznym efektem tamtego spotkania było ostre antyrosyjskie oświadczenie dwójki najważniejszych konkurentów politycznych Macrona, przywódców Zjednoczenia Narodowego – Marine Le Pen i Jordana Bardelli.

GRA NASZYM BEZPIECZEŃSTWEM

Wracając do Polski rządzonej przez Donalda Tuska – jego dziwne zachowania w sprawie rzekomego raportu zaczęły budzić podejrzenia polityków opozycji. Zwłaszcza gdy okazało się, że minister obrony nie widział żadnego raportu (co sam przyznał publicznie). „Nie wiemy, czy był raport. Ja osobiście mam wątpliwości" – stwierdził Krzysztof Bosak. On też uznał, że potrzebne jest spotkanie strony rządowej z przedstawicielami opozycji: „Uważam, że format konsultacji powinien mieć miejsce. Czyli spotkanie zaproszonych liderów na zaproszenie premiera lub szefa Ministerstwa Obrony Narodowej. Nie pamiętam, aby obecny rząd z takiego formatu korzystał".

Niedopowiedzenia i wątpliwości skończyły się za sprawą pałacu prezydenckiego. Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP, powiedział otwarcie w wywiadzie dla jednego z portali: „My doskonale wiemy od Amerykanów, że żadnego raportu bezpośredniego z CIA premier nie dostał. Minister Siemoniak był w USA i jak każdy urzędnik zdał sprawozdanie z kim się spotykał. Podzielił się refleksjami z szefem BBN. Znamy treść wizyty ministra Siemoniaka. W żaden sposób nie należy nazywać tego raportem pozyskanym bezpośrednio od szefa CIA. To było kłamstwo, by elektryzować opinię publiczną tematyką bezpieczeństwa".

Obrońcy wersji rządowej przez chwilę powoływali się na wcześniejsze słowa szefa BBN Bartosza Grodeckiego, który w pojednawczym tonie stwierdził, że dostał od Tomasza Siemoniaka wszystkie informacje na temat spotkania z Ratcliffem. Ale również on wyjaśnił, że to, co trafiło do BBN, jest streszczeniem rozmowy, a nie dokumentem wytworzonym przez stronę amerykańską. Cały czas mówił zresztą o informacjach, a nie o raporcie.

W czym więc jest problem? Czy to tylko spór o słowa? Czy raport musi być dokumentem? A może sprawozdanie z rozmowy też można nazwać raportem? Wtedy mamy tylko spór o definicję i doraźną awanturkę o brak precyzji w doborze słów. Przy czym Donald Tusk nie powinien mieć o to pretensji, bo sam jest politykiem, który przoduje w wywoływaniu medialnych burz na podstawie wypowiedzi wyrwanych z kontekstu. Przecież niedawno zaatakował prezydenta Karola Nawrockiego, zarzucając mu – na podstawie jego rocznicowego przemówienia – że chce oddawać wrogom terytorium Rzeczypospolitej. A przecież Nawrocki przemawiał z okazji rocznicy 17 września 1939 r.

Niestety problem okazuje się dużo poważniejszy. W świat po raz kolejny poszedł sygnał, że w sprawach obrony kraju Polska nie jest monolitem. Dobrze ujął to Adam Jawor, pułkownik rezerwy kontrwywiadu, były ekspert Agencji Unii Europejskiej ds. Współpracy Organów Ścigania EUROPOL ds. rosyjskich, który napisał na portalu Defence24:

Autopromocja

eprasa.pl b306bac7a5

„Nie trzeba udowadniać, że raport CIA, na który powołał się premier Donald Tusk, nie istnieje, aby stwierdzić, że państwo ma problem z komunikacją w sprawach bezpieczeństwa. […] W warunkach rosyjskiej presji hybrydowej nie jest to spór o słowa. Państwo, które ostrzega obywateli przed realnym zagrożeniem, nie może jednocześnie doprowadzać do sytuacji, w której przedmiotem dyskusji staje się wiarygodność samego ostrzeżenia i sposób, w jaki zostało przedstawione".

Charakterystycznym potwierdzeniem złej woli ze strony rządzących jest wypowiedź posła Koalicji Obywatelskiej Artura Witczaka w radiu TOK FM. Tematem był postulat opozycji, aby odbyło się spotkanie w sprawie rzekomego raportu i grożących Polsce niebezpieczeństw. Witczak otwarcie stwierdził, że nie chce, by wszyscy politycy mieli dostęp do informacji niejawnych, gdyż niektórych z nich – oczywiście z opozycji – podejrzewa o współpracę z obcymi służbami. A konkretnie rosyjskimi.

Zarzut jest maksymalnie poważny. To nie jest kwestia prywatnego widzimisię jednego z posłów koalicji rządowej. Skoro są podejrzani i nadal mogą swobodnie działać, to dlaczego podległe premierowi służby nie reagują? Wszyscy wiedzą, że nie chodzi tu o fakty, lecz o to, że rząd wybiera rozgrywkę wewnętrzną. Totalną walkę z każdą opozycją jako próbę utrzymania poparcia. Przy czym widać, że stała metoda Tuska i jego ekipy przyklejania opozycji do Rosji w ogóle nie działa na wyborców innych partii niż Koalicji Obywatelskiej. To przekonywanie przekonanych, czyli żelaznego elektoratu Koalicji Obywatelskiej. Mobilizowanie własnych wyborców przez dyskredytowanie opozycji.

EFEKT FLAGI?

Wielu komentatorów wskazuje również na to, że Tusk chce uzyskać efekt flagi. Zapewne tak jest. To pokusa, której w polityce trudno się oprzeć, zwłaszcza gdy nie ma pozytywnych skutków własnych rządów. Ale tu może być tak, że Tusk się przeliczy. Tak np. uważa prof. Jarosław Flis, politolog. Według niego Polska należy do grupy krajów, w których efekt flagi nie działa. Przywołuje tu przykład rządów Prawa i Sprawiedliwości z czasów pandemii i momentu rosyjskiej agresji w 2022 r., gdy notowania PiS nie skoczyły wyraźnie. Były całkowicie uzależnione od czynników wewnętrznych. Tak jest również dzisiaj. Słupki KO, jeśli rosną, to nie z tej przyczyny, ale z powodu słabej kondycji pokłóconej ze sobą opozycji. A osobista popularność Tuska, i tak już bardzo niska, spada coraz bardziej. Mimo że premier non stop próbuje wywołać efekt flagi.

Owszem, wskazywane są wybory europejskie z 2014 r., gdzie ten efekt miał zadziałać. Taka np. była opinia Jarosława Kaczyńskiego, niezbyt zadowolonego z ówczesnego wyniku swojej partii. Ale nadszedł 2015 r. i podwójny pogrom PO. Dzisiaj sytuacja jest o tyle inna, że beneficjentem efektu flagi może być kto inny – zwierzchnik Sił Zbrojnych, czyli Karol Nawrocki.

Wszystkie okoliczności tej sprawy prowadzą do wniosku, iż mamy prawo do obaw, że Donald Tusk igra naszym losem dla swych doraźnych zysków. Taki jest szerszy kontekst. Niedawno słyszeliśmy butną wypowiedź Radosława Sikorskiego o marnym losie Rosji, gdyby zechciała zaatakować Polskę i inne kraje NATO. Ale rzeczywistość jest inna. Jesteśmy celem wielu brutalnych prowokacji rosyjskich, łącznie z celowym wysłaniem uzbrojonego pocisku manewrującego, a z naszej strony nie było ani jednej proporcjonalnej reakcji. Poza werbalnymi potępieniami.

Jednocześnie, trawestując znane hasło propagandowe rządu, w kwestii obronności „dużo gadamy, nie robimy". Rzecz jasna Polska wydaje ogromne sumy na zbrojenia. To oczywiście potrzebne, ale nie towarzyszą temu inne konieczne działania. Ogromne wydatki stają się usprawiedliwieniem dla bezczynności – powstaje szkodliwe złudzenie, że pieniądze nas obronią. Liberałowie i libertarianie lubią się tym uspokajać. A świeży przykład Arabii Saudyjskiej pokazuje, jak jest to złudne. To kraj, który przez bardzo długie lata wydawał gigantyczne sumy na wojsko, a właśnie teraz przegrywa wojnę z bojówkami Huti.

„Gdy poważny polityk mówi o zagrożeniu, o ataku Rosji na Polskę, to zadaję pytanie, co w tym kierunku rząd zrobił. Czy wrócił pobór? Czy ogłosił mobilizację? Czy rozpoczął szkolenia wojskowe? Czy przestawił gospodarkę na tryb wojenny? Czy nawiązał twarde sojusze? Mamy tylko działania PR-owe skoncentrowane na polityce bieżącej" – podsumował to w wypowiedzi dla mediów Jarosław Gromadziński, były dowódca Eurokorpusu i twórca 18. Dywizji Zmechanizowanej „Żelaznej".

Przypomnijmy, że półtora roku temu – 7 marca 2025 r. – premier Tusk zapowiedział z mównicy sejmowej powszechne przeszkolenie wojskowe. W ramach tego programu nie został przeszkolony ani jeden poborowy. Mimo głoszonego zagrożenia nie odbywają się wzmożone ćwiczenia rezerwy. W życiu przeciętnego Polaka nic się nie zmieniło z powodu przygotowań państwa i armii do zbliżającej się wojny. Czyli inaczej niż w Szwecji i na Litwie, gdzie przywrócono pobór do wojska. I inaczej niż w Danii, gdzie obowiązkową służbę przedłużono z 4 miesięcy do 11.

I na koniec: z funkcji dowódcy Inspektoratu Systemów Bezzałogowych został odwołany gen. Mirosław Bodnar. Po dwóch latach okazało się, że nie zna się na dronach, a nominację dostał z powodów politycznych, gdyż jest bratem Adama Bodnara. Dwa lata zostały całkowicie zmarnowane, mimo że żyjemy – jak sam stwierdził premier Tusk – w czasach przedwojennych.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl b306bac7a5



Po nas choćby potop!

Przez trzy lata rządów europejskiego teamu Donalda Tuska i Andrzeja Domańskiego zadłużenie Polski wzrosło o 200 mld zł więcej niż przez osiem lat władzy PiS, a jeśli uwzględnić plany na 2027 r., będzie to 600 mld więcej i pod koniec przyszłego roku będziemy wisieć okrągłe 3 bln zł



DARIUSZ MATUSZAK

Nawet rząd wiedział, że to nastąpi. Już w sierpniu premier Donald Tusk zaczął przygotowywać Polaków na to, co nieuchronne i obarczać winą prezydenta, choć to jego rząd usilnie na to pracował już od 2,5 roku. 21 sierpnia przed posiedzeniem Rady Ministrów przed kamerami – to dobra chwila, by pokazać troskę o los ojczyzny i rzucić kilka oskarżeń – powiedział: „Chcę bardzo wyraźnie podkreślić, że zarówno to na co liczymy, a więc utrzymanie wysokiego ratingu Polski, jak i ten odpowiedzialny balans między deficytem a wydatkami, które uważamy za konieczne, on jest także zależny od dobrej współpracy czy dobrej woli innych, nie tylko rządu, nie tylko parlamentu, lecz także od prezydenta. Wiemy, że to zaufanie do Polski, polskiej gospodarki i finansów jest także zależne od tego, czy świat, ale także my, obywatele, jesteśmy pewni, że rozwiązania znajdą też akceptację w pałacu prezydenckim czy będą wetowane. Każde weto prezydenckie podważa jakiś element zaufania do Polski".

Tego dnia wieczorem agencja Fitch przedstawiała rating Polski, czyli ocenę jej wiarygodności finansowej. Został on utrzymany na dotychczasowym poziomie A-, lecz potwierdzono negatywne perspektywy, a więc przewidywano, że będzie gorzej. „Negatywna perspektywa odzwierciedla brak wiarygodnego planu konsolidacji fiskalnej, wyzwania polityczne w kraju oraz ryzyka przedwyborczego luzowania fiskalnego, co osłabiło zaufanie do zdolności władz do wdrożenia dodatkowych środków fiskalnych i ograniczenia wysokich deficytów" – podała agencja Fitch

PO RAZ PIERWSZY OD 24 LAT

Wstrząs nadszedł miesiąc później. 18 września agencja Moody's z tzw. wielkiej trójki agencji ratingowych, która do tej pory najwyżej oceniała finansową wiarygodność Polski, obniżyła ją do poziomu A3, co oznacza m.in., że jest ona na poziomie słowackiej, litewskiej, chorwackiej, a gorsza niż Czech, Litwy, Słowenii, Estonii. Na pierwszy rzut oka nie ma dramatu, ale agencja obniżyła rating Polski po raz pierwszy od 24 lat. Mamy za sobą ponad trzy dekady sukcesów gospodarczych, 22 lata obecności w Unii Europejskiej i deszcz pieniędzy, którymi nas zasypała, a tu nagle taki policzek dla jedynego słusznego, rasowo europejskiego rządu Donalda Tuska.

Co ta obniżka i perspektywy, jakie jej towarzyszą, oznaczają? Łatwiej będzie to pojąć, opisując najpierw, w jaki sposób doszliśmy do punktu, w którym

Fot. Andrzej Domański/x.com

eprasa.pl b306bac7a5

się znajdujemy. A w największym skrócie jest on taki: Polska jest zadłużona na 2,6 bln zł. Dług przyrasta w tempie ok. 1,5 mld dziennie, a rząd Tuska w ciągu czterech lat (doliczamy już plan na 2027 r.) funduje nam deficyt większy niż to, co nasz kraj otrzymał netto z UE przez cały okres swego członkostwa. Polsce jeszcze nie grozi bankructwo, ale niemal zmarnowanie tego, co osiągnęliśmy przez ostatnie dekady, stagnacja i nędzne pełzanie gospodarcze, jak w przypadku państw Europy Zachodniej, których mieszkańcy są realnie biedniejsi niż 20 lat temu, a młode pokolenie ma perspektywy gorsze niż rodzice czy nawet dziadkowie. Popatrzmy na miasta i wioski, na nasze domy, wakacje, samochody, rozrywki, na zasobność portfeli, na dostatek, który wypracowaliśmy, na wszystko, co składa się na nasze życie z materią i pomyślmy, że osiągnęliśmy absolutny szczyt dobrobytu. Że w perspektywie naszego życia lepiej już nie będzie, że nasze dzieciaki będą miały gorzej niż my. Bo jak w swej cynicznej wypowiedzi obwieścił Radosław Sikorski, jeden z twórców tej beznadziei: „Błogosławiona jest młodzież, albowiem ona odziedziczy dług narodowy".

A co odziedziczył rząd Tuska? Suma deficytów za ostatnie cztery lata rządu Mateusza Morawieckiego – a był to czas COVID-19 i wybuchu wojny na Ukrainie – wyniosła 209,5 mld zł. Zadłużenie Polski wynosiło 1,7 bln zł, przy czym przez całe osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy zwiększyło się o 770 mld zł. Ogromna część tego – 650 mld zł –przypada na ostanie cztery lata, a więc pandemię i wojnę na Ukrainie.

Co z tymi liczbami robi rząd Tuska? Mnoży je wielokrotnie. Już pierwszego roku rządów deficyt budżetowy wynosi 210 mld zł, a zatem więcej niż cztery deficyty Morawieckiego. Ten rok da się jeszcze usprawiedliwić tym, że to nie minister Andrzej Domański przygotował budżet, tylko jeszcze ekipa Morawieckiego zaplanowała rekordowy deficyt w wysokości 165 mld zł. Ale to koalicja Tuska dorzuciła 65 mld i wykopała dziurę wszech czasów. Rekord nie przetrwał długo, bo ledwie rok. W 2025 r. dziura wyniosła 275,6 mld zł, w 2026 r. będzie to 271 mld zł, a na przyszły rok zaplanowano – szampany strzelają, konfetti się sypie, kolejny rekord ustanowiony – 283 mld zł. Razem piękna sumka – 1,4 bln zł, czyli więcej niż cały zysk z bycia w poligamicznym stadle z Unią od 22 lat. Wszystkie dotacje, dary, zapomogi, subwencje, granty, cała ta kasa, która do połowy tego roku przypłynęła z Brukseli, to 279 mld euro. Od tego odejmujemy 103 mld euro, które wpłaciła Polska, i zostaje nam na czysto – czyli netto – 176 mld euro. To 750–755 mld zł, a więc o 300 mld zł mniej niż dziury Tuska. Wielkie gratulacje: pan premier i jego rząd operują tak wielkimi sumami, że ostatecznie udało im się obalić mit, jakoby te wszystkie pieniądze, którymi obsypała nas UE, pozwoliły zbudować w Polsce cywilizację.

> Na pierwszy rzut oka nie ma dramatu, ale agencja Moody's obniżyła rating Polski po raz pierwszy od 24 lat. Toż to policzek dla jedynego słusznego, rasowo europejskiego rządu Donalda Tuska

Przez trzy lata rządów europejskiego teamu Tuska zadłużenie wzrosło o 200 mld więcej niż przez osiem lat władzy PiS, a jeśli uwzględnić plany na 2027 r., będzie to 600 mld więcej i pod koniec przyszłego roku będziemy wisieć okrągłe 3 bln zł. Te przyrosty manka to oczywiście nie jest suma deficytów i pożyczek, bo nowymi częściowo spłacamy stare długi.

POLITYKA SCHIZOFRENIKA

Co się stało, że pieniędzy jest tak mało? Najkrócej mówiąc: rząd Tuska przehulał, rozdał, zmarnował niemal całą ogromną kasę. Wydatki całkowicie rozjechały się z przychodami. Po stronie budżetowego urobku jest znacznie mniej pieniędzy, niż przewidywano, niż powinno być, gdy się tak nimi bezrozumnie szasta. Nawet nie dlatego, że efektywność w ściąganiu podatków spadła – np. luka VAT nie powiększyła się. Chodzi o to, że nie spełniają się rojenia o poziomie wpływów. Nie stworzono warunków, by rosły w odpowiednim tempie do wydatków . Np. wzrost konsumpcji jest niższy, czyli kupujemy mniej, niż minister Domański wymyślił sobie w budżecie, w związku z czym tylko wpływ z VAT jest mniejszy, niż zapisano w księgach. Wolniej rosną płace, więc wolniej, niż się to marzyło, zwiększają się wpływy z podatku PIT. W 2025 r. dochody były o 38 mld niższe, niż zaplanowano. Od trzech lat nie nadążają za rosnącymi wydatkami. Podobnie nie nadążają PKB. Tylko 800+ to 36 mld zł rocznie więcej. Do tego 13. i 14. emerytura, dotacje do ZUS i FUS, podwyżki wynagrodzeń w sferze budżetowej i dla nauczycieli, babciowe, renta wdowia i inne. Żeby wydawać jak rząd Zjednoczonej Prawicy, trzeba też zarabiać. Tymczasem dream team Tuska skopiował szeroki gest, ale nie ma bladego pojęcia, jak na to wszystko zapracować.

W wielu pojedynczych, ale składających się na całość przypadkach, jest jak w dziele, które moglibyśmy napisać: „Polityka schizofrenika". Oto należąca do państwowego France Telecom francuska firma telefoniczna Orange zapłaciła w 2025 r. 50 mln zł podatku dochodowego, w 2024 r. – 66 mln zł, ale za to w tym roku dostała w darze od rządu Tuska 770 mln zł z KPO. Rafał Brzoska, którego firma InPost zapłaciła w 2025 r. 0,5 mld zł podatku, od lat alarmuje, że zagraniczne firmy kurierskie nie płacą nic, np. w 2024 r. niemiecki DHL zapłacił okrągłe zero. Wielkie zagraniczne korporacje łupią Polskę.

Takie przypadki składają się na niewydolność całego systemu. W 2024 r. inwestycje dosłownie załamały się – w niektórych branżach, jak budownictwo, nawet o kilkanaście procent. W całej Unii wskaźnik inwestycji do PKB był gorszy tylko w Grecji. Nakładające się na siebie deficyty budżetowe powodują szaleńczy przyrost kosztów obsługi długu publicznego. Na same odsetki wydamy w tym roku 109–115 mld zł, ale za to w przyszłym – jeszcze więcej.

eprasa.pl b306bac7a5



JAK DO TEGO DOSZŁO, NIE WIEM

Jesteśmy w takim miejscu, zatem agencja Moody's obniżyła Polsce rating, a więc ocenę wiarygodności kredytowej, do poziomu najniższego od 2002 r., czyli czasów, kiedy nie byliśmy jeszcze w UE. Ba, wtedy byliśmy nawet przed referendum akcesyjnym. W uzasadnieniu podano: „Obniżenie ratingu Polski do poziomu A3 odzwierciedla nasze oczekiwania dotyczące trwałego pogorszenia się kondycji fiskalnej Polski".

Ostrzeżenia analityków z instytucji finansowych płynęły od ponad dwóch lat. W 2025 r. agencja Moody's utrzymała rating, ale pisała o negatywnej perspektywie. Eksperci Europejskiego Kongresu Finansowego (EKF) w prognozach z 2025 r. wskazywali, że „koszty obsługi długu wymykają się spod kontroli". Instytut Odpowiedzialnych Finansów pisał w raporcie: „Polska weszła na ścieżkę trwałej nierównowagi fiskalnej". Piotr Arak, główny ekonomista VeloBanku, mówił: „Ogarnijmy się, bo sytuacja będzie coraz poważniejsza".

Jeśli jednak słuchać rządu i premiera, to trzeba uwierzyć, że winien jest temu Karol Nawrocki, gdyż ciągle wetuje wspaniałe projekty ustaw mających zwiększyć dochody. Odpowiada nawet za deficyty z czasów prezydenta Andrzeja Dudy. Po stronie wspaniałego teamu Tuska nie ma żadnej refleksji. Właściwie to minister Domański powinien wdziać stożkową, papierową czapeczkę, dąć w papierową trąbkę i na okrągło puszczać sobie fragment piosenki Zenka „Przez twe oczy zielone": „Jak do tego doszło, nie wiem".

Niestety decyzja Moody's nie jest tylko oceną przeszłości, ale ma moc sprawczą. Stanowi bowiem ostrzeżenie dla inwestorów, że sprawy mają się coraz gorzej. Będą więc wymagali wyższych odsetek. Rząd będzie musiał płacić wyższą premię za ryzyko przy emisji nowych obligacji. Przy ogromnych potrzebach pożyczkowych (w tym roku blisko 700 mld zł, bo trzeba rolować stare długi) oznacza to skokowo rosnące wydatki na obsługę długu w kolejnych latach. Państwo zawsze jest dłużnikiem najbardziej godnym zaufania, więc jeśli jego wiarygodność kredytowa spada, to tym bardziej wszystkich jego instytucji, firm i obywateli. My, Kowalscy, możemy za to zapłacić wyższym oprocentowaniem naszych kredytów. Nie należy się spodziewać jakichkolwiek obniżek VAT czy akcyzy na paliwa, bo w rozpaczliwej sytuacji finansowej rząd się pewnie na to nie odważy. Efekt nie jest natychmiastowy, bo rynek w jakiejś mierze wycenił już wcześniej pogarszającą się sytuację fiskalną, ale jesteśmy na szybkiej ścieżce do wielkiej kumulacji, kiedy poziom zadłużenia przekroczy dopuszczalne wskaźniki bezpieczeństwa i wtedy, w latach 2028–2030, włączą się automaty hamulcowe.

Oznacza to ograniczenie waloryzacji emerytur i rent, zamrożenie płac w sferze budżetowej, konieczność przygotowania budżetu zbliżonego do zrównoważonego. Realne cięcia lub zamrożenie części wydatków socjalnych, inwestycyjnych – żegnaj CPK, po co nam lotnisko w Polsce, skoro jest w Berlinie. Ograniczenie tempa wzrostu wydatków na ochronę zdrowia, edukację, programy społeczne. Za tym wszystkim spadek dochodów gospodarstw domowych i spowolnienie wzrostu gospodarczego. Radykalne, bolesne scenariusze ratunkowe to nie jest żadna abstrakcja. W ostatnich latach ćwiczono je niemal we wszystkich krajach Unii.

A tak naprawdę już się kręcimy, lej już nas zasysa. Szybkim efektem obniżki ratingu jest m.in. gwałtowne osłabienie się złotówki względem euro. Nie musi być trwałe, ale perspektywy są liche. Owo osłabienie w ciągu ledwie kilku dni oznacza, że obsługa pożyczki SAFE będzie nas kosztować o 2 mld zł więcej. Do tego trzeba dodać skutki podniesienia stóp przez Europejski Bank Centralny w czerwcu i wrześniu. To 8 mld zł. Domański zachwalał unijną pożyczkę SAFE, twierdząc, że zaoszczędzimy 37 mld, w porównaniu z sytuacją, gdyby dream team Tuska zaciągał dług w Polsce. A tu w trzy miesiące przepalona została ponad jedna czwarta tych urojonych oszczędności – koszt obsługi SAFE wzrósł o 10 mld zł. Wystarczy, że domniemane 3,3 proc. oprocentowania pożyczki SAFE wzrośnie do 3,5 proc., a kurs euro o kilka procent – do 4,65 zł – i cała ta wyśniona oszczędność 37 mld SAFE wyparuje.

Zaledwie dwie wspomniane podwyżki stóp EBC spowodowały również, że koszt obsługi KPO rośnie nawet o 20 mld zł. I cyk: trzy miesiące i o 30 mld więcej na plecach do dźwigania, bez jakiejkolwiek naszej kontroli. To pokazuje, po jakiej wąskiej kładce, po jak cienkim lodzie stąpamy.

W listopadzie decyzję wyda kolejna agencja ratingowa, Standard & Poor's, i nie należy się spodziewać żadnych dobrych wieści.

Co z tym wszystkim zrobi rząd? Moje podejrzenia są najgorsze – nic. Sytuacja Polski jest ekipie Tuska całkowicie obojętna. Wszystko będzie zależeć od prognoz dotyczących utrzymania władzy. Jeśli nie będzie szans na jej przedłużenie, to wrzasną: „Po nas choćby potop!". Podzielam opinię Janusza Szewczaka, byłego wiceprezesa ORLENU, który w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl mówił: „Pewnie myślą, że najwyżej o zrujnowane finanse będą się później martwić ich następcy. Zostawiamy zrujnowane finanse publiczne, spaloną ziemię, a następcy będą musieli się z tym borykać i podejmować, ratując finanse publiczne, decyzje. I tu pojawia się kolejny wątek, bo być może następcy będą musieli wykonywać polecenia Komisji Europejskiej, która już objęła Polskę procedurą nadmiernego deficytu". I będzie tak, jak Trzeciak tłumaczył Siarze w filmie „Killer-ów 2-óch": „A kto kontroluje długi, ten kontroluje dłużnika".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b306bac7a5

Porozumienie na prawicy będzie możliwe

Zawsze trzeba wierzyć, że przyszła polityka będzie lepsza od obecnej. Zawsze będziemy toczyć spory, inaczej żylibyśmy w dyktaturze, ale mam nadzieję, że za kilka lat w sprawach dotyczących polskiej suwerenności i interesu narodowego wszyscy będziemy grać do jednej bramki, od lewicy po prawicę. Wtedy Polska ma szansę stać się wielką



Fot. Andrzej Wiktor

Z Kacprem Płażyńskim, adwokatem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, autorem książki „Wszystkie pionki Putina. Rosyjski lobbing", rozmawia Jerzy Szmit

Od ponad czterech lat trwa agresja Rosji na Ukrainę. Polska jest coraz bardziej wciągana do tej wojny. Jednocześnie konflikt polityczny w kraju zaostrza się każdego dnia. Które z zagrożeń jest poważniejsze, zewnętrzne czy wewnętrzne?

Kacper Płażyński: Drobna poprawka – wojna zaczęła się w 2014 r. od zajęcia Krymu, potem części Donbasu. Ukraińcy chcieliby umiędzynarodowić konflikt i wciągać nas, również militarnie. To jednak nic nowego. W Polsce spadają pociski, latają drony, widzimy akty sabotażu czy zabijanie ludzi niewygodnych dla Rosji. Rosjanie od dawna grasują po naszym kraju i innych państwach Europy. Sytuacja nasiliła się wraz z przybyciem milionów ukraińskich uchodźców, wśród których nie brakuje rosyjskich agentów. To wszystko jest jednak możliwe dlatego, że w 2014 r. europejskie elity odwróciły wzrok.

Znamy takie sytuacje z historii.

To trochę tak jak z Hitlerem. Gdy ogłaszał swoje agresywne plany podczas konferencji monachijskiej w 1938 r., nie było reakcji. Gdy 2014 r. Rosja zajęła Krym, w Polsce rządził Tusk, a na Zachodzie dalej chciano robić interesy z Rosjanami. Zamiast namawiać Zachód do

epra...6bac7a5

postawienia się Rosji, Radosław Sikorski nakłaniał Ukraińców do podpisania upokarzających porozumień mińskich. W tym czasie w kraju rząd Tuska chciał przekazać Kremlowi czeczeńskich dysydentów politycznych i hojnie dzielił się z Łukaszenką wrażliwymi informacjami na temat białoruskich obrońców praw człowieka.

Dzisiaj mamy wojnę pełnoskalową.

W naszym interesie jest, by Ukraina wygrała wojnę. Bez naszej logistyki ją przegra. Rozumiejąc to, powinniśmy nie tylko dawać, lecz także oczekiwać. Zasada wzajemności to powinno być minimum w naszych relacjach. Niestety rząd Tuska ma podejście poddańcze do władz Ukrainy, która bez naszego wsparcia dawno przestałaby istnieć.

Np. w sprawach transportowych.

Tak. W Polsce swobodnie działa spółka córka ukraińskich kolei państwowych, która w 2024 r. dostała licencję. Korzysta z naszego rynku i stanowi konkurencję dla polskich przewoźników. Jednocześnie Ukraińcy za żadne skarby nie chcą dopuścić nawet prawnej możliwości funkcjonowania u siebie naszych spółek kolejowych. Tak dalej być nie może.

A zagrożenia wewnętrzne?

Najbardziej niebezpieczne jest niszczenie systemu prawnego. Powiedzmy wprost – dzisiaj jest przeprowadzany zamach na instytucje demokratycznego państwa i organy władzy publicznej. Niszczenie na różne sposoby Trybunału Konstytucyjnego, a ostatnio wypowiedziana głośno groźba zagłodzenia finansowego tej instytucji. Nierespektowanie wyroków organu konstytucyjnego to otwarcie polskiego wymiaru sprawiedliwości na ingerencję z zewnątrz. Oddanie suwerenności i ustanowienie nowej hierarchii prawa, podporządkowanej trybunałom europejskim.

Dlaczego nie przyłączył się pan do Mateusza Morawieckiego?

Jestem konserwatystą z mocnym rysem solidarnościowym w aspektach gospodarczych, wierzącym katolikiem, mężem, ojcem czwórki dzieci. Mateusz Morawiecki był sprawnym politykiem w zakresie zarządzania finansami publicznymi, ale w innych dziedzinach nie byłbym wobec niego tak łaskawy, w szczególności jeżeli chodzi o kwestie polityki unijnej. Razem z Pawłem Jabłońskim, Szymonem Szynkowskim vel Sękiem i Waldemarem Budą odpowiadają za uległość w relacjach z Komisją Europejską w sprawie KPO. Nie przewidzieli konsekwencji wprowadzenia tego instrumentu w życie oraz tego, jak ta telenowela przełoży się na nasze poparcie wyborcze. Cnotę straciliśmy, a rubelka nie zarobiliśmy. Podaliśmy tlen Konfederacji.

Nie wiem też, jakie Mateusz Morawiecki ma poglądy w sprawach kluczowych dla kształtowania naszych postaw i przewidywalności politycznej. Mam na myśli walkę tego, co Jan Paweł II nazwał cywilizacją śmierci, z cywilizacją życia. Kilka razy zdążył mnie negatywnie zaskoczyć w tych sprawach. Ostatnio dwa miesiące temu, kiedy w jednym z wywiadów zaproponował liberalizację przepisów o zabijaniu nienarodzonych dzieci. Lider nie może być politykiem amorficznym.

> Mój Tata to wzór uczciwości i lojalności. Z bliska widziałem, co to znaczy mieć głęboki szacunek do każdego człowieka, bez względu na status i pozycję osobistą. Staram się brać z niego przykład. A w codziennym życiu sejmowym regularnie słyszę, jak starsi koledzy mylą się i mówią do mnie per „Maciek". Tata miał twarde zasady, ale cieszył się dużym szacunkiem, również wśród polityków o poglądach dalekich od tych, które wyznawał

Czy jednak porozumienie z jego ugrupowaniem jest możliwe?

To tak jakby pan pytał, czy jest możliwe porozumienie z PSL albo z Konfederacją. Czas pokaże. Zdecydują wyborcy, rozdzielając mandaty. Pamiętając jednak dynamikę poprzednich rozłamów, nie wróżę tej inicjatywie sukcesów. Na początku jest hip, hip, hura, entuzjazm, ale potem gaśnie.

Budowanie partii od zera to trudna sprawa, a na razie koledzy rozłamowcy nie zaproponowali niczego nowego poza strategią wygenerowaną przez sztuczną inteligencję. Do tego manifestacyjnie okazują lekceważenie prezesowi Kaczyńskiemu. Ani to mądre, ani ładne. Zakładam, że nie przekroczą pięcioprocentowego progu. A za zakrętem czai się afera RARS z udziałem jego najbliższych współpracowników, którą przecież rozpracowywały służby jeszcze za rządów PiS.

Jednak z tego, co widzimy w sondażach, wynika, że aby wygrać wybory, koalicja ugrupowań prawicowych będzie konieczna, mimo iż stale dochodzi do wzajemnych zaczepek.

Partie prawicowe walczą o podobny elektorat. Podszczypywanie to normalna sprawa. Konkurujemy ze sobą. Ważne, by się nie obrażać, aby w przyszłości porozumienie było możliwe. Poważnym problemem były zaczepki wewnątrz PiS, które rozbijały jedność i odwracały uwagę od kampanii Przemysława Czarnka. Ale to się już skończyło wraz z odejściem panów, o których mówiliśmy wcześniej.

Wokół jakich podstawowych punktów programowych należy budować przyszłą koalicję rządową?

Po pierwsze, przestrzegania prawa. Bez tego żaden projekt w dłuższej perspektywie nie może się powieść. Musimy pchać

Autopromocja

eprasa.pl b306bac7a5

do przodu kwestie rozwoju naszej armii i zwiększenia jej liczebności, również w wymiarze dużo szerszego zaangażowania obywateli w obronność. Jeśli chcemy być w pełni suwerennym państwem, a nie tylko liczyć na pomoc sojuszników z NATO, armia musi być znacząco większa. Służba zasadnicza musi wrócić. Jesteśmy ostatnim państwem wschodniej flanki NATO, które nie dysponuje pokaźnymi rezerwami.

Donald Tusk próbuje obciążać polityków prawicowych, szczególnie Prawa i Sprawiedliwości, aferą Zondacrypto. Fakty jednak wskazują na to, że koalicja rządowa powinna szukać winnych u siebie. W kogo ostatecznie uderzy ona politycznie?

Afera dotknęła w zasadzie wszystkie środowiska polityczne. Pan Kral przeznaczał olbrzymie środki finansowe na promocję swojej firmy i wplątywał w to ludzi od lewa do prawa. To nie jest afera Prawa i Sprawiedliwości. Na imprezach sponsorowanych przez Zondacrypto tak samo pokazywali się ministrowie tego rządu z Donald Tuskiem na czele. Rolę poszczególnych ludzi w tych wydarzeniach trzeba wyjaśnić. Jednak fakty są takie, że prokuratura w czasach Waldemara Żurka umorzyła śledztwa dotyczące tej piramidy finansowej, rozpoczęte za naszych rządów.

Donald Tusk, wykrzykując z mównicy sejmowej, chciał obciążyć aferą prawicę, a także myślał, że dzięki temu osłoni grupę uprzywilejowanych osób, które w Polsce mogą robić takie przekręty. Przecież to samo było z aferą Amber Gold – sprawa w sądzie skończyła się na panu Plichcie, a przecież oczywiste jest, że to nie on był mózgiem i ojcem chrzestnym tej operacji. Teraz po raz kolejny za rządów Tuska służby przez trzy lata chowały głowę w piasek. Wygląda na to, że są w Polsce ludzie nietykalni.

A zaangażowanie Giertycha w tę sprawę?

On zawsze pojawia się tam, gdzie jest wielka afera i wielkie pieniądze. Nawet w jego obozie ludzie nie godzą się z sytuacją, w której Giertych, będąc posłem, pełnomocnikiem Tuska i jego rodziny w innych sprawach – również Amber Gold – występuje jako obrońca osoby ściganej przez państwo polskie za kradzież 1 mld zł. Giertych nawet nie kryje, co nim kieruje – chce, by Kral obciążył PiS, w zamian za co ma mu załatwić status małego świadka koronnego. Oznaczałoby to, że w razie jego skazania wyrok podlegałby nadzwyczajnemu złagodzeniu i gangster wyszedłby na wolność po krótkiej odsiadce. Jak mówiłem, są w Polsce ludzie, którzy mogą kraść miliardy i w gruncie rzeczy włos im z głowy nie spadnie. Dziwne, że za każdym razem rozkwit tych afer następuje za rządów Tuska.

Pana ojciec, Maciej Płażyński, miał na Pomorzu ogromny autorytet. Zginął 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku. Jaki wpływ na pana życie ma pamięć o nim?

Ogromny. Mój Tata to wzór uczciwości i lojalności. Z bliska widziałem, co to znaczy mieć głęboki szacunek do każdego człowieka, bez względu na status i pozycję osobistą. Staram się brać z niego przykład. A w codziennym życiu sejmowym regularnie słyszę, jak starsi koledzy mylą się i mówią do mnie per „Maciek". Tata miał twarde zasady, ale cieszył się dużym szacunkiem, również wśród polityków o poglądach dalekich od tych, które wyznawał.

W ostatnich wyborach dostał pan ponad 100 tys. głosów. To rzadki wynik. Jak to się robi?

Cztery sprawy. Jestem synem Macieja i w spadku po Tacie odziedziczyłem część jego popularności. Pozwoliło mi to z impetem wejść do polityki. Druga sprawa to ciężka praca – zarówno w Sejmie, jak i w moim okręgu wyborczym. Śmieję się, że moje biuro poselskie to małe biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. Nie odsyłamy ludzi z kwitkiem, zawsze staramy się pomóc. Trzecia sprawa to współpracownicy, bez których daleko bym nie zajechał. Wreszcie czwarta sprawa: wiarygodność. Bardzo się staram o przestrzeganie zasad w życiu publicznym. Czasem tracę na tym politycznie, ale bez oporów patrzę w lustro.

Pana żona założyła Fundację Łączy nas Polska.

Tak. Mam szczęście mieć żonę, która rozumie i wspiera moje działania, dba o nasze domowe ognisko, ale sama jest aktywna. Poznaliśmy się zresztą w studiu telewizyjnym. Fundacja żony zajmuje się tematami, które – tak jak jej nazwa – powinny łączyć Polaków, budować silne państwo i mądry naród. Jednym z takich tematów jest niemieckie ludobójstwo na warszawskiej Woli (ok. 60 tys. cywilnych mieszkańców Warszawy zostało wymordowanych przez Niemców w pierwszych dniach powstania warszawskiego). Gen. SS Heinz Reinefarth, który był osobiście odpowiedzialny za te zbrodnie, po II wojnie światowej piastował bardzo wysokie funkcje publiczne w RFN. Fundacja zajmuje się opowiadaniem jego historii nie tylko w Polsce, lecz przede wszystkim także w Niemczech, gdzie do dziś uchodzi za bohatera.

Jednocześnie umówiliśmy się z żoną, że Fundacja nie będzie korzystała z żadnych środków publicznych. Nie chcieliśmy, by ktokolwiek nam zarzucił, że wykorzystuję swoją pozycję polityczną do tego, żeby ściągać do fundacji pieniądze ze spółek Skarbu Państwa itp. Mimo to co roku w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego Fundacja organizuje w Gdańsku koncert ku chwale powstańców. Kibice Lechii Gdańsk robią oprawę. Impreza jest wyjątkowa. Przychodzi na nią nawet tysiąc ludzi.

Pojawiają się głosy, że w gronie młodych posłów rozmawiacie o przyszłości polskiej polityki. Czy jest szansa, że gdy pana pokolenie będzie decydowało, osiągnie jakieś porozumienie?

Zawsze trzeba wierzyć, że przyszła polityka będzie lepsza od obecnej. Zawsze będziemy toczyć spory, inaczej żylibyśmy w dyktaturze, ale mam nadzieję, że za kilka lat w sprawach dotyczących polskiej suwerenności i narodowego interesu wszyscy będziemy grać do jednej bramki, od lewicy po prawicę. Wtedy Polska ma szansę stać się wielką.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl b306bac7a5

Sądowa prawda o medialnej egzekucji

„Gazeta Wyborcza" musi przeprosić za kłamstwa o ks. Henryku Jankowskim, którego oskarżyła o pedofilię. Po siedmiu latach procesu Sąd Apelacyjny w Gdańsku uznał artykuł Bożeny Aksamit za nierzetelny i oparty na nieprawdziwych relacjach. Legendarny kapelan Solidarności został odarty z godności na podstawie ordynarnych pomówień, które przez lata rozrosły się do tysięcy publikacji. Władze Gdańska odebrały mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta, a „bohaterowie" reportażu Tomasza Sekielskiego zburzyli jego pomnik





MARZENA NYKIEL

To uderzenie miało być jednoczesnym ciosem w polski Kościół i w legendę gdańskiej Solidarności. Wpisywało się w wieloetapową operację niszczenia autorytetu Kościoła i kreowania społecznej niechęci do kapłanów. Atakowano na wielu poziomach, by w końcu uderzyć w jednego z największych świętych naszych czasów – Jana Pawła II. Trzeba było jednak przygotować grunt, rozmontować poszczególne ogniwa i przy okazji zniszczyć tych, którzy szczególnie przyczynili się do uwolnienia Polski z sideł komunistycznego reżimu. Trudno uznać za przypadek zastosowane w tej nagonce iście ubeckie metody operacyjne.

MACHINA OSZCZERSTW

W 2018 r. medialna machina wydała wyrok na ks. Henryka Jankowskiego. Nieżyjący od ośmiu lat nie miał szansy się bronić. Bezwzględność kłamstwa i presja medialna były tak silne, że nie przebijały się przez nie żadne świadectwa niewinności. „Gazeta Wyborcza" opublikowała w „Dużym Formacie"

Fot. Fratria

eprasa.pl b306bac7a5

tekst Bożeny Aksamit „Sekret Świętej Brygidy. Dlaczego Kościół przez lata pozwalał ks. Jankowskiemu wykorzystywać dzieci?". Autorka sformułowała wobec kapłana ciężkie oskarżenia dotyczące molestowania nieletnich oraz doprowadzenia do ciąży i samobójstwa 16-letniej dziewczyny. Publikacja wywołała dziką falę agresji, a niesprawdzone informacje powielał cały liberalno-lewicowy mainstream.

Posłanki i aktywistki rozpętały histerię. Grunt przygotowały już kilka miesięcy wcześniej happeningi z wieszaniem dziecięcych bucików na ogrodzeniach kościołów. Nie była to zresztą polska akcja, lecz zorganizowana przy okazji wizyty papieża w Irlandii. Joanna Scheuring-Wielgus wystąpiła do Pawła Adamowicza z oficjalnym pytaniem, „co jako prezydent Gdańska zamierza uczynić w sprawie pomnika i placu im. ks. Henryka Jankowskiego". Marcelina Zawisza groziła: „Jak miasto nie rozmontuje pomnika pedofila, nie stanie po stronie ofiar – powinniśmy zrobić to sami. Najpierw zasypać bucikami dzieci – symbolem tych, którzy i które byli gwałceni, molestowani, wykorzystywani przez potworów w sutannach. A potem go po prostu rozmontować". Wrzało hejtem.

Sprawę wzięli we własne ręce konkretni i jak się później okazało – bezkarni ludzie. Przyjechali do Gdańska pod osłoną nocy (z 20 na 21 lutego 2019 r.) razem z kamerami Tomasza Sekielskiego i z iście filmowym rozmachem roztrzaskali pomnik legendarnego kapelana Solidarności, wzniesiony w 2012 r. ze składek społecznych.

Władze Gdańska uległy presji i bez weryfikacji dowodów czy oczekiwania na rozstrzygnięcia sądowe zdecydowały o pozbawieniu ks. Jankowskiego Honorowego Obywatelstwa Miasta oraz odebraniu skwerowi przy bazylice św. Brygidy imienia kapłana. Radni podjęli też decyzję o trwałym demontażu pomnika, który stoczniowcy na powrót ustawili na cokole. Ale hejt nie ustawał. W czerwcu 2020 r. została zniszczona tablica na Pl. Solidarności poświęcona prałatowi. Nienawistny przekaz został również utrwalony w zideologizowanych dziełkach. Środków nie szczędziła nawet narzekająca na deficyty Telewizja Polska w likwidacji. W kwietniu 2026 r. z wielką pompą wyemitowała wulgarną i prowokacyjną sztukę Michała Kmiecika „Prałat" w reżyserii Marcina Libera w Teatrze Telewizji.

BRAK DOWODÓW I NIERZETELNOŚĆ

Wyrok Sądu Apelacyjnego w Gdańsku z 18 września 2026 r. jest jednoznaczny: artykuł Bożeny Aksamit rażąco narusza zasady rzetelności dziennikarskiej. „Nie można dopuszczać tekstu opierającego się jedynie na tym, co napisze dziennikarz na podstawie opowiadań jednej osoby, p. Barbary Borowieckiej. Strona pozwanego nie potrafiła poza tą rozmową przedstawić innych wiarygodnych dowodów" – oświadczyła sędzia Teresa Karczyńska-Szumilas, przewodnicząca trzyosobowego składu orzekającego. Co ciekawe, w marcu 2020 r., na wznoszącej fali antyklerykalnego hejtu, Barbara Borowiecka wniosła pozew przeciwko gdańskiej kurii, jednak niespełna dwa lata później go wycofała. Stwierdziła, że „nie ma siły walczyć z kościelnymi wiatrakami". Może więc zabrakło nie sił, a dowodów, bo właśnie na te deficyty wskazała sędzia Karczyńska-Szumilas.

Sąd, chcąc zweryfikować prawdziwość wątku samobójstwa 16-letniej Ewy, przeanalizował wszystkie dostępne archiwa. „Dziennikarz, który przytacza czyjeś wypowiedzi, działać musi w ramach wskazanej dziennikarskiej staranności, podejmując próbę oceny wiarygodności tej informacji. Sąd starał się dociec prawdy we własnym postępowaniu i stwierdził, że relacje pani Borowieckiej na łamach gazety o rzekomym samobójstwie przez wyskoczenie przez okno w gdańskim Dolnym Mieście 16-letniej Ewy, która miała być z księdzem w ciąży, okazały się nieprawdziwe i zarówno archiwa sądowe, jak i milicyjne w latach 1967–70 nie zanotowały takiego zdarzenia".

Sąd nakazał „Gazecie Wyborczej" i spółce Agora publikację przeprosin w pięciu kolejnych wydaniach, usunięcie z archiwów tekstu fragmentów naruszających dobra osobiste, zwrot kosztów procesu siostrom kapłana oraz zapłatę zadośćuczynienia, choć kwotę po 1,9 tys. zł dla każdej z sióstr ks. Jankowskiego należy uznać za symboliczną. Wyrok jest prawomocny. Agora zapowiada, że po otrzymaniu pisemnego uzasadnienia rozważy wniesienie skargi kasacyjnej do Sądu Najwyższego.

ŚWIADKOWIE ŻĄDAJĄ PRZYWRÓCENIA GÓDNOŚCI

Gdańskie organizacje zapowiedziały już konkretne działania na rzecz przywrócenia kapłanowi dobrego imienia. Chcą odwołania decyzji o odebraniu ks. Jankowskiemu honorowego obywatelstwa, odbudowania pomnika oraz przywrócenia jego imienia skwerowi. Wystosowały oświadczenie, w którym przypominają o wielkiej roli historycznej i zasługach kapłana.

„Ks. Henryk Jankowski był kapelanem strajkujących stoczniowców, przyjacielem Solidarności, opiekunem więźniów politycznych i osób represjonowanych w stanie wojennym, a wcześniej – dzielnym budowniczym kościoła św. Brygidy, którego mury długo czekały na powstanie z ruin. Kiedy komuniści po masakrze robotników w 1970 r., aby złagodzić nastroje społeczeństwa, zgodzili się na odbudowę kościoła św. Brygidy, Kuria Gdańska zadanie to powierzyła młodemu, energicznemu kapłanowi, który do dzieła tego zmobilizował parafian i stoczniowców. To właśnie dla nich potem, w Sierpniu 1980, w Stoczni Gdańskiej odprawił pierwszą Mszę Świętą, a za nim z posługą dla strajkujących na terenie całego Trójmiasta poszli również inni księża. Po wprowadzeniu stanu wojennego ks. Jankowski był nieocenionym organizatorem wsparcia – prawnego, materialnego, a także duchowego – dla aresztowanych i ich rodzin, organizując m.in. dojazdy na widzenia do więzień i aresztów, gdzie przebywali" – piszą sygnatariusze.

„To w jego kościele każdego 13. dnia miesiąca odprawiano mszę, podczas której wygłaszał kazania przepełnione patriotyzmem, a także niezgodą na rządy bezprawia. Tutaj też znajdowała wsparcie działalność podziemnej Solidarności. W pewnym okresie jego plebania stała się również obowiązkowym miejscem odwiedzin polityków

eprasa.pl b306bac7a5

przybywających do nas z wolnego świata – premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana, prezydenta Francji i innych. Z kolei w pierwszych »chudych« latach III RP proboszcz św. Brygidy stał się organizatorem szeregu inicjatyw społecznych i charytatywnych, zarówno w Gdańsku, jak i w swoim rodzinnym Starogardzie, kierowanych do różnych potrzebujących środowisk" – przypominają podpisani pod listem: Krzysztof Dośla, przewodniczący Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność", Czesław Nowak, prezes Stowarzyszenia „Godność", Robert Kwiatek ze Stowarzyszenia Federacji Młodzieży Walczącej i Grzegorz Pellowski z Komitetu Budowy Pomnika Księdza Henryka Jankowskiego.

„Niektórzy z nas, autorów tego listu, osobiście uczestniczyli w wydarzeniach związanych z historią św. Brygidy oraz działalnością jej pierwszego powojennego proboszcza. My to pamiętamy, więc świadczymy. Ksiądz Henryk Jankowski doprowadził nas, gdańskich ludzi Solidarności, jako kapłan i człowiek czynu, do Okrągłego Stołu i wyborów 4 czerwca 1989 r." – podkreślają. Przyznają, że „ks. Jankowski nie był ideałem, miał swoje wady i popełniał błędy, ale bilans jego życia był zdecydowanie pozytywny". Ubolewają również nad „podatnością opinii społecznej na bezkrytyczne przyjmowanie kłamstw" oraz nad „bardzo krótką pamięcią niektórych ważnych dziś ludzi, z założycielem „Gazety Wyborczej" Adamem Michnikiem włącznie, którzy tak wiele Księdzu w trudnych czasach zawdzięczali".

Ks. Henryk Jankowski jest jedną z istotniejszych postaci najnowszej historii Polski. Anna Kołakowska w rozmowie z Tadeuszem Płużańskim zwraca uwagę, że duchowny prowadził szeroką działalność charytatywną, wspierając nie tylko działaczy opozycji, lecz także prowadząc inicjatywy społeczne, np. zakładając szkołę muzyczną czy akademik. „Jak wyszłam z więzienia, mama powiedziała mi: »Jedź do bazyliki Św. Brygidy, do sekcji charytatywnej, podziękuj im za pomoc«. Większość działaczy po wyjściu z więzienia udawała się do ks. Jankowskiego, by »zameldować się«, że są już na wolności" – wspomina. Podkreśla, że wokół proboszcza koncentrowało się życie gdańskiej opozycji, był nieustannie otoczony ludźmi, więc opisywane sytuacje były w tych warunkach wręcz nierealne. Dodaje, że autentyczni działacze opozycji nigdy nie mieli wątpliwości co do uczciwości duchownego.

CENA POMÓWIENIA

Prawda jest niestety znacznie cichsza niż jazgotliwe kłamstwo. Jaki procent opinii publicznej dowie się o tym wyroku? Zdecydowana większość została już zainfekowana nieprawdą. W sieci jest mnóstwo fałszywych treści i nie dotyczy to wyłącznie tego jednego przypadku. Pomówienie księdza to dziś najprostszy sposób jego eliminacji. W ten sposób można zniszczyć każdego. Nawet jeśli sprawiedliwość przyjdzie po latach procesów, zszargana opinia i sponiewierana godność skutkują śmiercią cywilną. Znamy wiele takich przypadków.

> Pomówienie księdza to dziś najprostszy sposób jego eliminacji. W ten sposób można zniszczyć każdego. Nawet jeśli sprawiedliwość przyjdzie po latach procesów, zszargana opinia i sponiewierana godność skutkują śmiercią cywilną

Jeden z najbardziej spektakularnych dotyczy diecezji płockiej. Marek Lisiński, powodowany chęcią zysku, bezpodstawnie oskarżył ks. Zdzisława Witkowskiego o to, że w dzieciństwie był przez niego molestowany. Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko, walczące z Kościołem ateistki, zabrały Lisińskiego do Watykanu, by pokazać Ojcu Świętemu ofiarę księdza pedofila. Zdjęcia papieża Franciszka całującego jego dłonie obiegły świat. Presja medialna była gigantyczna, a Lisiński czuł się wyjątkowo mocny. Miał wsparcie prawników, polityków i całej liberalno-lewicowej machiny, która wdrażała wówczas scenariusze przećwiczone na Zachodzie. Presji ulegli niestety także płoccy biskupi – Lisiński żądał pieniędzy z kurii, a niewinny ks. Witkowski został ukarany trzyletnim zakazem sprawowania posługi kapłańskiej.

Dopiero po latach okazało się, że Lisiński wszystko zmyślił, a kłamstwo miało być środkiem do wyciągania łatwych pieniędzy. Zapadły wyroki, ksiądz okazał się niewinny, ale dobrego imienia mu nie przywrócono. Nikt nie wynagrodził mu duchowych katuszy, na które został skazany. Takich przypadków jest mnóstwo. Niektóre kończą się tragicznie, jak choćby sprawa księdza z Częstochowy sprzed kilku lat. Ileż to razy pomówiony ksiądz, odsunięty od wszystkich funkcji i pozbawiony wsparcia przełożonych, zapada nagle na zdrowiu albo kończy śmiertelnym zawałem?

„ZERO TOLERANCJI" CZY ZERO ODPOWIEDZIALNOŚCI?

Ostatnia dekada spotęgowanych działań wymierzonych w kapłanów powinna wzbudzić głęboką refleksję w polskim episkopacie. Zasada „zero tolerancji" z pewnością została dobrze przyjęta przez środowiska lewicowe, ale stosowana automatycznie i bez rozpoznania sprawy stwarza zbyt wiele okazji do podejmowania pochopnych oraz tragicznych w skutkach decyzji. Konieczne jest wypracowanie mądrych procedur, które będą chronić ofiary i karać sprawców, ale zabezpieczą niewinnych ludzi przed mechanizmem zemsty i zniszczenia. Biskupi muszą podejść do problemu oskarżeń pod adresem księży z dojrzałością i odpowiedzialnością. Chęć ulegania politycznej poprawności jedynie rozkręca spiralę kłamstwa. A przecież to prawda jest w tym wszystkim najważniejsza.

eprasa.pl b306bac7a5

Kłopot z faszyzmem

Donald Tusk, jego ugrupowanie oraz front propagandowy, w który przekształciły się media i ośrodki opiniotwórcze III RP, głoszą, że „Polska brunatnieje". Można na to machnąć ręką. Od blisko 40 lat każdy, kto nie zgadza się na okrągłostołowe porządki, określany jest przez ich rzeczników jako co najmniej populista, jeśli nie faszysta właśnie



BRONISŁAW WILDSTEIN

Pierwotnie zamiast przeważającego dziś stygmatu populistów funkcjonowały inne. Perwersyjny Michnik nazywał swoich przeciwników bolszewikami, ale niezależnie od tego wmawiano nam, że kontestatorzy liberalnego porządku nieuchronnie staczają się w stronę faszyzmu.

Warto jednak zdystansować się od toczącej się wojny cywilizacyjnej, aby dostrzec, że obok dominującego liberalno-lewicowego nihilizmu niesie ona również inne zagrożenia, z których nienajmniej znaczącym jest nowa forma faszyzmu. Uważam, że zjawiska takie od pewnego czasu możemy obserwować także w Polsce i nie powinniśmy zamykać na nie oczu, bez względu na to, jak bardzo nieuczciwie przedstawia to establishment.

FASZYZM JAKO INWEKTYWA

Określenie faszyzm od II wojny światowej funkcjonuje prawie wyłącznie jako inwektywa. Naznaczenie takim stygmatem prowadzi do eliminacji z oficjalnego życia publicznego, a zatem uniemożliwia działanie w demokratycznej polityce. Jeszcze przed wojną strategię dezawuowania wszystkich swoich wrogów faszystowskim emblematem przyjęli komuniści. Nie przeszkodziło im to wejść w głęboki sojusz z Hitlerem, który dopiero ten ostatni zerwał, atakując Związek Sowiecki.

Od upadku bloku moskiewskiego i sukcesu liberalno-lewicowej ideologii emancypacji jej rzecznicy bez umiaru szafowali faszystowskim pomówieniem wobec swoich przeciwników. W efekcie faszyzm obok teorii spiskowej czy antysemityzmu ze zbioru pojęć opisowych przemieścił się do rejestru obelg. Spowodowało to zatracenie złowrogich konotacji z nimi związanych i ogromnie ułatwiło przejmowanie poglądów, które składają się na tego typu postawę. W tym sensie walczący z nieistniejącym antysemityzmem i faszyzmem walnie przyczynili się do ich ożywienia.

Faszyzm jest zjawiskiem historycznym i nie spotkamy go dziś w jego pierwotnym kształcie. Jest o tyle trudny do identyfikacji, że w przeciwieństwie do komunizmu nie ma skonkretyzowanej doktryny, chyba że za jego ostateczną formę uznamy niemiecki nazizm. Nawet wówczas wszakże ignoranckie mądrzenie się Hitlera w „Mein Kampf" czy „Mit XX wieku" Alfreda Rosenberga trudno traktować jako projekt ideowy współczesnego ruchu politycznego.

Narodowy socjalizm to rewolucja nihilizmu, jak zatytułował swoje dzieło Hermann Rauschning, sprzyjający temu ruchowi z pozycji konserwatywnych. Szybko rozpoznał on jednak specyfikę orientacji, co spowodowało jego rezygnację już w 1934 r. z kierowniczego stanowiska w gdańskim samorządzie, emigrację i radykalne zaangażowanie przeciw III Rzeszy. Rauschning dowodził, że przywódcy nazistowscy idee traktowali instrumentalnie, jako środki do zdobycia władzy drogą rewolucji. Jej celem była dominacja Niemiec i rasy aryjskiej na świecie. Sukces miał usprawiedliwić wszystko, gdyż oznaczał triumf mocy, która była jedyną wyznawaną przez nich wartością.

NOWOCZESNOŚĆ FASZYZMU

Kariery polityczne faszystowskich przywódców, którzy dowolnie zmieniali poglądy i deklarowane zasady (przyjmijmy w tym tekście jedność faszyzmu i nazizmu, co jest daleko idącym uproszczeniem) potwierdzałaby trafność tego opisu. Niemniej jak wszyscy wyrastali oni z określonego otoczenia ideowego, a ich przekonania kształtowane były przez kult „nauki", głównie darwinizmu. Wyciągali z niego wnioski, że życiem rządzi dobór naturalny i stanowi on walkę, w której wygrywają lepiej przystosowani. Wyrastał z tego zarówno kult wodza, jak i uznanie przemocy za właściwą metodę rozstrzygania problemów międzyludzkich.

Z biologizmem tym wiązało się przyjęcie wspólnotowego statusu człowieka, co sytuowało ich w opozycji do liberalnego indywidualizmu. Podejście to prowadziło do zakwestionowania racjonalności ludzkiego istnienia i akcentowało popędy jako motor ludzkiej tożsamości. Człowiek miał być bez reszty determinowany przez

eprasa.pl b306bac7a5

biologiczno-środowiskowe zakorzenienie, stąd hasło „Blut und Boden" – „krew i ziemia".

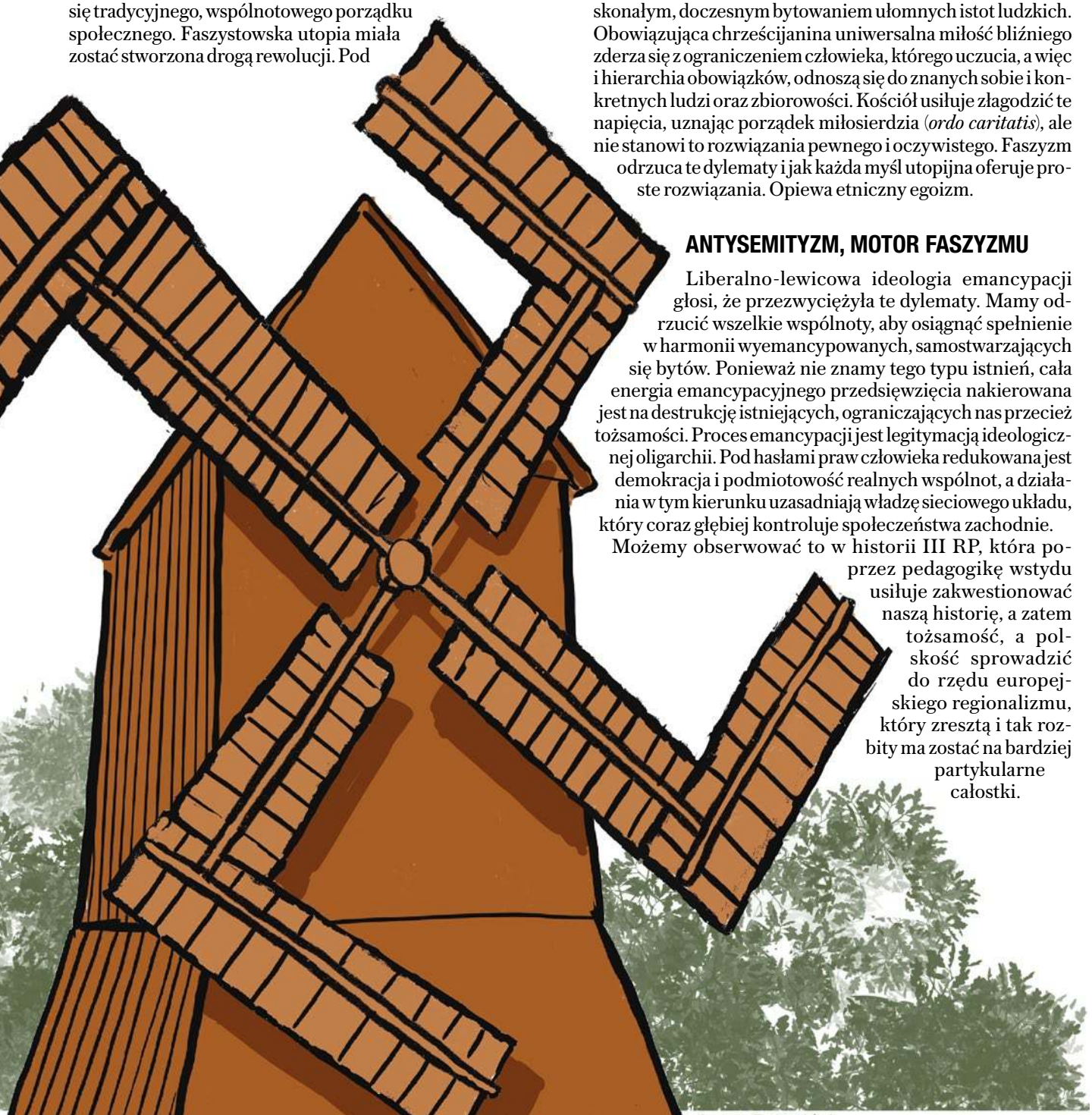
Wprawdzie faszyści często przebierali się w historyczne kostiumy i odwoływali do strywializowanych mitów, byli jednak w pełni dziećmi nowoczesności. Projektowali przyszłość, nie licząc się zupełnie z realnością, którą poddać chcieli totalnemu przekształceniu. Podejście ich wyrastało z załamania się tradycyjnego, wspólnotowego porządku społecznego. Faszystowska utopia miała zostać stworzona drogą rewolucji. Pod przewodnictwem wodza przekształcała całość życia społecznego, kreując model totalitarny. Stanowiło to zaprzeczenie szacunku do rzeczywistości społecznej, czyli istniejących instytucji i kultury, do których odwołuje się konserwatyzm.

Cywilizacja zachodnia funkcjonuje w napięciu, które napędzane jest przez chrześcijaństwo. To konflikt między radykalnymi normami etycznymi, które narzuca religia, a niedoskonałym, doczesnym bytowaniem ułomnych istot ludzkich. Obowiązująca chrześcijanina uniwersalna miłość bliźniego zderza się z ograniczeniem człowieka, którego uczucia, a więc i hierarchia obowiązków, odnoszą się do znanych sobie i konkretnych ludzi oraz zbiorowości. Kościół usiłuje złagodzić te napięcia, uznając porządek miłosierdzia (*ordo caritatis*), ale nie stanowi to rozwiązania pewnego i oczywistego. Faszyzm odrzuca te dylematy i jak każda myśl utopijna oferuje proste rozwiązania. Opiewa etniczny egoizm.

ANTYSEMITYZM, MOTOR FASZYZMU

Liberalno-lewicowa ideologia emancypacji głosi, że przezwyciężyła te dylematy. Mamy odrzucić wszelkie wspólnoty, aby osiągnąć spełnienie w harmonii wyemancypowanych, samostwarzających się bytów. Ponieważ nie znamy tego typu istnień, cała energia emancypacyjnego przedsięwzięcia nakierowana jest na destrukcję istniejących, ograniczających nas przecież tożsamości. Proces emancypacji jest legitymacją ideologicznej oligarchii. Pod hasłami praw człowieka redukowana jest demokracja i podmiotowość realnych wspólnot, a działania w tym kierunku uzasadniają władzę sieciowego układu, który coraz głębiej kontroluje społeczeństwa zachodnie.

Możemy obserwować to w historii III RP, która poprzez pedagogikę wstydu usiłuje zakwestionować naszą historię, a zatem tożsamość, a polskość sprowadzić do rzędu europejskiego regionalizmu, który zresztą i tak rozbity ma zostać na bardziej partykularne całostki.



Autopromocja

eprasa.pl b306bac7a5

Działania te wiążą się z uderzeniem w podstawowe uczucia wspólnoty, w jego religię i poczucie narodowej godności. Upokarzają. A poczucie takie powoduje resentymentalne odruchy. Nazizm w Niemczech rodził się z realnej krzywdy, którą było obciążenie tego narodu całą odpowiedzialnością za I wojnę światową i narzucenie mu za to surowej kary.

Poczucie upokorzenia każe projektować zło na zewnątrz. W Niemczech rodziło fantazje o spisku wrogów, którzy doprowadzili do klęski, a po zakończeniu wojny dążyli do unicestwienia narodu. Idealną grupą, którą można było tym obwinić byli Żydzi. W ten sposób antysemityzm, który istniał w Niemczech wcześniej, przybrał monstrualne rozmiary hitlerowskiej nienawiści i doprowadził do Holokaustu.

Również w Polsce międzywojennej, w której żyła największa wówczas, częściowo niezasymilowana społeczność żydowska na świecie, konflikty były nieuniknione, tak jak i antysemityzm. Nie usprawiedliwiając go, podkreślić trzeba, że nigdy nie przybrał on charakteru choćby zbliżonego do tego, co działo się w Niemczech. Mimo to oskarżenia Polaków o udział w Holokauście nie tylko nie były zwalczane przez siły III RP, lecz wręcz podsycane jako element pedagogiki wstydu, która miała powodować odrzucenie przez Polaków ich tożsamości przeszkadzającej podobno w modernizacji i europeizacji.

Oskarżenie o antysemityzm stanowiło stałą metodę walki z kontestatorami III RP. W efekcie nie tylko uległo zbanalizowaniu, ale zaczęło być przyswajane przez coraz większe grupy na prawicy. Skoro przeciwnicy oligarchicznego, antynarodowego porządku nazywani są antysemitami, to nie tylko antysemityzm przestaje budzić negatywne skojarzenia, ale uznanie, że to Żydzi stoją za tym systemem, jawi się jako coraz bardziej prawdopodobne.

Najnowsza historia naszego kraju nie została rozliczona. Nie został rozliczony komunizm, o który znowu w tym kontekście można było oskarżyć obcych – Żydów. Zwłaszcza że w okresie jego instalacji byli oni nadreprezentowani szczególnie w aparacie bezpieczeństwa.

POŻYWKA DLA RADYKALIZMU

Nie zostało także rozliczone ludobójstwo, którego dopuścili się na Polakach nacjonaliści z OUN-UPA. Można było zrozumieć tych, którzy starali się tonować te rozliczenia, uznając, że Ukraińcy, którzy są naszymi naturalnymi sojusznikami, nie są do nich gotowi. Jak zwykle w podobnych sytuacjach dobre intencje obróciły się w swoje przeciwieństwo.

Agresja rosyjska na Ukrainę spowodowała bezprzykładną falę solidarności i pomocy ze strony Polaków. Prezydent Ukrainy, która walczy o swoje przetrwanie, kieruje się wszakże narodowym interesem i uznaje, że ważniejszy dla niego jest sojusz z potężniejszym państwem, czyli Niemcami. A Berlinowi nie na rękę jest ścisły alians Polski i Ukrainy. Pojawiły się także naturalne napięcia gospodarcze między sąsiadującymi ze sobą krajami, a Zełenski nie wykazał się empatią wobec Polski. Mniejsza o to, na ile jest to strategiczny błąd Kijowa. W kontekście sprawy, o której piszę, ważne jest rozgoryczenie Polaków, które wywołał brak docenienia ich postawy.

Już od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę pojawiły się ugrupowania i politycy, którzy zwietrzyli swoją szansę w kontestowaniu postawy rządu PiS wobec tego konfliktu. Dotyczy to również sporej grupy mediów i publicystów.

> Określenie faszyzm od II wojny światowej funkcjonuje prawie wyłącznie jako inwektywa. Naznaczenie takim stygmatem prowadzi do eliminacji z oficjalnego życia publicznego, a zatem uniemożliwia działanie w demokratycznej polityce

Istotnym czynnikiem w tej kwestii było działanie Moskwy, która doskonale wie, że rusofilii w Polsce nie uda się rozpropagować. Można natomiast identyczny, a nawet większy efekt osiągnąć przez ukrainofobię. Uzupełnienie jej przez antysemityzm można sprzedawać na świecie jako ujawnienie się istotnego składnika polskiej, a zatem katolickiej tożsamości. Prowadzić to ma do jej kompromitacji i wypchnięcia Polaków z rejestru cywilizowanych narodów. Rosyjskie działania w internecie, ich farmy trolli, które eksploatowały nierozliczoną tragedię Wołynia, miały duże znaczenie dla sukcesu ukrainofobii i rozwoju antysemityzmu.

Czynnikiem, który pomógł w ożywieniu antysemityzmu, była wojna w Gazie, nie ona go jednak spowodowała. Niechęć do Izraela na lewicy datuje się od drugiej połowy lat 60. ub.w. Izrael został przez nią znienawidzony jako eksponent cywilizacji zachodniej na Bliskim Wschodzie. Sympatii nawet do terrorystycznych aktów wymierzonych w Izrael towarzyszyła kampania przedstawiania go jako ludobójczego reżimu, gdy najbardziej oczywiste fakty pokazywały, że jest to najbardziej cywilizowany kraj regionu. Ale to lewica kształtowała obraz rzeczywistości na Zachodzie.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl b306bac7a5

Brutalność walki z organizacjami terrorystycznymi, takimi jak Hamas czy Hezbollah, wpłynęły na metody izraelskich działań. Na pewno wiele z nich trudno usprawiedliwić. Generalnie Izrael „zorientalizował" się w negatywnym sensie tego słowa. Natomiast opowieść o ludobójstwie izraelskim jest niedopuszczalną przesadą. To ona usprawiedliwiać ma antysemityzm.

W III RP w dużej mierze wyrósł on z uzasadnionego poczucia krzywdy i upokorzenia. Postawy Izraela wobec Polski w czasie rządów PiS nie sposób obronić. Tyle że w dużej mierze organizowana była ona przez lewicowe elity III RP, które szmuglowały do tamtego kraju opowieść o tym, że polska ustawa antydefamacyjna uniemożliwi badanie Holokaustu. Wraz ze wspomnianymi powyżej procesami stało się to pożywką dla odrodzenia się antysemityzmu, tak jak polityka Zełeńskiego przyczyniła się w dużej mierze do ukrainofobii. I oczywiście pojawili się politycy tudzież wszelkiej maści ambicjonerzy, którzy potraktowali zjawiska te jako trampolinę do kariery. Rozpoczęła się licytacja na „prawicowy" radykalizm, co musiało zaowocować pojawieniem się realnie faszystowskich postaw. Konkurs wygrał Grzegorz Braun, który reprezentuje faszyzm czystej wody.

SAMOZATRUCIE PRAWICY

Program Brauna jest trudny do rekonstrukcji jak każdy faszyzm, gdyż polityk ten potrafi dowolnie przeinaczać swoje opinie czy kłamać w ich sprawie. Demonstruje katolickość, a jednocześnie kwestionuje Stary Testament, jak Rosenberg i inni przedstawiciele „chrześcijańskiego" nazizmu. Odrzucenie dekadencji współczesnej cywilizacji zachodniej ma się objawiać sympatią do jej wrogów, wyrazami solidarności z Iranem czy (mniej ostentacyjnie) z putinowską Rosją. Jego program gospodarczy to slogany: mniej podatków i redukcja państwa – co trafić ma do przedsiębiorców przygniecionych biurokracją III RP (a zwłaszcza UE).

Jasne jest jedno: wrogami Polaków mają być Żydzi i Ukraińcy, którzy dążą do ich wyniszczenia. Dla uzasadnienia tego Braun potrafi snuć najbardziej groteskowe teorie spiskowe w rodzaju tej, że CPK miał być lotniskiem dla Żydów, którzy uciekając z Izraela, próbowali będą podbić i zasiedlić Polskę. Poglądy takie trafić mają do grupy szczególnie zajadłych antysemitów i Braun nie będzie ich zbyt często powtarzał. Natomiast jego konsekwentne oburzenie wywołuje upamiętnienie wspólnoty polsko-żydowskich losów, jak choćby beatyfikacja rodziny Ulmów.

Generalnie Braun snuje wizję światowego spisku Żydów, którzy zdeprawowali cywilizację Zachodu i przejęli nad nią kontrolę. Określenie USrael wskazywać ma, w co przekształciły się Stany Zjednoczone, które według prawicowych radykałów są psem łańcuchowym Izraela, tak jak dla lewicy Izrael jest psem łańcuchowym USA.

> Oskarżenie o antysemityzm stanowiło stałą metodę walki z kontestatorami III RP. W efekcie nie tylko uległo zbanalizowaniu, lecz także zaczęło być przyswajane przez coraz większe grupy na prawicy. Skoro przeciwnicy oligarchicznego, antynarodowego porządku nazywani są antysemitami, to nie tylko antysemityzm przestaje budzić negatywne skojarzenia, lecz także uznanie, że to Żydzi stoją za tym systemem, jawi się jako coraz bardziej prawdopodobne

Nie wiemy, na ilu wyborców realnie liczyć może Braun, gdyż stosunkowo wysokie (ok. 10 proc.) notowania wynikać mogą z gruntownego odrzucenia przez sporą grupę Polaków porządków III RP, a w tym ten polityk wydaje się najbardziej radykalny.

Jest on wymarzonym antagonistą dla liberałów nie tylko w III RP, lecz także w całej UE. Nazistowski w swoim charakterze antysemityzm, nienawiść do Ukrainy i generalnie prezentowana przez niego postawa uzasadnia poddanie Polaków kurateli światłych elit. Dla Moskwy to nie tylko nadzieja na definitywne zablokowanie groźnego dla niej polsko-ukraińskiego aliansu, lecz także kompromitacja naszego kraju w oczach opinii zachodniej. Domaganie się przez Brauna usunięcia z Polski korpusu USA i faktycznie zerwania z nimi sojuszu realnie uzależnia nas od Rosji.

Niepokojące jest, że duża część ośrodków opiniotwórczych i niektórych polityków prawicy uznaje Brauna za może radykalny i egzotyczny, ale element patriotycznego frontu.

Destrukcyjna polityka koalicji 13 grudnia uzasadnia daleko idące działania w celu odsunięcia jej od władzy. Usprawiedliwić może to doraźne koalicje z kimś takim jak Braun, ale przy świadomości, że o żadnym trwalszym sojuszu mowy być nie może. A poczucie wspólnoty z Braunem dlatego tylko, że mówi on: „szczęść Boże" i ma pełne usta patriotycznych frazesów oznacza przekreślenie zasad, które leżą u fundamentów konserwatyzmu oraz samozatrucie związanych z nim idei.

Poczucie narodowej krzywdy i upokorzenia wypracowane zostały przez dekady trwania III RP, ale nie znaczy to, że należy tolerować wyrastające z nich odrażające kształty polityczne, na których żeruje i wzmacnia je wspomniany polityk.

eprasa.pl b306bac7a5



W jaki sposób Rosjanie mogą zaatakować NATO

Możemy mieć do czynienia z alarmami bombowymi, groźbami ataku przy użyciu dronów, aktywizacją świata przestępczego, katastrofami w ruchu lądowym, napaściami niezidentyfikowanych sprawców na posterunki graniczne, nasileniem cyberataków, zatruwaniem ujęć wody czy uszkodzeniem sieci energetycznej. Rosja przygotowała wiele scenariuszy. Celem tych działań jest zastraszenie europejskich społeczeństw i presja na polityków, by ograniczyli pomoc Ukrainie



MAREK BUDZISZ

Przemawiając w ONZ, Siergiej Ławrow, rosyjski minister spraw zagranicznych, postawił sprawę jasno: „Nie wstrzymamy naszej specjalnej operacji wojskowej". Co prawda ponoć „Rosja jest gotowa do negocjacji" kończących wojnę, ale musi być ona kontynuowana, bo w przeciwnym razie armia ukraińska mogłaby – jak stwierdził rosyjski polityk – w międzyczasie nabyć nową broń przy wsparciu Europy.

Te słowa oddają sposób myślenia na Kremlu. Rosjanie są zdania, że stała presja pozwoli im wygrać wojnę, ale jednocześnie obawiają się nagłego zwrotu akcji, wzmocnienia Ukrainy i porażki. W swym przemówieniu, które ukraiński minister spraw zagranicznych Andrij Sybiha określił mianem „nudnych bajek", Ławrow ujawnił jeszcze jeden aspekt rozumowania Rosjan. Otóż są oni przekonani, że Ukraina jest w stanie stawiać opór wyłącznie dzięki wsparciu państw europejskich, co oznacza, iż walczą z całym kontynentem, a nie tylko z sąsiednim państwem. I aby wygrać wojnę, muszą to wsparcie zablokować, zastraszając społeczeństwa państw europejskich i doprowadzając do tego, że ich pomoc osłabnie. Dlatego Kreml przygotowuje się do eskalacji nie wyłącznie przeciw Ukrainie, ale szerszej – przeciw Europie.

Ostatnio mówią o tym wszyscy. Alexander Stubb, prezydent Finlandii, zaapelował do swych obywateli, aby byli przygotowani na rosyjskie akcje sabotażowe i przyznał, że był ostrzegany przez przedstawicieli służb wywiadowczych wielu państw, iż „Finlandia może być następnym celem" – po tym, jak Rosjanie poradzą sobie z Ukrainą. Donald Tusk mówił w Sejmie o narastającym zagrożeniu, a prezydent Macron zorganizował w Pałacu Elizejskim spotkanie z liderami wszystkich sił politycznych, aby poinformować ich o pogarszającej się sytuacji bezpieczeństwa. Marine Tondelier, liderka francuskiej Partii Ekologicznej, powiedziała mediom, że „była zszokowana" tym, co usłyszała na zamkniętym

Fot. Daniel MIHAILESCU/AFP/East News

eprasa.pl b306bac7a5

spotkaniu z prezydentem. Nawet ostatnie decyzje Pentagonu – o czym poinformował Kęstutis Budrys, litewski minister spraw zagranicznych – o wznowieniu przez Amerykanów rotacyjnej obecności wojskowej na Litwie można uznać za sygnał ostrzegawczy, którego adresatem są Rosjanie, oraz pośrednim potwierdzeniem tego, że również w Waszyngtonie uważa się, iż sytuacja bezpieczeństwa w regionie ulega pogorszeniu.

Przedstawiciele amerykańskiego wywiadu mieli też informować ostatnio Warszawę, że Rosjanie intensywnie „mapują" przebieg podmorskich kabli teleinformatycznych wzdłuż polskiego wybrzeża, co oznacza, że należy spodziewać się akcji sabotażowych.

BAŁTOWIE I SKANDYNAWOWIE WIEDZĄ, CO ROBIĆ...

Co Rosjanie mogą zrobić? To pytanie, które słychać w europejskich stolicach niezwykle często, a po ostatnich alarmach jest też zapewne przedmiotem rozmów „zwykłych obywateli".

Prezydent Finlandii jest przekonany, że „wielka wojna" to wariant mało prawdopodobny, ale społeczeństwo jego kraju powinno się liczyć ze wzmożoną liczbą prowokacyjnych działań Rosjan. Takie incydenty jak ostatnio odnotowane „wtargnięcie" na 42 sekundy rosyjskiego śmigłowca w przestrzeń powietrzną Polski albo pojawienie się balonów znad Białorusi nad Wilnem mogą być znacznie częstsze. Stuub mówi, że „należy zachować spokój i podchodzić do wiadomości z powściągliwością", reagować na zagrożenia, ale nie wpadać w panikę. Bałtowie i Skandynawowie, którzy mają dobrze działającą obronę cywilną, podkreślają, że w sytuacjach kryzysowych kiedy mnożą się incydenty i niepokojące wydarzenia, najlepszą odpowiedzią jest zachowanie zimnej krwi i przestrzeganie przećwiczonych wcześniej reakcji. To pokazuje przeciwnikowi, że obywatele są nie tylko przygotowani, lecz także – co nie mniej ważne – nie wpadają w panikę. Cały system państwowy utrzymuje sterowność mimo kryzysu, a odpowiedź na agresję zostanie udzielona.

POLACY POGUBIENI

Niestety w Polsce nie wygląda to tak dobrze. Jeden z mieszkańców Lublina po zeszłotygodniowych alarmach, kiedy w mieście rozległo się wycie syren, opisał mi w liście, jak w Polsce, w województwie graniczącym z Ukrainą, w czwartym roku wojny służby i administracja reagowały na alarmy. W szkole, do której uczęszcza jego córka, dzieci zostały wyprowadzone z klas i wraz z nauczycielami zgromadziły się w przeszklonej sali gimnastycznej. Nie tylko nauczyciele nie wiedzieli, co robić, lecz także szukali schronienia w miejscu, które w żaden sposób się do tego nie nadawało. Podobnie w drugiej szkole, do której uczęszcza syn mojego korespondenta. Tam dzieci sprowadzono do piwnicy, ale już po tym, kiedy odwołano alarm, na dodatek szkołę wybudowano 10 lat temu i najprawdopodobniej tego rodzaju miejsce schronienia nie spełnia podstawowych wymogów.

> Rosjanie są przekonani, że Ukraina jest w stanie stawiać opór wyłącznie dzięki wsparciu państw europejskich, co oznacza, iż walczą oni z całym kontynentem, a nie tylko z sąsiednim państwem

Większość mieszkańców Lublina zwyczajnie nie wiedziała, gdzie są schrony, bo nie przeczytała dostarczonej przez władze informacji i nie interesowała się wcześniej tymi sprawami, uważając, że „wojna nas nie dotyczy". Studenci i pracownicy naukowi UMCS wyszli przed budynki i tam, w tłumie, czekali, na zakończenie alarmu. Ale najlepiej zachowali się nasi politycy, którzy w samym centrum Lublina uczestniczyli w obchodach kolejnej rocznicy sowieckiej agresji. Mimo alarmu lotniczego nikt nie przerwał trwających dwie godziny uroczystości, nikt nie wydał polecenia rozśrodkowania zgromadzonego tłumu i nikt się specjalnie nie przejął wyjącymi syrenami. Minister Kierwiński, odpowiedzialny za przygotowanie Polaków na wypadek tego rodzaju zagrożenia, powinien zacząć wreszcie coś robić, bo nie jest dobrze.

AKTY SABOTAŻU, ATAKI DRONÓW, PODPALENIA

Jeśli zastanawiamy się, co Rosjanie mogą zrobić, spodziewajmy się zwiększonej liczby incydentów, intensywniejszej propagandy i zastraszania. Alarmy lotnicze mogą być częstsze, mogą się zacząć uderzenia przy użyciu systemów bezzałogowych, nasza infrastruktura krytyczna będzie celem coraz częstszych ataków (również cyberataków), będą się mnożyć akty sabotażu. Wzrośnie też liczba pożarów, przy czym będziemy mieć problemy z oceną, czy zostały one wzniecone celowo, czy są wynikiem zdarzeń naturalnych.

W maju br. minister klimatu poinformowała, że w lasach w ciągu 12 miesięcy mieliśmy do czynienia ze wzrostem liczby pożarów o 1,5 tys. Nie wiadomo, czy były to podpalenia, czy zbieg okoliczności. Ale nie jest tajemnicą, że rosyjska FSB opracowała specjalny „podręcznik" instruujący jednorazowych agentów, których werbują Rosjanie, w jaki sposób z powszechnie dostępnych chemikaliów skonstruować bombę zapalającą z opóźnionym zapłonem. Wiadomo również, że w Polsce obrona cywilna – odmiennie niż w innych krajach – jest budowana w oparciu o zasoby i kadrę zawodowej i ochotniczej straży pożarnej. Jeśli strażacy będą zajęci gaszeniem rosnącej lawinowo liczby pożarów, to będą mieli mniej czasu na inne zadania, w tym przygotowanie ludności cywilnej na wypadek zagrożeń. Przypadek?

KRYZYS W NARWIE, PARALIŻ NA BAŁTYKU

Instytut Studiów nad Wojną przedstawił też prawdopodobny scenariusz rosyjskiej agresji kinetycznej, która jednak nie oznacza ani „wielkiej wojny", ani też nie równa się wtargnięciu znaczących sił na obszar któregoś z państw NATO. Scenariusz ten opisuje możliwą sytuację w estoń-

eprasa.pl b306bac7a5





skiej Narwie. Może dlatego, że od kilku miesięcy w rosyjskojęzycznych portalach nasila się propaganda na rzecz utworzenia Republiki Ludowej Narwy – na wzór podobnych tworów, które zostały ustanowione w Donbasie w 2014 r. W Narwie przeważają też rosyjskojęzyczni obywatele Estonii, ale podobna sytuacja panuje także w łotewskim Dyneburgu i „modelowy scenariusz" wtargnięcia może mieć zastosowanie również tam. Wystarczy, że jakaś grupa uzbrojonych mężczyzn opanuje budynki użyteczności publicznej w nadgranicznej miejscowości albo zabarykaduje się w szkole, biorąc dzieci i nauczycieli na zakładników. Ogłoszą oni „manifest", w którym będą się skarżyć na to, że ich prawa mniejszości, w tym językowe, są łamane.

Przedstawiciele rosyjskiej dyplomacji, w tym minister Ławrow, od lat argumentują, że w państwach bałtyckich powszechna jest „rusofobia" (w Polsce również), prawa ludności rosyjskojęzycznej są brutalnie łamane, „powstanie" i wzięcie zakładników jest zaś aktem desperacji, a nie działalnością terrorystyczną. Już wiosną Duma zmieniła rosyjskie prawo, dając Putinowi możliwość interwencji wojskowej, aby bronić obywateli Rosji lub przedstawicieli ludności rosyjskojęzycznej, którzy nie mogą liczyć na uczciwy proces tam, gdzie mieszkają. Kryzys w Narwie może skłonić Rosjan do skorzystania z tych „uprawnień". Aby przeciwdziałać uderzeniu sił porządkowych na buntowników, Rosjanie mogą podciągnąć na granicę oddziały Rubikonu, specjalnej formacji walczącej na ukraińskim froncie przy użyciu dronów. Ich zadaniem będzie stworzenie „strefy buforowej", czyli obszaru, do którego nie będą w stanie dotrzeć siły NATO. Używając odpornych na zakłócenie dronów światłowodowych, żołnierze Rubikonu będą w stanie razić cele, w tym pojazdy i konwoje wojskowe, na głębokości ok. 20 km, nie przekraczając nawet fizycznie granicy. NATO stanie wówczas przed dylematem – rozpoczynać wojnę, używając lotnictwa i bombardując pozycje Rosjan, którzy nie weszli do Estonii, ale uniemożliwiają przemieszczanie się wojska, czy zacząć szukać rozwiązań negocjacyjnych. Rosjanie nie będą zresztą najprawdopodobniej chcieli oderwania terenów opanowanych przez „separatystów". Będą zapewne nawet deklarowali chęć postawienia przed sądem ludzi, którzy wzięli zakładników. Ale jednocześnie będą kwestionować jurysdykcję estońskich sadów, argumentując, że tylko w Rosji można będzie zorganizować sprawiedliwy proces i na dodatek będą się domagać międzynarodowego nadzoru nad polityką Tallina wobec mniejszości. To im wystarczy, by zmienić sytuację geostrategiczną w regionie. Podważenie suwerenności członka NATO, pokazanie, że w przypadku „mniejszego wtargnięcia" Pakt nikomu nie przyjdzie z pomocą i poddanie mniejszych państw wschodniej flanki międzynarodowej kurateli (z udziałem Moskwy) i tak byłoby wielkim sukcesem Putina. Oczywiście gdyby udało się zrealizować ten plan.

Inne opcje dotyczą Bałtyku, który nie jest – jak optymistycznie uważamy – „NATO-wskim jeziorem". Dziś zarówno NATO, jak i Rosjanie mają możliwości sparaliżowania żeglugi na tym akwenie. Tyle że stawka ryzyka jest rozłożona asymetrycznie. Rosjanie, jeśli nie będą mogli korzystać z portów bałtyckich, będą mieć poważne problemy, ale mają alternatywne kanały zaopatrzenia i najprawdopodobniej przetrwają. Ale czy przetrwa Finlandia, do której już teraz, w czasie pokoju, 90 proc. zaopatrzenia dociera drogą morską? Andrew Livsey, przez ponad 20 lat odpowiadający w dowództwie brytyjskiej marynarki wojennej za planowanie strategiczne, obliczył, że w przypadku konfliktu na większą skalę, aby „utrzymać" państwa bałtyckie i Finlandię, NATO musiałoby dostarczyć drogą morską 228 tys. t zaopatrzenia (nie licząc paliwa) w pierwszym miesiącu konfliktu, ale już w siódmym musiałoby to być ponad 700 tys. t. To powoduje, że każde zakłócenie swobody żeglugi w większym stopniu osłabia Pakt Północnoatlantycki niż Rosję i wyjaśnia rosnącą aktywność naszych rywali na Bałtyku. To państwom NATO – w tym Polsce – będzie zależało na utrzymaniu swobody żeglugi, a Kremlowi do osiągnięcia jego celów wystarczy paraliż albo częściowa blokada tego akwenu.

Takie wyspy jak Bornholm, Gotlandia, Archipelag Alandzki czy Sarema mają znaczenie strategiczne, bo ten, kto będzie je kontrolował, jest w stanie zablokować nasze porty. To dlatego Szwedzi i Niemcy niedawno ćwiczyli obronę Gotlandii, a nasze siły uczestniczyły w podobnych manewrach kilka miesięcy temu.

WIELE SCENARIUSZY

Każdy z tych scenariuszy – i wiele innych – może być wcielony w życie oddzielnie, sekwencyjnie, powodując stopniowy wzrost napięcia. Rosjanie mogą również eskalować, destabilizując sytuację w kilku obszarach w tym samym czasie. Kryzysy mogą pojawiać się jeden po drugim, coraz szybciej, ale mogą też wystąpić jednocześnie. Możemy mieć do czynienia z alarmami bombowymi, groźbami ataku przy użyciu dronów, aktywizacją świata przestępczego, katastrofami w ruchu lądowym, napaściami niezidentyfikowanych sprawców na posterunki graniczne, nasileniem cyberoperacji, zatruwaniem ujęć wody czy uszkodzeniem sieci energetycznej. Każde z tych zdarzeń już miało miejsce w państwach europejskich. Jeśli wystąpią w wielu miejscach, ale w jednym czasie, wówczas będziemy wiedzieli, że „coś się zaczyna". I warto być przygotowanym na taką ewentualność. Lepiej niż w Lublinie.

Fot. Hubert Bierndgarski/REPORTER/ Komenda Wojewódzka Państwowej Straży Pożarnej w Lublinie

eprasa.pl b306bac7a5

Licencja na zabijanie

Liczba kategorii, które obejmuje eutanazja, wciąż się powiększa o kolejne grupy osób, a końca tego procesu nie widać. Zabicie 2-letniego dziecka jest zaś szokujące



GRZEGORZ GÓRNY

Dopiero teraz władze Holandii ujawniły, że pod koniec 2025 r. tamtejsi lekarze w majestacie prawa śmiertelnym zastrzykiem odebrali życie 2-letniemu dziecku. Był to pierwszy tego typu przypadek eutanazji w Niderlandach. Do tej pory bowiem – jeśli chodzi o osoby nieletnie – w legalny sposób uśmiercano tylko noworodki lub dzieci powyżej 12. roku życia.

W tym przypadku zabicie 2-latka nastąpiło wbrew opinii niezależnych lekarzy, którzy podkreślali, że dziecko „nie cierpiało nieustannie w sposób nie do zniesienia" i mogłoby korzystać z opieki paliatywnej oraz specjalistycznych leków, zapewniających lepszą kontrolę napadów padaczkowych. Szpital był jednak zdeterminowany, by sprawa znalazła inny finał, zasięgnął więc opinii kolejnego lekarza, który stwierdził, że mały pacjent spełnia wszelkie warunki kwalifikujące go do eutanazji. Wyrok wykonano, a komisja rewizyjna, która przeprowadziła później dochodzenie, stwierdziła, że przy skazaniu na śmierć i egzekucji dopełniono wszelkich wymogów należytej staranności.

RÓWNIA POCHYŁA

Dla kogoś, kto od lat obserwuje triumfalny pochód przez świat proeutanazyjnej mentalności, wydarzenie w Holandii nie jest żadnym zaskoczeniem.



Kiedy legalizowano ten proceder, mówiono, że musimy dać ludziom prawo do decydowania o własnym życiu. Jest to jednak nieprawda, gdyż wcale nie trzeba legalizować eutanazji, by człowiek mógł decydować o swoim życiu. Przecież ani samobójstwo, ani jego próba nie są karane przez prawo w żadnym państwie. Chodzi więc nie tyle o możliwość decydowania o własnym życiu, ile o życiu innych ludzi. Usankcjonowanie eutanazji daje bowiem lekarzom (czy szerzej: personelowi medycznemu) prawo do zadawania śmierci. Szczególnie widoczne jest to w przypadku 2-letniego dziecka, które nie może przecież decydować o własnym życiu, ponieważ nie ma takiej świadomości. W rzeczywistości mamy więc do czynienia z morderstwem dokonanym z zimną krwią.

Gdy w 2002 r. Holandia jako pierwszy kraj na świecie zalegalizowała eutanazję, ludzkość weszła na równię pochyłą. Do Niderlandów dołączyły kolejne kraje, m.in. Belgia, Szwajcaria, Kanada, Hiszpania czy Francja. Zarazem nieustannie rozszerzało się spektrum osób pozbawianych życia przez personel w białych kitlach.

Na początku mówiono, że eliminacja ze świata żywych będzie dotyczyć tylko osób nieuleczalnie chorych, znajdujących się w stanie terminalnym i odczuwających ból, którego nie da się uśmierzyć żadnymi środkami. Zastrzegano, że musi się to odbywać za świadomą i kilkakrotnie powtarzaną zgodą zainteresowanego. Z czasem jednak praktyka zaczęła obejmować kolejne grupy, np. ludzi niepełnosprawnych, cierpiących na depresję, mających

eprasa.pl b306bac7a5

problemy finansowe, niemogących opłacić mieszkania, zmęczonych życiem, czujących się obciążeniem dla bliskich, a także noworodki i dzieci powyżej 12. roku życia.

AKCJA MIŁOSIERNEJ ŚMIERCI

Podobna logika stała w III Rzeszy za eksterminacją „ludzi niegodnych życia". Zaczęło się od chorych umysłowo, niepełnosprawnych, bezproduktywnych, a skończyło – jak wiemy – na ludobójstwie. To eugenika i eutanazja przygotowały mentalnie Niemców, a zwłaszcza narodowych socjalistów, do masowych zbrodni, ponieważ oswajały ich z myślą, że państwo ma prawo zabijać osoby należące do niepożądanych kategorii.

Media, gdy wspominają dziś o tamtej operacji, najczęściej używają kryptonimu Akcja T-4, ponieważ siedziba urzędu odpowiedzialnego za mordowanie niepełnosprawnych mieściła się w budynku przy Tiergartenstrasse 4 w Berlinie. Jest to jednak nazwa wymyślona przez historyków po II wojnie światowej. W rzeczywistości w III Rzeszy używano wówczas innego określenia: Eu-Aktion (Akcja Eutanazja) lub Akcja Miłosiernej Śmierci. Sam Adolf Hitler, gdy w Grand Hotelu w Sopocie osobiście sygnował rozkaz o rozpoczęciu eksterminacji osób niepełnosprawnych, pisał, że „chorym należy zapewnić śmierć w duchu miłosierdzia".

Narodowi socjaliści używali więc tego samego słownictwa, po które dziś tak chętnie sięgają zwolennicy eutanazji, odmieniający przez wszystkie przypadki słowo „miłosierdzie". Jest to jednak tylko parawan, za którym kryją się rzeczywiste motywy inicjatorów haniebnego procederu. Pod tym względem naziści byli bardziej szczerzy w ujawnianiu swych prawdziwych intencji.

W Muzeum Niemiec w Berlinie obejrzeć można plakaty promujące przymusową eutanazję niepełnosprawnych w III Rzeszy. Na jednym z nich widać siedzącego na krześle mężczyznę z tępym wyrazem twarzy i podpisem głoszącym, że jego bezproduktywne życie kosztuje państwo 60 tys. marek. Dzisiejsi nadzorcy eutanazji nie są już tak chętni, by publicznie wspominać, iż osoby starsze, niesprawne umysłowo i nieuleczalnie chore obciążają swym istnieniem budżety systemów socjalnych i emerytalnych, dlatego ich eliminacja jest korzystna z finansowego punktu widzenia. Wartość człowieka jest mierzona jego efektywnością – gdy nie przynosi zysku, przestaje być potrzebny, a brutalną prawdę zawsze można zamaskować wzniosłymi słowami o godności i miłosierdziu.

MASOWOŚĆ KRYPTANAZJI

Nic więc dziwnego, że w takim klimacie społecznym szerzy się zjawisko kryptanazji, czyli eutanazji niedobrowolnej, dokonywanej bez wiedzy i zgody zainteresowanego. Prof. Ryszard Fenigsen, który przepracował w holenderskich szpitalach kilkanaście lat, pisze: „Ważna przyczyna, która sprawia, że dobrowolnej eutanazji musi towarzyszyć eutanazja niedobrowolna, leży w samej logice eutanazji. Kto wierzy i głosi, że pozbawienie człowieka życia, aby uwolnić go od cierpień, jest dobrodziejstwem, nie ma prawa pozbawić niektórych cierpiących tego dobrodziejstwa tylko dlatego, że nie są w stanie sami o to poprosić".

Uśmiercenie pacjenta bez jego wiedzy i zgody jest dla wielu lekarzy łatwiejsze niż przeprowadzenie dobrowolnej eutanazji. Ta ostatnia wymaga bowiem odbycia trudnej rozmowy z pacjentem, wytrzymania jego wzroku, nieprzewidzianych reakcji w momencie samego zadawania śmierci. Znacznie lżej jest dokonać eutanazji, gdy chory do ostatnich chwil pozostaje nieświadomy zamiarów lekarza. Tego samego zdania był zresztą dr Fritz Lenz, twórca prawa obowiązującego w III Rzeszy od 1940 r., który utrzymywał, że eutanazja bez wiedzy chorego jest „mniej okrutna" i „bardziej humanitarna". Dlatego komory gazowe urządzano na podobieństwo łaźni – by do ostatniej chwili utrzymać skazanych w przekonaniu, że to tylko zabieg higieniczny, a nie egzekucja. Podobnie dziś pacjenci są często nieświadomi, że przez igłę, którą lekarz wkłuwa do ich żyły, popłynie za chwilę śmiertelna dawka trucizny, a nie kolejna porcja środka przeciwbólowego.

Dr Pieter Admiraal, zwany „ojcem chrzestnym eutanazji w Holandii", sam chwalił się publicznie, że wielokrotnie dokonywał kryptanazji. Najczęściej używał wówczas metody uśmiercania pacjentów zwanej sedacją terminalną. Najpierw podawał im podwyższone dawki morfiny, a następnie przestawał karmić i poić. Po kilku dniach chorzy umierali z głodu lub odwodnienia, ale ponieważ byli odurzeni narkotykami, nie wiedzieli, że umierają i nie mogli zaprotestować.

Admiraal wyjaśniał, że lekarze preferują ten sposób pozbawiania pacjentów życia, ponieważ nie muszą wówczas dopełniać wielu biurokratycznych i czasochłonnych formalności, które są wymagane w przypadku oficjalnie zgłoszonej „aktywnej dobrowolnej eutanazji". Oznacza to jednak, że liczba ludzi uśmierconych w placówkach medycznych jest znacznie wyższa, niż podają oficjalne statystyki, które i tak porażają skalą zjawiska.

LUDZIE ZBĘDNI

W Kanadzie sprawy zaszły jeszcze dalej, o czym świadczy przypadek 83-letniej Brigitte Stegemann, zamordowanej 10 lipca br. w domu opieki w Ontario. Została ona poddana eutanazji nie tylko bez zgody swojej i rodziny, lecz także mimo wyraźnego sprzeciwu – zarówno własnego, jak i najbliższych. Lekarze orzekli jednak, że kobieta nie rozumie swojej sytuacji i rokowań, dlatego podjęli decyzję zamiast niej, uznając, że pozbawienie życia będzie najlepiej służyło jej interesowi.

Państwo otrzymuje więc licencję na zabijanie swoich obywateli. Nie ma już znaczenia ich wiedza, wola czy zgoda. Wystarczy opinia komisji, że nie rozumieją oni obiektywnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, ani swojego najlepiej pojętego interesu, który wymaga wykluczenia ich ze wspólnoty żywych.

Liczba kategorii, które obejmuje eutanazja, stale powiększa się o kolejne grupy osób. Łączy je jedno – są dla państwa czasochłonne, kosztowne, nieefektywne, bezproduktywne, jednym słowem: zbędne. Po jaką kategorię sięgnie machina śmierci w następnym kroku?

eprasa.pl b306bac7a5

Metoda Meloni



„Dla nas każdy, kto przyjeżdża do Włoch i chce tu budować swoją przyszłość, musi nauczyć się naszego języka, zrozumieć naszą kulturę i przestrzegać naszych zasad” – przekonuje premier Giorgia Meloni, która chce ograniczyć liczbę dzieci migrantów w szkołach



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Nowy rok szkolny we Włoszech rozpoczął się między 7 a 17 września – w zależności od regionu – pod znakiem gorąca i braku klimatyzacji. W Rzymie i całym regionie Lacjum związki zawodowe nauczycieli podnosiły alarm w związku z nieznośnie wysokimi temperaturami w klasach. A to po trudnym zakończeniu poprzedniego roku szkolnego, gdy uczniowie i nauczyciele zgłaszali nieznośne upały w klasach podczas egzaminów. W roku szkolnym 2024–2025 zaledwie 2835 z 39 351 budynków szkolnych (czyli 7,2 proc.) było wyposażonych w klimatyzację. W niektórych szkołach na południu kraju przesunięto więc rozpoczęcie roku na późny październik.

Gorąco wokół szkół było jednak również w polityce. Premier Włoch Giorgia Meloni ogłosiła w minioną niedzielę na odbywającym się w Rzymie zjeździe młodzieżówki partii Bracia Włosi, że jej rząd przygotowuje projekt ustawy wprowadzający limit uczniów z rodzin imigrantów w klasach i zakaz noszenia w szkole muzułmańskich nakryć zasłaniających twarz. Ponadto rodzice uczniów, którzy mają problemy ze szkolną integracją, będą mieli obowiązek nauki języka włoskiego.

Według szefowej rządu znajomość języka będzie głównym wyznacznikiem proponowanych zmian. Limit dotknie więc uczniów, którzy nie mówią wystarczająco dobrze po włosku. „Jeśli w klasie jest tylko jedno dziecko, które nie zna włoskiego, będzie ono w stanie nauczyć się języka i szybko zintegrować się z pomocą kolegów i nauczycieli” – powiedziała Meloni. „Jeśli jednak liczba dzieci nieznających języka będzie duża – lub będą one stanowiły większość – to już nie będzie integracja, a czyste zaniedbanie” – zaznaczyła.

Do szkoły natomiast – przekonywała – należy chodzić z odsłoniętą twarzą, a „we Włoszech nikt, w imię prawdziwej lub rzekomej tradycji, nie może decydować o tym, że młoda kobieta ma się zakrywać”. „To wykluczone, żeby we włoskiej klasie włoskie dzieci czuły się, jakby były w narożniku, bo stały się mniejszością. Nie ma o tym mowy” – dodała premier.

SZKOŁA BEZ WŁOCHÓW

W połowie września media nad Tybrem informowały o proteście rodziców w szkole Giulio Cesare w Mestre, jednej z dzielnic Wenecji, w której jest wielu uczniów z rodzin imigrantów, głównie z Bangladeszu. Przed szkołą pojawił się transparent z hasłem: „Wasza integracja jest naszym marginalizowaniem”. Jak wskazał portal Secolo d’Italia, 9 na 10 uczniów w tej szkole to dzieci z Bangladeszu. „Głównym problemem jest bariera językowa. Nauczyciele nauczają po włosku, a uczniowie ich zwyczajnie nie rozumieją” – czytamy. Jedna z matek tłumaczyła w telewizji RAI, że „język włoski jest niezbędny, inaczej twory się getto”. Dziennik „Corriere della Sera” podał zatrważające liczby: w przedszkolu w Mestre na 102 dzieci 100 nie mówi po włosku. W podstawówce proporcje te niewiele się zmieniają: na 118 uczniów tylko 10 nosi włoskie nazwisko. Co więcej, 4 z 6 nowych klas pierwszego roku składa się wyłącznie z uczniów, którzy w dokumentach szkolnych figurują jako dzieci imigrantów. Sytuacja jest na tyle chaotyczna, że dyrektor szkoły Michela Manente na początku roku szkolnego straciła stanowisko, a chętnych, by ją

Fot. Shutterstock 12/09226/F

eprasa.pl b306bac7a5

zastąpić, na razie brak. W minionym roku odbył się tu już protest rodziców. Wówczas placówka zyskała w mediach miano „szkoły bez Włochów".

Według danych instytutu badań nad migracją Fondazione ISMU w roku szkolnym 2024–2025 do włoskich szkół uczęszczało ok. 931 tys. uczniów bez włoskiego obywatelstwa, co stanowi 11,6 proc., czyli prawie 12 na 100 uczniów. Dwie trzecie z nich urodziło się we Włoszech, ale ponad połowa posiada obywatelstwo innego kraju europejskiego. Średnia krajowa ukrywa również wyraźne różnice regionalne. Ponad 65 proc. uczniów nieposiadających włoskiego obywatelstwa uczęszcza do szkół na północy – w Lombardii, Emilii-Romanii, Wenecji Euganejskiej, Toskanii i Piemoncie, podczas gdy ich obecność jest znacznie niższa w regionach południowych. Na północy udział uczniów pochodzących z imigracji często przekracza 30 proc.

Dane te może nie są nadmiernie alarmujące, ale przez ostatnią dekadę liczba dzieci imigrantów w szkołach wyraźnie wzrosła. Nie tylko z powodu nielegalnej migracji, lecz także ściągnięcia do kraju dużej liczby imigrantów zarobkowych, choćby z Bangladeszu czy Sri Lanki. Wskaźnik absencji wśród dzieci imigrantów wynosi zresztą aż 26 proc., podczas gdy wśród dzieci włoskich – 6 proc.

BRAK SZACUNKU DO PAŃSTWA

W Mestre sytuacja jest zresztą napięta nie tylko w miejscowych szkołach. Pracownicy z Bangladeszu stanowią ok. 25 proc. siły roboczej miejscowej stoczni i domagają się budowy meczetu o powierzchni ponad 8 tys. m². „Jeśli nie pozwolą nam zbudować meczetu, będziemy protestować na ulicach. A jeśli my, Bengalczycy, zaczniemy strajkować w Wenecji, Mestre i Margherze, stocznie Fincantieri zostaną sparaliżowane, podobnie jak restauracje i hotele" – powiedział przedstawiciel społeczności z Bangladeszu, cytowany przez brytyjski dziennik „The Daily Telegraph".

Ile ma wynieść zapowiadany przez Georgię Meloni limit w szkołach, nie wiadomo. Dotąd było to 30 proc. (wprowadzone w 2010 r.), ale pozostawało martwą literą. Nie wiadomo też, czy będzie dotyczył tylko tych dzieci, które dopiero przybyły do Włoch, czy też dzieci migrantów drugiego i trzeciego pokolenia.

W każdym razie opozycja jest oburzona propozycjami Meloni. Inaugurując rok szkolny w Amatrice, prezydent Sergio Mattarella podkreślił, że szkoły muszą „zapobiegać tworzeniu się gett". Ale jednocześnie „zgodnie z art. 34 konstytucji" nie mogą „tworzyć nowych barier" dla integracji. To był najłagodniejszy komentarz. Centrolewica w postaci Partii Demokratycznej, Ruchu Pięciu Gwiazd i Sojuszu Zielonych i Lewicy (AVS) ostro skrytykowała premier. Według Angela Bonellego z AVS „Meloni nie ma już żadnych hamulców". „Problemem nie jest burka ani zagraniczni studenci. Problemem jest ponad 320 tys. pracowników ledwo wiążących

REKLAMA



eprasa.pl b306bac7a5

koniec z końcem, zrujnowane budynki szkolne oraz liczne dzieci i młodzież z niepełnosprawnościami, które wciąż nie otrzymują odpowiedniej opieki" – grzmiał Bonelli, rzecznik Europejskich Zielonych.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Ariana, siostra Giorgii Meloni, sekretarz Braci Włochów, podkreśliła w wywiadzie w „Corriere della Sera", że „lewicę cechuje brak szacunku do państwa". „My jesteśmy odważni. Problem zostanie rozwiązany w sposób zrównoważony, gwarantując jednocześnie dzieciom imigrantów prawo do integracji w kontekście społecznym i edukacyjnym" – dodała.

EFEKT VANNACCIEGO

Nie da się oczywiście ukryć, że kwestia integracji w szkołach znalazła się na szczycie politycznej agendy rządu nie tylko z powodu sytuacji w Mestre, lecz także dlatego, że zbliżają się wybory parlamentarne – muszą zostać zorganizowane do grudnia 2027 r., ale zapewne odbędą się wcześniej, być może już na wiosnę. A Meloni wyrosła na prawicy konkurencja w postaci Roberta Vannacciego i jego partii Futuro Nazionale, która szybko zyskuje poparcie i już przyciąga polityków z koalicji rządzącej.

Jeszcze trzy lata temu Vannacci był praktycznie nieznany poza kręgami wojskowymi. Emerytowany spadochroniarz zyskał ogólnokrajową sławę w 2023 r. dzięki wydanej własnym sumptem książce „Świat na opak", która wywołała nad Tybrem duże kontrowersje. W książce Vannacci uderza m.in. w środowiska LGBT+, które wraz z masową migracją określa jako „główne zagrożenia dla zachodniej cywilizacji". Książka okazała się we Włoszech bestsellerem, sprzedano ok. 200 tys. egzemplarzy. Dzięki temu Vannacci wszedł w 2024 r. do Parlamentu Europejskiego, startując z listy Ligi Północnej, a w lutym br. założył własną partię, która – jak twierdzi – ma już ponad 100 tys. członków. W sondażach zaś oscyluje między 6 a 8 proc., wyprzedzając Ligę, koalicjanta Meloni, której notowania spadły do 5,8 proc., a także drugiego koalicjanta, czyli Forza Italia.

Vannacci przyciąga przy tym nie tylko rozczarowanych wyborców samej premier i jej partii Bracia Włosi, lecz także tych, który są sfrustrowani ciągłą gospodarczą stagnacją kraju. Sam Vannacci uważa się za ostatniego „bezkompromisowego obrońcę suwerenności narodowej" nad Tybrem, a swoją partię za jedyną autentyczną prawicę. Jego zdaniem Meloni – jak powiedział w wywiadzie dla portalu Euractiv – zdradziła Włochy i jest zbyt miękka wobec Unii Europejskiej. Pod koniec lipca Futuro Nazionale złożyła w Komisji Kultury Izby Deputowanych rezolucję przeciwko zakrywaniu twarzy. Została ona przyjęta głosami centroprawicy po ponownym zredagowaniu na wniosek rządu.

BITWA RETORYCZNA

Ta presja z prawej strony zmusza Meloni do zaostrzenia polityki, by zachować swój prawicowy elektorat. Jej rząd jako pierwszy w UE zaatakował Hiszpanię w związku z nagłym napływem migrantów z Maroka do hiszpańskiej eksklawy Ceuta. Podczas gdy Francja i inne kraje zaostrzyły kontrole graniczne, Włochy poszły o krok dalej i ogłosiły zawieszenie wobec Madrytu układu z Schengen o swobodnym przepływie osób. „Nie cofniemy się ani o milimetr w kwestii nielegalnej imigracji" – napisała Meloni na platformie X.

„Nie ma wątpliwości, że istnieje obawa o konkurencję ze strony Vannacciego" – powiedział Marco Tarchi, czołowy politolog prawicowy. „Wszystko sprowadza się do zaostrzenia tonu. Kwestie – bezpieczeństwo, imigracja, tożsamość – pozostają takie same jak wcześniej" – dodał. Może i tak, ale podczas gdy Meloni obiecuje ograniczyć napływ imigrantów, Vannacci otwarcie mówi o „remigracji", odsyłaniu migrantów do ich krajów pochodzenia. Natychmiast. Wszystkich.

Jeśli Futuro Nazionale dalej będzie tak rosło, Meloni, by móc rządzić po wyborach, będzie prawdopodobnie musiała utworzyć z nią koalicję. A Vannacci nie kryje swoich sympatii do Rosji, chce zmniejszyć pomoc dla Ukrainy i zredukować wydatki na obronność. Nie jest to więc wymarzony koalicjant. Dlatego otoczenie Meloni mówi otwarcie, że zrobi wszystko, by partia emerytowanego wojskowego nie przekroczyła 10 proc.

Vannacci, który służył w Afganistanie i Iraku, ujawnił w minionym tygodniu więcej szczegółów programu swojej partii, w tym plan wysłania żołnierzy na ulice włoskich miast w celu zapewnienia bezpieczeństwa i nauczania wartości wojskowych w szkołach. Włochy, jak ponadto zadeklarował na jednym z wieców, powinny być „tylko dla Włochów".

Z ODKRYTĄ TWARZĄ

Co się zaś tyczy zakazu noszenia muzułmańskich nakryć zasłaniających twarz, jest to rozwiązanie szeroko stosowane w Europie. Francja wprowadziła ogólnokrajowy zakaz zakrywania twarzy w miejscach publicznych w kwietniu 2011 r., co zostało później podtrzymane przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Belgia zatwierdziła ogólnokrajowy zakaz w lipcu 2011 r., przewidując grzywny i kary więzienia za jego naruszenie. Bułgaria zakazała noszenia zasłon zakrywających całą twarz w instytucjach państwowych, administracyjnych i edukacyjnych od września 2016 r. Austria uchwaliła w październiku 2017 r. ustawę, która nakłada obowiązek zachowania widocznej twarzy w miejscach publicznych. Od września 2026 r. dziewczęta do 14. roku życia będzie obowiązywał również zakaz noszenia w szkole chusty, która „zakrywa głowę zgodnie z tradycjami islamskimi". Dania wprowadziła ogólnokrajowy zakaz w sierpniu 2018 r., a kary finansowe wzrastają w przypadku recydywy. Holandia wprowadziła częściowy zakaz w sierpniu 2019 r., obejmujący szkoły, szpitale, urzędy państwowe i transport publiczny. W Portugalii zaś wszedł właśnie w życie zakaz zasłaniania twarzy w miejscach publicznych, który obejmuje m.in. burki i nikaby. Przepisy te przewidują grzywny od 150 do 3 tys. euro oraz kary więzienia do lat 2 dla osób zmuszających kogoś do zakrywania twarzy.

Tyle że, jak to często bywa, egzekwowanie tych przepisów, szczególnie w dzielnicach, w których muzułmanie stanowią większość, pozostaje trudne, a czasem jest wręcz niemożliwe.

eprasa.pl b306bac7a5



W dziczy i Hollywood

Brad Pitt podjął survivalowe wyzwanie i znalazł się „W sercu dziczy". Tu mógł zmierzyć się z naturą i samym sobą. Po latach wrócił też do bohatera z filmu „Pewnego razu... w Hollywood" i odświeżył dawny gwiazdorski wizerunek

Fot. Scott Garfield/UIP

eprasa.pl b306bac7a5





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Mocno już dojrzały kolejny „złoty chłopiec Hollywood" nie miał ostatnio dobrej prasy. Rozpad uwielbianego przez media duetu „Brangelina", ciągnące się batalie sądowe i wypływające w związku z nimi doniesienia nadszarpywały wizerunek filmowego ulubieńca. Jak w tekście Agnieszki Osieckiej, Brad w coraz większym stopniu stawał się „mężczyzną z przeszłością". Choć nie tylko odcinającym kupony w kawowych reklamach. Kino nie pozwalało o nim zapomnieć i, przynajmniej zawodowo, utrzymywało w pionie.

WALKA O PRZETRWANIE

Dziś wiele wskazuje na to, że aktor skutecznie finiszuje także prywatny reset. W tym procesie pomocne mogły się okazać doświadczenia bliskiego kontaktu z potęgą natury, a także z samym sobą. Wszystko to zdarzyło się na planie filmu „W sercu dziczy". W survivalowych warunkach. O miano duetu idealnego powalczyli w nich Brad Pitt i owczarek niemiecki Uber.

O czym jest film? Otóż bohater, były żołnierz sił specjalnych James Belmont, i jego pies bojowy Odin po katastrofie lotniczej w samym sercu dzikiej Alaski zostają odcięci od świata i zdani wyłącznie na własne umiejętności. Muszą stoczyć walkę o przetrwanie w obliczu brutalnych (a także wyjątkowo atrakcyjnych wizualnie) sił natury.

Zdjęcia do filmu powstawały w Nowej Zelandii, na tyle daleko od hollywoodzkiego blichtru, że zarówno ekipa, jak i aktor mogli nabrać odrobiny dystansu do zgiełku świata. I do siebie. Z pewnością scenariusz dostarczył im niecodziennych wyzwań.

RZECZY NIESAMOWITE

Przy okazji promocji filmu gwiazdor ocieplał swój wizerunek, chwaląc się umiejętnościami prawdziwego miłośnika psów. Opowiadał o doświadczeniu pracy z Uberem, który – zdarzało się – „robił rzeczy niesamowite". Nie było ich w scenariuszu, a jednak trafiły do filmu. „Jego zachowanie i mimika wciąż bardzo mnie poruszają" – deklarował aktor.

Przy okazji wspominał też o trudnych, a zarazem wyjątkowych warunkach, w jakich przyszło mu pracować. „Kręciliśmy w przepięknej scenerii. Było mokro, zimno, pracowaliśmy po 12 godzin dziennie. Nie mieliśmy przyczep, siedzieliśmy na kłodach, ale wszyscy byli gotowi podjąć to wyzwanie. Kiedy pies pojawiał się na planie, energia się zmieniała, ludzie stawali się trochę szczęśliwsi i podekscytowani" – zapewniał Pitt.

ZAMYKANIE ROZDZIAŁU

W filmie, który właśnie trafił do polskich kin, oprócz fizycznej walki o przetrwanie znalazł się również wątek traumy i jej przepracowania, czyli czegoś bliskiego aktorowi w ostatnich latach. 62-letni Pitt zabierał na uroczyste pokazy dużo młodszą partnerkę (choć w tle nowego etapu jego życia nadal pozostaje nierozwiązany, wieloletni konflikt z byłą żoną Angeliną Jolie).

Co prawda dawni małżonkowie są formalnie rozwiedzeni od końca 2024 r., ale wciąż walczą w sądzie o Château Miraval, francuską posiadłość i winnicę, którą kupili jeszcze jako para. Co jakiś czas wraca również temat problemów Pitta z używkami, zwłaszcza alkoholem (pod jego wpływem miał się zachowywać agresywnie w stosunku do członków rodziny, co było jednym z argumentów pozwu).

W niedawnym wywiadzie udzielonym magazynowi „Esquire" aktor stwierdził, że po rozwodzie z Angeliną i rozłące z szóstką dzieci myślał o samobójstwie jako „uldze". Wspominał też o walce z alkoholem.

DALSZE PERYPETIE

Co ciekawe, rozpad życia rodzinnego nie doprowadził do załamania kariery Pitta. Wręcz przeciwnie – kolejne lata przyniosły mu jedne z największych sukcesów. W 2019 r. zagrał Cliffa Bootha w „Pewnego razu... w Hollywood". Za tę rolę rok później odebrał Oscara dla najlepszego aktora drugoplanowego. W tym samym czasie wystąpił również w „Ad Astra". Później pojawiły się „Bullet Train" i „Babylon" (oba z 2022 r.), „Samotne wilki" (2024), a następnie „F1" (2025). Na 23 grudnia br. serwis Netflix zaplanował premierę filmu „Dalsze perypetie Cliffa Bootha" w reżyserii Davida Finchera i według scenariusza Quentina Tarantino.

Akcja rozgrywa się w 1977 r., osiem lat po wydarzeniach przedstawionych w „Pewnego razu... w Hollywood". Booth nadal jest człowiekiem od zadań specjalnych. Niestety w tle zleconych mu, pozornie prostych spraw zaczynają się ścierać różnorodne interesy, do których włączają się również gangsterzy. Zamiast nostalgicznej wizji Hollywood widzowie mają więc otrzymać „historię pełną morderstw, szantaży, kradzieży i przestępczych interesów".

Fot. Scott Garfield/UIP

eprasa.pl b306bac7a5

Ani pacyfizm, ani militaryzm

Po ostatniej wojnie światowej wojny zostały niemal zakazane. W imię marzenia o „pokojowym świecie". Wybuchały jednak z wielką regularnością. Także po „końcu historii"



MACIEJ WALASZCZYK

Ten znakomity tom otwierają fragmenty kilku tekstów Pierre'a Drieu la Rochelle – wybitnego francuskiego prozaika i publicysty, przez swe wybory „źle widzianego". W okresie międzywojnia świat bohemy i pacyfizm porzucił dla polityki i „faszystowskiego romantyzmu". Jego esej „Genewa albo Moskwa" (1927) to prorocza diagnoza nowoczesności. Dziś żyjemy w rzeczywistości wojennej, więc również „Kronos" podejmuje problem wojny i pokoju, choć całkiem świadomie zdaje się pomijać kwestię „wojny sprawiedliwej" jako rozważań prowadzących donikąd. Pokój żywi się pragmatyzmem i zużywa narody brakiem wielkich celów. Wojna zaś to gwałtowny impuls i „widowiskowe jądro życia politycznego", po którego zakończeniu zazwyczaj odzywają utopijne plany odnowy pokojowego ładu. Traktuje o tym wykład Gilberta Murraya „Arystofanes i Partia wojny. O krytyce wojny peloponeskiej z czasów tejże wojny", napisany w 1918 r. i apelujący do jego współczesnych o wysłuchanie Arystofanesa i wzniesienie się ponad imperialne aspiracje do budowy pokoju.

Należy więc dążyć do wiecznego pokoju czy uznać wojny za nieusuwalny element życia państw? W czasach presokratejskich, kiedy filozofia – jak przypomina Julien Freund – nie była „edukatorką zachowań pokojowych", nikt nie obmyślał świata bez wojen. To czas, gdy człowiek wiedział, że nie są ani dobre, ani złe – po prostu są wpisane w naturę życia. Także sięgając daleko w głąb historii, kultury i dziejów ludzkiego ducha, wojna jest obecna w religii i mitach, legendach i poezji. Mówi o niej „Iliada", a w Biblii jest narzędziem obranym przez Boga do ukarania ludzkiej niewierności.

Heraklit, empirycznie próbując zrozumieć świat i człowieka, stwierdza, że „konflikt jest ojcem wszystkiego". On również nie głosi pochwały wojny, lecz rozpoznaje ją jako stały element „harmonii przeciwieństw". Według niego sprawiedliwość jest sposobem na regulowanie waśni, więc również niezgoda leży u podstaw wszelkiej sprawiedliwości. O bliskości Heraklita i Tukidydesa, ojca realizmu politycznego, pisze zaś francuski badacz Pierre Ponchon.



„Kronos", nr 1/2026, Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego

Łączy ich podobieństwo postawy intelektualnej: nieufność wobec tradycyjnych wierzeń i czerpanie wiedzy z doświadczenia, dające zdolność trzeźwej oceny sytuacji politycznej. Autor „Wojny peloponeskiej" nakazuje, by opierać analizę na faktach oddzielanych od przekazywanych opinii („przyczyną najprawdziwszą jest ta, o której najmniej się mówi"), rachunku sił, przyjmowaniu świata w jego nieustannej niestabilności i chaosie. Ponchon stawia hipotezę, że narodzinom politycznego realizmu towarzyszy właśnie doświadczenie wojny jako wydarzenia centralnego w świecie, w którym „pierwszą i permanentną rzeczywistością polityczną jest wojna", a pokój – najwyżej pozorem i pustym słowem.

Ponchon zderza jednak Heraklita i Tukidydesa z idealistycznym namysłem Platona, który odrzuca konflikt jako zasadę polityczną, a filozofię traktuje jako sztukę czynienia obywateli lepszymi. Dokonując – przynajmniej do czasów Machiavellego – wielkiego zwrotu w historii myśli. Wojna przestaje być czymś naturalnym – wojna zewnętrzna jest jedynie koniecznością, na którą należy się przygotowywać, a w swym najgorszym i najgwałtowniejszym przejawie jako wewnętrzna wojna domowa, zasługuje tylko na potępienie. Należy jej unikać za wszelką cenę. Także w realiach współczesnej demokracji to wielkie zło, gdy wzajemna nienawiść wkracza do wnętrza naszego państwa. Gdy nieustanne walki prowadzą ze sobą partie polityczne oraz coraz bardziej zaciekłe w swoich namiętnościach masy.

Tak czy inaczej – jak przekonuje Nikołaj Bierdiajew – wojny doświadczamy jako „tragicznej grozy życia". Jest odbiciem ludzkiej niedoskonałości i taką musimy ją zaakceptować. Lecz także pamiętać, że zarówno pacyfizm, jak i militaryzm to postawy fałszywe. Również polski filozof Wincenty Lutosławski, choć wierzył w idee budowy lepszego, powojennego świata, głosił ideę wojny, która przynosi dobre owoce. Wiedział, że gdy narasta przemoc i zbrodnia, jedynym wyjściem jest wojna, że do pokoju nie prowadzi droga pozbawiona konfliktów, bo „pokój trzeba wywalczyć".

eprasa.pl b306bac7a5





HITY i KITY ZAREMBY

Gdy Łęcka klnie jak szewc

Wyścig dwóch filmowych wersji „Lalki" rozpoczęty. Serial Netfliksa w reżyserii Pawła Maślony zapowiadano jako rehabilitujący Izabelę Łęcką. Chyba nikt się jednak nie spodziewał, że Paweł Demirski napisze zupełnie nową historię

Historię, która z powieści Bolesława Prusa bierze jedynie część postaci i główny wątek: uczucia kupca Stanisława Wokulskiego do arystokratki Izabeli Łęckiej. Co nie oznacza, że pokazuje go tak jak w książce. Wokulski nie jest romantycznym adoratorem, a dość bezwzględnym stalkerem, wprost handlującym przyszłą żoną najpierw z jej ojcem, a potem z nią samą. Z kolei Izabela to nie pusta lalka, lecz niezależna kobieta, interesująca się emancypacją swojej płci.

Nawet jeśli w serialu pojawiają się zdarzenia podobne do tych z powieści (pojedynek Wokulskiego z Krzeszowskim, licytacja kamienicy Łęckich), zawsze skręcają w innym kierunku. Dwa ostatnie odcinki, zrealizowane w konwencji krwawego thrillera, są już całkiem dopisane.

Wielu postaci nie ma, a Wokulski i jego przyjaciel Ignacy Rzecki są odarci ze swoich biografii, związanych z polskością. Stary subiekt – tu postać jak z kabaretu – nie walczył w Wiośnie Ludów, nie jest bonapartystą, ma za to romans ze służącą. To konsekwencja podejścia: choć pojawia się zarzut, że scenariusz lepiej traktuje kobiety niż mężczyzn, trudno tu w zasadzie wskazać bohaterów jednoznacznie sympatycznych. Może poza pisarką Orzeszkową i jej przyjaciółką lekarką, przedstawionymi jako emancypantki, co istotnie trąci mocno naciągniętym ideologicznym przesłaniem.

Wszystko jest tu drapieżniejsze niż w książce, naładowane klasowymi zderzeniami i społeczną grozą. Skądinąd nie zawsze aż tak jednoznaczne, jak to wynika z niektórych krytyk. Łęcka, owszem, pale o emancypacji, ale jest pełna arystokratycznych uprzedzeń. To połączenie tworzy nawet ciekawą, choć mocno fantastyczną postać. Serial ma kilka efektownych filmowo scen. Ma świetne role (Jacek Braciak jako Tomasz Łęcki), a Tomasz Schuchardt jest wręcz wymarzonym Wokulskim.

Nie miałbym nic przeciw nakręceniu przez Maślonę serialu pod tytułem, powiedzmy, „Wokulski i Izabela", który podejmowałby polemikę z wizją Prusa. Tytuł brzmi jednak „Lalka". Tak zatytułowany serial w Polsce musi się lepiej sprzedać. Dekonstruowanie wciąż popularnej powieści, a jednocześnie zasłanianie się jej popularnością, uważam za nadużycie.

A gdy oceniać samą fabułę... To się dzieje niby w XIX w., mamy efektowną scenografię Joanny Machy i kostiumy Doroty Roqueplo, również widoczki Warszawy z tamtej epoki. Tyle że realia są traktowane z postmodernistyczną dezynwolturą: scena, w której pijana Izabela wiesza się na szyi Wokulskiego (tu jakby na chwilę w nim zakochana), jest nieprawdopodobna.

Takich nieprawdopodobieństw jest mnóstwo, a język pobrzmiewa współczesnymi zwrotami. Symboliczne jest tu zatrzęsienie wulgaryzmów. Klną arystokraci, klnie Wokulski i Rzecki, klnie nawet Izabela. Ma to, zdaje się, unowocześniać, więc przybliżać nam przekaz, a staje się nieznośną manierą.

O serialu chce się wypowiadać prawie każdy, co potwierdza znaczenie powieści dla Polaków. Nowa „Lalka" ma zaprzysięgłych zwolenników, którzy przypisują krytykom drętwotę i konserwatyzm. Zideologizowany Krzysztof Varga cieszy się w „Newsweeku" z oburzenia prawicy. Ale ten serial zaatakowali Tomasz Lis, Paulina Młynarska, a Wojciech Orliński, dawna gwiazda „Wyborczej", pyta, czy Demirski przeklina, bo cierpi na zespół Tourette'a.

Podziały są już bardziej pokoleniowe, choć też nie zawsze. Spytałem młodego aktora zakochanego w „Lalce", czy oglądał serial. „Nie mam czasu na złą kulturę" – odpowiedział.

Piotr Zaremba

Fot. Netflix

Co począć wobec podłej większości?

Teatr Telewizji pokazał „Wroga ludu" Henrika Ibsena. Uderza prostota tego utworu – to społeczno-polityczny plakat, wyzbyty niuansów i komplikacji. A zarazem stawia pytanie podstawowe

Małgorzata Bogajewska, dyrektorka Teatru Ludowego w Krakowie, wyreżyserowała w telewizji dramat norweskiego autora z 1882 r. nieco ponad rok po „Wizycie starszej pani" Friedricha Dürrenmatta. W obu sztukach mamy ten sam problem: lokalną społeczność, która daje się skorumpować.

Tak naprawdę ten wątek stale nam towarzyszy. Dr Thomas Stockman chce przestrzec, że wody uzdrowiska, z którego żyje miasto, są zatrute. Podobny motyw znajdziemy w „Ludziach bezdomnych" Stefana Żeromskiego. Ale odnajdziemy go również w tak popularnej produkcji jak film „Szczęki" Stevena Spielberga. Tam mieszkańcy amerykańskiego kurortu nie chcą ostrzegać gości przed rekinem ludojadem, bo to pozbawi ich zysków.

Początkowo wydaje się, że Stockman znajdzie sojusznika w wolnej prasie. Ale gazeta „Goniec ludu" przechodzi na stronę burmistrza, kiedy pojawia się wizja strasznych kosztów przebudowy wodociągu. Na zebraniu mieszkańców lekarz zostaje sam, zakrzyczany. Stawia więc pytanie: czym jest demokracja? Czy większość może się okazać nikczemna?

W tzw. postscriptum reżyserka twierdziła, że to obraz „rządów populistycznych". Ale to nieprawda. To obraz każdych rządów demokratycznych, kierujących się „pragmatyzmem". Na dokładkę Stockman, na skutek intrygi swojego bogatego teścia, jest odbierany jako ktoś, kto wywołał awanturę dla własnej korzyści. W finale mówi, że najsilniejszy jest człowiek, który został całkiem sam.

Ibsen buduje czarno-białą antynomię: przyzwoita jednostka kontra podła zbiorowość. To schemat, więc dramaturgicznie sztuka wydaje się aż za prosta. Ale zarazem dotyka kluczowego pytania, na które nie ma dobrej odpowiedzi. Inscenizacja Bogajewskiej jest pozbawiona ozdobników, niemal „paradokumentalna". Grają świetni aktorzy: Piotr Franasowicz (Stockman), Łukasz Lewandowski (burmistrz), Adam Ferency (wydawca), Grzegorz Małecki (dziennikarz), w tle miga Krzysztof Globisz.

Fot. Teatr Syrena



PO CO ZOSTAĆ DRAG QUEEN?

Teatr Syrena trzyma formę. „Wszyscy mówią o Jamiem" to musical efektowny, buzujący emocjami, świetnie zagrany. Takie są zwykle inscenizacje Agnieszki Płoszajskiej. A jednak samą fabułę porównam do uniesień rodem z socrealizmu

Najpierw był reportaż telewizji BBC. Opowiadał o Jamiem Campbellu, chłopaku z brytyjskiego Sheffield, który upierał się, aby na bal maturalny iść w stroju drag queen. Oczywiście wygrał tę batalię – logika czasów. Potem w 2017 r. teatr w Sheffield wystawił musical o Jamiem. Autorem libretta jest Tom MacRae, muzyki – Dan Gillespie Sells.

Ten spektakl obiegł cały świat. Teatr Syrena uczynił z niego zdarzenie szczególne, reklamując również jego przesłanie. Z tekstu musicalu nie dowiemy się, skąd pomysł na życie w roli drag queen. Są pewne tropy: odrzucenie przez ojca, brak czytelnej perspektywy życiowej. W ramach szkolnego planowania karier Jamiemu wyznacza się rolę kierowcy wózka widłowego. Autor libretta przekonuje nas, że przebieranie się za kobietę nie oznacza zmiany płci ani preferencji homoseksualnej, choć Jamie, nazywany gejem, nie zaprzecza.

Tak samo było w innym modnym musicalu – „Kinky Boots" warszawskiego Teatru Dramatycznego. Dowiadywaliśmy się, że główny bohater w roli kobiety szuka buntu przeciw despotycznemu ojcu. Między obiema produkcjami jest jednak różnica.

W „Kinky Boots" przebieranki były rodzajem zabawy, dowodem na to, że główna postać jest barwna i radzi sobie w życiu. We „Wszyscy mówią o Jamiem" najważniejsza drag queen tłumaczy młodemu bohaterowi, że to nie zabawa, lecz walka. Walka o co? Zapewne o zasadę, opiewaną w „Kinky Boots" piosenką „Możesz być tym, kim chcesz". Rozumiem, że Jamiego utwierdza w tym przekonaniu mama, która ma tylko jego. Ale czy my również musimy pląsać w rytmie tego przeboju?

Autorzy musicalu i spektaklu tak uważają. Pojawiają się wprawdzie krótkie wątpliwości. Muzułmańska koleżanka szkolna Jamiego zastanawia się, czy nie robi on wokół siebie za wiele szumu. Ale pytania zaraz znikają. Jak w spektaklu socrealistycznym wszyscy po kolei uginają się przed logiką postępu: surowa nauczycielka czy szkolny kolega homofob. Zgodnie z realiami w szkole są muzułmańskie dziewczyny, im także okazuje się pełną sympatię. Pytanie, czy gdyby byli tam muzułmańscy koledzy, wykazaliby wyrozumiałość dla fanaberii Jamiego.

Role są przednie, Krystian Embradora (w dublurze z Kubą Szyperskim) gra miękko, sentymentalnie, ładnie śpiewa. Tak jest to napisane. Ale przez tę miękkość nie znikną moje wątpliwości co do tego, jaki ma być świat planowany w tym spektaklu.

Krokodyle w Europie



Informacja o wykluciu się krokodyli nilowych pod koniec tego lata we Francji jest istotnym powodem do zastanowienia się nad ewentualnymi konsekwencjami przyrodniczymi tego zjawiska i przyjrzenia się tym gadom. Dlaczego? Bo są one osobliwymi stworzeniami, nawet w tak zróżnicowanym świecie przyrody



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Choć do udanych lęgów krokodyli w Europie dochodziło już niejednokrotnie, wyjątkowość akurat tego zdarzenia jest bardzo znacząca – te krokodyle wykluły się nie w inkubatorze, lecz po prostu w piasku, czyli tak jak w naturze. Wprawdzie stało się to w hodowli, ale najciekawsze jest, że gatunek tego wielkiego afrykańskiego gada, mającego specyficzne wymagania klimatyczne, znalazł w kraju europejskim – słusznie kojarzącym się z zającami, jeleniami, a z gadów jedynie z jaszczurkami i wężami – odpowiednie warunki, aby jego jaja nie przemarzły, zarodki się rozwinęły i w końcu wykluły się młode.

To zaś oznacza ni mniej, ni więcej, że jeżeli zapłodniona samica krokodyla znalazłaby się tego lata na południu Francji poza hodowlą, jej lęg miałby duże szanse na zapoczątkowanie pierwszej europejskiej populacji krokodyli. A rachunek prawdopodobieństwa pokazuje, że koincydencja takiej samicy z piaszczystą śródziemnomorską plażą Starego Kontynentu i gorącym latem nie jest wykluczona.

CORAZ CIEPLEJ, CORAZ BLIŻEJ

Jeszcze ciekawsze jest, że krokodyl nilowy to gatunek afrykański, wymagający naprawdę ciepłego, wręcz gorącego klimatu – nawet krótkie spadki temperatury mogą sprawić, że zakopane w piasku jaja obumierają. Temperatura podłoża konieczna do tego, by lęg się udał, musi być odpowiednio wysoka – z reguły nieco powyżej 30 st. Celsjusza (to sporo, bo mówimy o cieple w głębi gruntu, nie na jego powierzchni) – oraz stała przez dłuższy czas. By to zapewnić, krokodyle kontrolują temperaturę i mogą ją regulować w pewnym zakresie, nie poradziłyby sobie jednak z nagłym oziębieniem, nawet kilkustopniowym – dla nas nieznacznym, dla nich – kluczowym.

Wrażliwość rozwijających się jaj jest tak duża i tak specyficzna, że zmiana ich temperatury o jeden stopień przesądza o tym, czy wyklują się samce, czy samice, albo czy przy spadku o jeszcze jeden stopień jaja będą puste.

Najistotniejsze w tej historii jest więc nie samo wyklucie się krokodyli, lecz wystąpienie odpowiednich warunków, które pozwoliły, żeby to nastąpiło. Okazało się, że w Europie są już takie klimaty, krokodylki to udowodniły. Czy z czasem pojawią się na wolności? Niewykluczone, tym bardziej że nie wszystkie gatunki tych gadów wymagają tak ściśle określonych warunków termicznych jak krokodyle nilowe. Spokojnie, nad Wisłą aż tak ciepło nie jest.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b306bac7a5





GAWIALE, KROKODYLE, ALIGATORY I KAJMANY

Krokodyle – rozumiane w sensie systematyki zoologicznej, a więc jako rząd gadów – obejmują ponad 20 gatunków występujących w Australii i Oceanii, Azji, Afryce i w obu Amerykach. Do rzędu należą trzy rodziny: gawialowate, aligatorowate i krokodylowate.

Gawialowate obejmują dwa rzadkie gatunki azjatyckie, w tym słynnego gawiala gangesowego, niemal wymarłego olbrzymiego gada, dorastającego do 7 m długości. Cechą odróżniającą krokodyla gawialowego i gawiala od innych krewnych z pozostałych dwóch rodzin jest bardzo długa i nieproporcjonalnie wąska paszcza, będąca doskonałym narzędziem do chwytania śliskich ryb.

Z kolei krokodylowate odróżniają się od aligatorowatych – przynajmniej jeśli chodzi o cechy widoczne na pierwszy rzut oka – paszczą. Jeżeli jest zamknięta, u krokodyli zęby są widoczne, u aligatorów – nie.

Wśród krokodylowatych znajdziemy największe gatunki. Jednym z nich jest krokodyl nilowy (*Crocodylus niloticus*). Występuje w Afryce, w tym – zgodnie z nazwą – w dolinie Nilu, choć w tej rzece dużo mniej licznie niż chociażby jeszcze w XIX w. Dorasta do ponad 6 m długości i może osiągnąć 1 t masy ciała. Jak chyba żaden inny gatunek krokodyl nilowy jest źródłem opowieści obrastających legendami, lecz często bazujących na faktach – przykładem historia gada o imieniu Gustaw. Przez dziesiątki lat swojego życia, polując w wodach Burundi, pożarł podobno kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset osób. Dokładnie nie wiadomo, tak jak nikt nie wie, czy wciąż żyje – w każdym razie pogłoski o jego śmierci nigdy nie zostały definitywnie potwierdzone.

Jeszcze większe bywają krokodyle różańcowe (*Crocodilus porosus*). Zamieszkują wody południowo-wschodniej Azji, Oceanii i Australii i są zdolne nie tylko do przeżycia w słonej wodzie, lecz także jako jedyne krokodyle regularnie odbywają dalekie, liczące dziesiątki lub setki kilometrów morskie podróże.

Do rodziny aligatorowatych zaliczają się aligatory i kajmany, gady występujące w obu Amerykach, i gatunek azjatycki, bardzo rzadki na wolności – aligator chiński. Przyjrzyjmy się jednemu spośród aligatorów.

ALIGATOR MISSISIPSKI

Aligator missisipski (*Alligator mississippiensis*) to gad warty szczególnej uwagi w kontekście rozważań o zmianie zasięgu gatunków. Występuje w Ameryce Północnej, zasiedlając nie tylko południowe rejony tego kontynentu, jak Luizjana czy Floryda, lecz także sięgając wzdłuż Wschodniego Wybrzeża całkiem daleko na północ, do takich stanów jak Wirginia, Północna Dakota, a nawet mającego już wyraźnie północny charakter Maryland.

Poznanie biologii i zwyczajów aligatora missisipskiego dostarcza bardzo intrygujących informacji. Np. potrafi on ryczeć, co jest unikalną zdolnością wśród krokodyli. Ryk aligatora missisipskiego brzmi rzeczywiście groźnie, nie mniej niż filmowe ryki dinozaurów. Niskie tony powodują drgania gruntu, co potęguje efekt grozy, a dla aligatorów jest dodatkową formą komunikacji. Inną cechą charakterystyczną, wyróżniającą te gady spośród pozostałych przedstawicieli rzędu, jest zdolność – jakkolwiek niewiarygodnie by to nie brzmiało – do przetrwania w przypadku zamarznięcia wody.







Nie są to przypadki odosobnione, lecz normalny element przystosowania do życia w strefie świata wysuniętej na tyle daleko na północ, że zamarzanie wody nie jest tam czymś wyjątkowym, lecz zjawiskiem występującym przynajmniej w miarę regularnie.

I choć aligator missisipski nie przetrwałby długotrwałego, naprawdę silnego mrozu, to może przeżyć wiele dni nawet wtedy, gdy powierzchnię wody zetnie lód – rzecz zupełnie nie do pomyślenia w przypadku jakiegokolwiek innego gatunku krokodyla.

Wówczas aligator ten wystawia nozdrza ponad powierzchnię lodu, by móc oddychać (krokodyle bowiem, chociaż mogą wytrzymać długi czas pod wodą, mają płuca i oddychają – podobnie jak my – powietrzem atmosferycznym). Zapada również w rodzaj hibernacji. W przeciwieństwie do wielu innych gadów dzięki wykorzystaniu metabolizmu potrafi przy tym podnieść temperaturę ciała, nie jest więc zwierzęciem, które można by nazwać w pełni zmiennocieplnym. Przygotowany w ten sposób krokodyl, wystawiając ponad lodową taflę jedynie nozdrza, może bez żadnej szkody przeżyć wiele dni, aż lód stopnieje i woda ociepli się na tyle, że będzie mógł wrócić do aktywnego życia i polowania.

* * *

Rozważania o krokodylach zaczęły się od krokodyla nilowego, gatunku ciepłolubnego, w zasadzie tropikalnego, który mimo to tego lata w europejskim kraju znalazł odpowiednie warunki, by z jego jaj wykluły się młode, chyba po raz pierwszy bez urządzeń wspomagających, inkubatorów, podgrzewania i innej pomocy człowieka. Jeżeli do początku dodać zakończenie, a więc aligatora missisipskiego, lubiącego ciepło, lecz znoszącego w razie potrzeby czasowe zamarzanie powierzchni wody, wówczas pojawienie się w bliższej lub nieco dalszej perspektywie czasowej dzikiej europejskiej populacji któregoś z krokodyli nie wydaje się fikcją.

Fot. Shutterstock



JASIEK PIWOWARCZYK*

Szervuuusz Węgry!

Chwilę temu na jego profilu ukazał się wpis: „SZERVUUUSZ [czyt. Serwus]! Dzisiaj spełniło się jedno z moich małych marzeń – wydaję swój pierwszy utwór po węgiersku! Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że kocham Węgry, ich kulturę i język!! Czuję, że Węgry to mój drugi dom, dlatego postanowiłem [...] stworzyć SZERVUSZ HOUSTON – zmadziaryzowaną wersję HALO HOUSTON! Słowa do piosenki przetłumaczył mój węgierski przyjaciel". Wpis zakończyło życzenie: „Jó étvágyat!".

Debiutancki singiel „Halo Houston" to jeden z przebojów minionego lata w Polsce (ponad milion odsłuchań). Dosłownie na dniach ukazał się kolejny utwór – „Obłoki". Tymczasem spytaliśmy Jaśka Piwowarczyka o jego madziarską miłość.

– Po raz pierwszy wyjechałem na Węgry z wycieczką gimnazjalną. Do Budapesztu. Zakochałem się wtedy w tym mieście, jego architekturze i historii. Potem, w Liceum Sióstr Prezentek, mieliśmy wymiany ze szkołą w Veszprém – jeździliśmy tam z chórem szkolnym. W trakcie jednego z takich wyjazdów zaprzyjaźniłem się z rodziną, u której mieszkałem, i zacząłem regularnie wracać na Węgry.

Pierwszym słowem, którego się nauczyłem, było „sötétítőfüggöny" (mocno nas bawiło jego brzmienie), czyli „gruba zasłona nocna". Później, ponieważ zawsze lubiłem języki, na własną rękę zacząłem uczyć się węgierskiego. Okazał się wcale nie taki trudny i „kosmiczny".

Węgrzy cieszą się, kiedy ktoś próbuje komunikować się z nimi w ich ojczystym języku i są niezwykle pomocni. Zaskakujące jest też, że niektórzy z nich całkiem dobrze mówią po polsku, choć nie mają bezpośredniego związku z Polską. To chyba jeden z największych dowodów na przyjaźń między naszymi krajami.

Od prawie 10 lat jeżdżę na Węgry co roku, a zdarza się, że nawet kilka razy w roku.

Poznałem dużą część środkowych i zachodnich Węgier, przede wszystkim region Wyżyny Balatońskiej, czyli tzw. Balaton-felvidék. Oprócz Budapesztu, w którym byłem już niezliczoną liczbę razy, odwiedziłem Eger, Miskolc, Győr, Székesfehérvár, Pécs, Sopron i wiele innych miejscowości. Chyba najbliższe mojemu sercu jest Veszprém i region Gór Bakońskich. To właśnie tam zaczęła się moja węgierska przygoda i tam mieszkają moi przyjaciele. Veszprém to miasto węgierskich królów, niezwykle urodziwe i klimatyczne.

Dwa lata temu, dzięki stypendium udzielonemu przez Instytut im. Wacława Felczaka, stworzyliśmy z moim zespołem Hulajdusza i węgierskimi przyjaciółmi album, na którym nagraliśmy polskie i węgierskie utwory ludowe w dwóch wersjach językowych, w bardziej uwspółcześnionych aranżacjach. To był moment, w którym poczułem, że chciałbym również śpiewać i tworzyć po węgiersku.

Mam bardzo przyjemny odzew na SZERVUSZ HOUSTON. Wielu węgierskich znajomych pisało do mnie prywatnie, że podoba im się tekst i piosenka. Widzę też dużą obecność Węgrów w mediach społecznościowych. Bardzo mnie to cieszy.

Dlaczego wpis zapowiadający madziarską wersję singla zakończyłem życzeniem „Jó étvágyat!" („Smacznego")? Bo to sympatyczny zwrot, który w samym brzmieniu jest baaardzo węgierski. Chciałem, żeby po prostu dobrze się słuchało tego utworu.

A kuchnię węgierską uwielbiam! Trudno stwierdzić, co najbardziej, bo jest niezwykle bogata. Sam w domu próbuję pichcić po węgiersku – m.in. pörkölt, gulyásleves czy bogrács. Miłośnikom kuchni Madziarów polecam świetną książkę Tadeusza Olszańskiego z przepisami, a także bardzo dobrze opisaną tradycją i kulturą kuchni węgierskiej – „Nobel dla papryki".

Gdybym mógł w najbliższym czasie – prywatnie, dla relaksu – pojechać na Węgry, wybrałbym okolice Egeru, Park Narodowy Gór Bukowych. To przepiękne miejsce na spokojny wypoczynek – z naturą, malowniczymi miasteczkami, dobrym jedzeniem i pysznym winem.

A moje najnowsze „Obłoki" chyba najlepiej zabrzmiałyby na łące albo w lesie. Opowiadają o zawieszeniu między tym, co sobie wymarzyliśmy i do czego dążymy a jednak niekiedy trudną rzeczywistością. Myślę, że łono natury jest idealnym miejscem do takich przemyśleń i zadumy.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Zwycięzca 16. edycji „The Voice of Poland"*

Fot. K. Wyżyński

eprasa.pl b306bac7a5



Tymbaliki z sandacza

ANNA MONICKA

Kocham morze jesienią. Powodów jest kilka. Niemal puste plaże, na których tylko gdzieniegdzie wygrzewają się ludzie, to jeden z nich. Można godzinami spacerować na wietrze, słuchać szumu fal, którego nie zakłócają wrzaski i skoczne melodyjki. To naprawdę oczyszcza głowę. Piasek jest jeszcze ciepły, miło masuje stopy. Można podziwiać mewy, żeglujące w przestworzach, oraz kormorany, szukające wytchnienia na falochronach i suszące skrzydła na słońcu. Każdy ma swoje ulubione miejsca nad Bałtykiem, ale mnie najbardziej ciągnie do kameralnego o tej porze roku Dźwirzyna. Mam do niego sentyment – wiele lat temu byłam tu z przyjaciółmi pod koniec września. Nie wybudowano jeszcze wtedy w okolicznych lasach tylu wypasionych apartamentowców, mieszkaliśmy nad ukrytą wśród sosen kawiarenką, już zamkniętą, a po prawdziwki do sosu śmigaliśmy na wydmy. Na obiady niezmiennie chodziliśmy do portu. Nigdy nie jadłam tak pysznych dorszy, a w pobliskiej wędzarni zawsze kupowałam soczyste i pięknie pachnące karmazyny.

Teraz również odwiedziliśmy ulubioną knajpkę U Lecha. W sezonie stoi tam zwykle długa kolejka niecierpliwiących się turystów. Teraz o stolik nie trzeba się bić, a na jedzenie czeka się raptem kilka minut. Zupa rybna doskonale rozgrzewa po spacerze na wietrze, na wynos jest pyszny tatar z łososia, śledzie i ryby w galarecie. Tym razem skusiłam się na sandacza – pyszne, chude białe mięso, doskonale przyprawione lekko kwaskowatą galaretką. Wizyty tutaj zawsze inspirowały mnie do eksperymentowania we własnej kuchni. Nie inaczej było teraz.

Po powrocie do domu kupiłam sandacza i zabrałam się do robienia tymbalików. Moja babcia często przygotowywała to danie, ale z delikatnego, białego mięsa kurczaka. Najpierw gotowała bulion warzywny na włoszczyźnie, z listkiem laurowym i zielem angielskim, doprawiony solą i pieprzem. Gdy był już gotowy, a warzywa miękkie, wyjmowała je, a do wywaru wkładała mięso z piersi. Ja ugotowałam pokrojone na kawałki filety sandacza. Gdy zbieleją na wolnym ogniu, mniej więcej po 10–12 minutach, trzeba je wyjąć i ostudzić, a bulion przecedzić, żeby był klarowny. Dodajemy do niego żelatynę (najpierw trzeba ją zalać zimną wodą, by napęczniała, a potem wymieszać, by się rozpuściła). Mięso wkładamy do filiżanek z plasterkami marchewki, gałązkami kopru i kawałkami cytryny, po czym zalewamy bulionem. Studzimy i wkładamy do lodówki. Podajemy z chrzanem lub cytryną.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Dynie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chyba najciekawszą perspektywą, z jakiej można spojrzeć na dynie, jest kwestia ich ścisłych związków z amerykańską megafauną plejstocenu.

Naturalny zasięg dyń, tworzących botaniczny rodzaj *Cucurbita*, liczący ok. 20 znanych gatunków (nie biorę oczywiście pod uwagę obecnie hodowanych odmian uprawnych), obejmuje w przybliżeniu tereny od południa Ameryki Północnej, poprzez Amerykę Centralną, a następnie – trzymając się łańcucha Andów – aż po mniej więcej środkowe części Ameryki Południowej.

Pierwotnie zasięg tych ciekawych roślin był prawdopodobnie znacznie mniejszy. Rozprzestrzenianie się nasion ograniczał ich rozmiar, tym bardziej że kryją się one w dużych i ciężkich owocach o bardzo grubej i twardej skórce. To cechy ograniczające możliwości rozprzestrzeniania.

Nie zapominajmy jednak o jeszcze jednej właściwości dyń: dużej ilości smacznego miąższu. Ta cecha – kumulacja konkretnej ilości pożywienia w wielkiej kuli, obok której rosną kolejne, czekające na zjedzenie – sprawiła, że dynie przyciągały uwagę mamutów, mastodontów, gliptodontów, mylodontów i megatherium. Najwięksi roślinożercy i wszystkożercy niezapomnianych czasów plejstocenu jedli – oczywiście między innymi – dynie, a te wędrowały wraz z nimi. Częściowe nadtrawienie łupiny, czasem jej mechaniczne uszkodzenie przy przeżuwaniu i użyźnienie odchodami miejsca dokonanego mimochodem siewu ułatwiało kiełkowanie nasion i powstanie kolejnego stanowiska dyń.

Po wielkich ssakach plejstocenu ich rolę przejęli ludzie, świadomie poszerzając zasięg występowania dyń poprzez ich uprawę – najpierw w obrębie Ameryk, a później na całym świecie.

Kto wie, być może pradawnego centrum dyń można szukać w Meksyku i Gwatemali. To tam zaczęto uprawiać wiele spośród roślin, które później zrobiły na świecie zawrotną karierę i które jemy do dziś (chociaż np. ziemniaki pochodzą z Andów, z rejonu boliwijsko-chilijsko-peruwiańskiego).

Niewykluczone, że nigdy nie poznamy najdawniejszej historii dyń. W każdym razie już po plejstocenie dynie wraz z kukurydzą i fasolą stały się w Ameryce Centralnej podstawą upraw zwanych milpa, tradycyjnych, stosujących ciekawe rozwiązania i kultywowanych do dziś.

eprasa.pl b306bac7a5

3 MIŁOŚCI

Suwerenizm



ROBERT TEKIELI

Polacy uważają, że obowiązkiem Zachodu jest udzielenie nam bezwarunkowej pomocy w chwili rosyjskiego ataku. Polacy nie uważają, że naszym obowiązkiem jest bezwarunkowa pomoc zaatakowanej Estonii, Szwecji czy Finlandii. Skoro chcemy stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce, powinniśmy – również we własnym interesie – wysłać prewencyjnie nasze wojsko na Bornholm i do Estonii. „Nie wolno tego robić" – podburza naród agentura. Polacy powinni jednak toczyć wojnę poza terenem Polski, najlepiej na terenie Rosji, aby nie pozwolić, by Chełm stał się Irpieniem czy Buczą. Kto zabiega o bezpieczeństwo w konfrontacji ze stepową dziczą, musi ryzykować, a nie chować się w szafie.

Rosyjskie boty i rosyjska agentura wpływu w Polsce – oszczędźmy nazwisk tych pożytecznych idiotów, profesorów i polityków – wzmacniają naturalny strach, który budzi w Polakach zaangażowanie się w wojnę. Tyle że ta wojna już trwa i jesteśmy w nią zaangażowani. Kto chce pamiętać, ten pamięta płonące hale targowe, zagłuszanie sygnału GPS, naruszenia przestrzeni powietrznej przez wrogie samoloty, niszczenie kabli na dnie Morza Bałtyckiego. Rosjanie podpalają, niszczą, wystrzeliwują na teren Polski rakiety z głowicami bojowymi. Rozumieją zaś wyłącznie język siły. Wyłącznie.

Pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na błędy. Niestety nasi politycy mają mentalność niewolnika: „Polska zawsze będzie krajem peryferyjnym. W naszym interesie jest rezygnacja ze snów o podmiotowości. Jesteśmy wewnętrzną gospodarką Niemiec, wywijanie szabelką to samobójstwo" – to Bartłomiej Sienkiewicz. Niemcy są „naszym mentorem" – to już Adam Bodnar. A jeśli zwierzątko zostanie oswojone, to nie można go później porzucić.

Czy w Polsce, leżącej pomiędzy Waszyngtonem, Berlinem a Moskwą, może zrodzić się suwerenny ośrodek polityczny i przejąć władzę? Pokolenie 40-latków wielokrotnie głosiło piórami swych publicystów, że generacja, z której wywodzą się politycy od dekad rządzący Polską, jest niezdolna do osiągnięcia stanu wewnętrznej suwerenności. Czy to pokolenie samo jest wystarczająco suwerenne duchowo? Wkrótce będziemy to wiedzieć.

Abyśmy zachowali podmiotowość i suwerenność, w polskiej polityce musi się dokonać suwerenistyczny przewrót. Tylko w ten sposób w kształtującej się nowej architekturze europejskiej Polska może znaleźć miejsce adekwatne do jej sił i aspiracji. Czasy są niespokojne. Wiedzą to ojcowie rodzin i ojcowie narodów. Gorzej, gdy rodziny nie mają ojców, a narody – mężów stanu.

Donald Tusk przez osiem lat swoich poprzednich rządów realizował plan zwijania polskiego państwa, zmniejszenia liczebności naszej armii, likwidacji garnizonów i dywizji w Polsce Wschodniej. Teraz robi to samo

Nasze przetrwanie zależy od jakości elit. Elity samolubne, niedojrzałe i głupie nie są w stanie sprostać trudnym czasom. Polska wypatruje przywódcy na miarę interreksa, Prymasa Tysiąclecia.

Jeśli Rzeczpospolita chce przetrwać, musi prowadzić politykę jak Niemcy, jak Rosja, jak Turcja, jak Francja, jak Wielka Brytania, jak USA, jak Izrael, jak Iran. Być może trzeba będzie wycofać się z przekazania Unii Europejskiej części naszej suwerenności.

Dziś nie można bawić się w europejskie wojsko, w militarne fikcje. Dla władców Europy zagrożeniem są Europejczycy protestujący przeciwko polityce migracyjnej, rosnącym podatkom, zielonym ładom. Projekt armii europejskiej zaczerpnięto z komunistycznego manifestu z Ventotene, będącego projektem europejskiego superpaństwa proletariatu. Armia ta miała służyć do tłumienia niepokojów wewnętrznych, których Altiero Spinelli, twórca manifestu, spodziewał się w sytuacji, gdy „dyktatura partii rewolucyjnej stworzy nowe superpaństwo, a wokół niego – nową, prawdziwą demokrację", oczywiście: demokrację jak my ją rozumiemy.

Euroarmia ma również umożliwić wyparcie USA z kontynentu i dogadanie się z Rosją naszym kosztem.

Polska potrzebuje czasu, by zbudować własne siły zbrojne zdolne do odstraszania Moskwy. Jedynym państwem, którego Rosjanie się boją, są Stany Zjednoczone. Potrzeba nam właśnie tego sojusznika. Budowanie alternatywy – sojusz z Niemcami i Francją w miejsce relacji atlantyckich – jest działaniem samobójczym. Bliskie relacje z USA to dla nas opcja najlepsza z możliwych. Ale bez podległości. Musimy rosnąć gospodarczo i zbroić się, by uniezależnić się od Stanów Zjednoczonych Ameryki i Stanów Zjednoczonych Europy. Musimy grać na największą szansę. Quislinga trzymajmy w piwnicy.

Gen. Kowalski, wiceszef BBN, ostrzegał niedawno przed spadkiem nastrojów proamerykańskich, uznając to za wynik jednej z największych kognitywnych operacji specjalnych w naszym

eprasa.pl b306bac7a5



kraju: „Wyjęcie pierwiastka amerykańskiego jest absolutnym samobójstwem strategicznym dla Polski".

Powołanie w Warszawie rządu, który uczyni z Polski ośrodek krystalizacji sojuszu państw zagrożonych bezpośrednio inwazją Rosji, stanowi dziś naszą rację stanu. Polityka premiera Donalda Tuska i ministra Radosława Sikorskiego jest antyamerykańska oraz podporządkowana Niemcom i Francji, które chcą wypchnąć Stany Zjednoczone z Europy i odnowić relacje z Rosją. Rząd w Warszawie konsekwentnie działa przeciwko interesowi narodowemu. Boję się, że bez krwawego wstrząsu Polacy się nie obudzą.

Donald Tusk przez osiem lat swoich poprzednich rządów realizował plan zwijania polskiego państwa, zmniejszenia liczebności naszej armii, likwidacji garnizonów i dywizji w Polsce wschodniej. Teraz robi to samo.

Putin chce przywrócenia sfery wpływów Moskwy z czasów ZSRR, wycofania NATO z krajów Europy Wschodniej za linię Odry, a jego celami w Polsce są redukcja polskiej armii i demilitaryzacja połowy naszego kraju na wschód od linii Wisły.

Wyobraźmy sobie następujący przebieg zdarzeń: Ukraina zawiera jakiś rodzaj pokoju czy zawieszenia broni z Moskwą, 12 miesięcy później rosyjskie wojska atakują Łotwę lub Estonię. Co robi Paryż? Co robi Londyn? Co robi Berlin? Handlują Polską. Bo bez USA w rozgrywce z Moskwą Europa realnie nic nie może.

Rosja może być gotowa do konfliktu zbrojnego z NATO w ciągu roku od zakończenia wojny z Ukrainą, a rozbrojona Europa w ciągu najbliższych siedmiu, ośmiu lat nie będzie posiadać zdolności militarnych do odstraszania agresywnej Federacji Rosyjskiej. Oznacza to, że w chwili zamrożenia konfliktu na Ukrainie staniemy się kartą, którą Berlin, Londyn i Paryż będą płacić Moskwie za własne bezpieczeństwo. Jeśli Ukraina wpadnie w ręce Rosji, strefa zgniotu przesunie się na zachód. Polska stanie się państwem buforowym. Napięcie militarne przeniesie się znad Dniepru nad Wisłę.

A dlaczego Putin musi kontynuować wojnę? Bo jeśli okaleczone wojsko wróci z frontu do Rosji, straci władzę. Powtórzy się sytuacja z 1905 czy 1917 r. Stalin uniknął tego scenariusza, bo zostawił armię w NRD, PRL i innych krajach bloku sowieckiego.

Rodzącemu się planowi zakończenia wojny na Ukrainie towarzyszy w najlepszym razie szerszy zamysł podziału wpływów w Europie Wschodniej między Stany Zjednoczone a Federację Rosyjską. Tylko taki układ może zapewnić naszemu regionowi pokój na następne dziesięciolecia. Ważne, po której stronie czerwonej linii się znajdziemy.

Moskwa może skończyć jako chiński protektorat, może ruszyć na Zachód. Może również wspólnie z Niemcami zwasalizować kraje Międzymorza, w tym Polskę. O to toczy się bój, z którego wydają się nie zdawać sobie sprawy polskie elity. I polski naród, skoro do dziś nie zmienił władzy na patriotyczną i suwerenistyczną. Zdolną do obrony swoich interesów wobec Waszyngtonu, jak Turcja czy Izrael.

Nasz naród już dawno temu przestał strzec swojego serca i umysłu. Dziś połowa polskiej klasy politycznej działa w obcym interesie. Co drugi Polak głosuje na polityków działających przeciwko polskiej suwerenności i niepodległości. Prezydent Nawrocki wygrał mniej niż 400 tys. głosów. Polskie państwo jest bezradne wobec obcych wpływów. Czy jest coś, co może wyrwać nas z tej pułapki?

Musimy przywrócić suwerenności debaty publicznej nad Wisłą. Potrzebny jest nowy ład medialny. Polonizacja mediów. Trzeba przygotować linię argumentacji prawnej, aby zakazać istniejących mediów, agresywnych wobec polskiej racji stanu. Trzeba prawnie zakończyć działalność w Polsce postliberalnych i marksistowskich organizacji pozarządowych. Obca ingerencja w polskie sprawy musi się skończyć. Nasza ojczyzna wymaga wielkiej pracy instytucjonalnej i wspólnototwórczej oraz wielkiej modlitwy i duchowego wysiłku.

Tęsknimy za mężami stanu, za arystokracją duchową, za kimś, kto formatem duchowym, klasą moralną i umysłową przypominałby naszych największych: księcia Adama Czartoryskiego, Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Wincentego Witosa czy Ignacego Paderewskiego. Narodowe morale, narodowy duch jest pochodną sumy wszystkich naszych codziennych decyzji. Przyszłość Polski zależy od każdego z nas.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b306bac7a5

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Tusk nie odpuszcza



www.wojciechreszczynski.pl

Z każdym dniem rośnie silna opresja rządu Donalda Tuska wobec społeczeństwa polskiego. Jest to możliwe dzięki bezprawnemu przejęciu mediów publicznych (telewizji, radia, PAP), prokuratury, licznym zmianom w kierownictwie sądów powszechnych oraz wsparciu działających w Polsce zagranicznych mediów, popierających jego liberalno-lewicowe rządy. Tusk nie tylko zadłuża i okrada państwo polskie z majątku oraz likwiduje wszelkie szanse rozwoju, lecz także okrada nas z poczucia bezpieczeństwa – wspólnotowego i osobistego. Ma pełne przyzwolenie elit UE, co tylko zwiększa jego poczucie bezkarności.

Siłowe przejęcie Trybunału Konstytucyjnego ma nas pozbawić suwerenności państwowej i podporządkować Polskę centralistycznym planom Berlina i Brukseli. Trybunał obsadzony przez ludzi Tuska chce wprowadzić nadrzędność prawa UE nad polską konstytucją i zalegalizować bezprawie trzech lat rządów koalicji 13 grudnia. Kluczową postacią jest tu prezes TK Bogdan Święczkowski, który w lutym 2025 r. złożył w prokuraturze zawiadomienie o ustrojowym zamachu stanu rządu Tuska. Tak poważna sprawa nie znalazła żadnego zrozumienia w politycznej prokuraturze, a kolejnym przejawem zamachu ustrojowego okazała się lipcowa interwencja policji w TK. Policja została wezwana przez sędziów TK, Marcina Dziurdę i Krystiana Markiewicza, dlatego że nie zostali wpuszczeniu do budynku Trybunału. Na miejsce wezwano też prokuratora. To kolejny dowód, że ustrojowy zamach stanu jest kontynuowany. Policja nie miała podstawy prawnej do interwencji, a prokurator – do udziału w niej.

Przypominam to wydarzenie dlatego, że siłowe przejęcie TK wciąż jest bardzo prawdopodobne. Gromadzący się przed Trybunałem ludzie dobrze wiedzą, w czyich rękach są bezwolne policja i prokuratura, która ściga teraz dyrektora Kancelarii TK i komendanta Straży Trybunalskiej za to, że przestrzegając prawa, nie dopuszczają do pracy sędziów, którzy nie stali się formalnie sędziami TK.

Wrogie przejęcie Trybunału Konstytucyjnego przyspieszy frontalny atak na urząd Prezydenta RP, któremu Tusk z Czarzastym chcą odebrać władzę, oraz na NBP w celu wprowadzenia euro. „Ja osobiście wyprowadzę tego człowieka z banku" – mówił Tusk w kampanii wyborczej o prof. Adamie Glapińskim.

Te i inne zapowiedzi Tuska należy traktować śmiertelnie poważnie. Stoi za nim liberalna, lewicowa i postkomunistyczna oligarchia oraz zmanipulowana wrogimi Polsce mediami 38-proc. opinia publiczna, wspierająca KO. 14 proc. z nich nienawidzi własnego kraju, a 24 proc. ma Polskę tam, gdzie cudowne dziecko KO – cyniczny, chciwy, młody lekarz Dawid Kacprzyk – ma aferę w Szpitalu Południowym. Tusk dał tym ludziom władzę, wiedząc, że przyspieszą upadek państwa w jego dotychczasowej demokratycznej formie. To dlatego jesteśmy również okradani z naszej kultury i tradycji, czego ostatni przykład stanowi haniebny serial „Lalka", nadawany przez lewacką sieć telewizyjną Netflix.

Polska ma poważny problem z ekipą Tuska i tylko gremialny sprzeciw obywateli może zatrzymać ten bandycki układ. Niestety patriotyczna strona nie ma organizacji, stowarzyszeń, fundacji, które jak za rządów Tuska – centralnie sterowane i opłacane – mogły wywlec na ulice ludzi, masowo protestujących pod hasłem obrony konstytucji, kobiet, mniejszości seksualnych i innych. Dziś ich nie widać, bo cele te realizuje obecna władza. Aby nie być gołosłownym, dzisiejszy dzień (23 września) przyniósł dwa poważne wydarzenia.

Wolne media ujawniły, w jaki sposób RPO Monika Horna-Cieślak doprowadziła do odebrania rodzicom dwojga dzieci – wbrew sądowi, kuratorowi i początkowo policji. Kierowała się osobistą zemstą na ich matce, która ponoć niegrzecznie zareagowała na jej uwagi w sprawie zachowania wobec jej dziecka. Tego dnia zatrzymano również Piotra Matczuka, komentatora TV Republika, i dyrektor Annę Plakwicz z Kancelarii Prezydenta RP. Chodzi o śledztwo w sprawie działalności Polskiej Fundacji Narodowej, w tym rzekomych nieprawidłowości podczas kampanii „Sprawiedliwe sądy", co miało miejsce dziewięć lat temu. A idzie o zastraszenie dziennikarzy i wyciągnięcie aktualnych informacji mających na celu obciążenie prezydenta i TV Republika.

Warto pamiętać (wiadomość z portalu Niezależna.pl), że prokuratura, przeszukując w 2017 r. dom Macieja Berka (sekretarza Tuska w Radzie Ministrów w latach 2008–2015), zabezpieczyła protokoły z narady Donalda Tuska z Jerzym Millerem na temat katastrofy smoleńskiej. Sprawę nielegalnego przetrzymywania dokumentów państwowych umorzono po zmianie władzy w 2024 r. Jak widać, prokuratura, jeśli chce, to potrafi działać. Rzecz w tym, czy zgodnie z prawem i słusznym interesem Polski, czy na polityczne zlecenie. Ale tę kwestię muszą rozstrzygnąć we własnym sumieniu wszyscy prokuratorzy.

O tym, że ten zawód jest obciążony dużym ryzykiem, przekonał się ostatnio prokurator Jan Drelewski, który wytoczył akt oskarżenia przeciwko Sławomirowi Nowakowi. Solidnie udokumentowane wątki korupcji, której dopuścił się Nowak, spowodowały, że najpierw odwołano Drelewskiego z pionu ds. przestępczości zorganizowanej, a potem wytoczono mu postępowanie dyscyplinarne. Dziś prokurator jest oskarżonym, a były minister transportu Nowak, zaufany Tuska, osobą pokrzywdzoną. „Kasta" – jak Tusk – nie odpuszcza swoim wrogom.

eprasa.pl b306bac7a5

Samuraje „Prosiaka”



Andrzej Rafał Potocki

Ostatnio było głośno o rzekomym raporcie CIA, który został doręczony do rąk własnych premiera RP. Jak zwykle okazało się, że jest jak w Radiu Erewań. Nie w Moskwie, tylko w Petersburgu, nie samochody, tylko rowery i nie rozdają, tylko kradną. Ale jeden taki raport rzeczywiście trafił do mediów, lecz nie był to ten, o którym mówił Donald Tusk. Według ustaleń hiszpańskiego dziennika „El Mundo” CIA ostrzegła europejskie rządy przed możliwą operacją Kremla z użyciem dronów. Informacje mają dotyczyć potencjalnego scenariusza moskiewskiego ataku na terytorium państw NATO. Według informacji przekazanych europejskim rządom drony mogłyby zostać przewiezione drogą morską i ukryte w kontenerach znajdujących się na statkach handlowych. W takim scenariuszu bezzałogowce byłyby transportowane w pobliże wybrzeża, a następnie mogłyby zostać uruchomione z pokładu. Taki sposób działania utrudniałby wcześniejsze wykrycie miejsca, z którego miałby rozpocząć się atak. W operacji mogłyby zostać wykorzystane rosyjskie drony typu Gerbera. Potencjalne cele to Hiszpania, Francja i Włochy, gdzie w 2027 r. odbędą się kampanie wyborcze i wybory. W opinii brytyjskiego analityka Keira Gilesa nie musi być przypadkiem, że w analizowanym scenariuszu pojawiają się właśnie państwa położone na południu Europy. To całkiem realny scenariusz, ponieważ kraje Europy Zachodniej panicznie boją się wszelkich niekonwencjonalnych ruchów Moskwy. Jak w Radiu Erewan: „Nie w Polsce, a na południu Europy... etc.”.

Fot. Andrzej Wiktor

Rzeczywistość jedno, a Kierwiński drugie. Dalej straszy apokalipsą w wydaniu Moskwy. Ostatnio minister roztoczył kolejny czarny scenariusz dla naszego kraju. „Ukraina przegrywa wojnę i ekspansja rosyjska może postępować dalej” – powiedział szef MSWiA, zwany „Pogłosem” lub „Bobasem”, jak kto woli. Kierwiński ma nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. I pointa, do której zmierzał. Otóż pan „Pogłos” sądzi, że „wszyscy rozumieją, jak bardzo konieczne jest wspieranie Ukrainy, aby obroniła się przed Rosją”. Zapewne po to, by przygotować grunt pod oddanie kolejnych nielicznych rakiet PAC-3 MSE Ukraińcom do wyrzutni Patriot. Ponoć rząd ma cichą umowę z Zełenskim, żeby Kijów przepuszczał rakiety i pociski samosterujące lecące w stronę granicy z Polską, by zwiększyć u nas poczucie zagrożenia i skupiać ludzi wokół przysłowiowej flagi. Diabeł jedyny wie, czy to prawda, ale w założeniach nawet by się zgadzało.

Według ostatnich ustaleń „Rzeczpospolitej”, która powołuje się na nieoficjalne informacje rządowe i wojskowe, Polska ma przekazać Ukrainie kolejny pakiet broni. Doniesienia te w dużej mierze potwierdził wiceminister obrony narodowej Stanisław Wziątek. Pakiet pomocowy o wartości ok. 50 mln euro skupia się przede wszystkim na amunicji 20 mm do działek M61 Vulcan, używanych w F-16. Rzeczona amunicja jest dziś niezbędna ukraińskiemu lotnictwu, ponieważ tamtejsi piloci oszczędzają droższe pociski AIM-9 i AIM-120, zwalczając część moskiewskich dronów działkami pokładowymi. To jeszcze ujdzie w tłoku, ale kompletnie niezrozumiałe jest przekazywanie Ukrainie również pocisków do systemów Patriot. Postaw się, a zastaw się, albo raczej boso, ale w ostrogach.

11 stycznia 2025 r. podczas działań bojowych w obwodzie kurskim żołnierze ukraińskich Sił Operacji Specjalnych z Grupy Taktycznej nr 84, działający wspólnie z jednostkami wojsk powietrznodesantowych, schwytali dwóch bojców z Korei Północnej. To bardzo trudna sztuka, ponieważ żołnierze Kim Dzong Una, zwanego „Prosiakiem”, walczą do końca i swoistą sztuką jest pojmanie ich żywych. Nawet w tej sytuacji nie obeszło się bez napięć. Jeden z koreańskich żołnierzy po schwytaniu próbował odebrać sobie życie. Nie podano, w jaki sposób, ale nie można wykluczyć próby podejścia do rytualnego seppuku, tyle że bagnetem, a nie krótkim mieczem używanym przez samurajów – tantō. Według relacji pojmanych wojskowych obaj należeli do struktur Biura Rozpoznania Generalnego przy Sztabie Generalnym Koreańskiej Armii Ludowej. Jeden z jeńców, 26-letni żołnierz o nazwisku Ri, miał pełnić funkcję zwiadowcy i snajpera. Drugi, 21-letni Paek, był żołnierzem piechoty. Musieli się ciężko zdziwić, jak wylądowali w Korei Południowej, bo tam ich odesłano. Po kilku latach, gdy ochłoną, będą się pukać w głowy, jak mogli kiedyś myśleć.

Współpraca: „Skipper”

eprasa.pl b306bac7a5

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Jad



Aleksander Nalaskowski

W polskiej polityce od lat trwa osobliwy konkurs. Nie na to, kto przedstawi bardziej przekonujący projekt państwa, nie na to, kto potrafi spokojniej wyjaśnić obywatelom trudną decyzję, lecz na to, kto skuteczniej nazwie przeciwnika źródłem wszelkiego zła. Zamiast sporu argumentów coraz częściej dostajemy pojedynek etykiet. Zamiast odpowiedzialności za słowa – polityczną kalkulację. Zamiast rozmowy o państwie – nieustanne sączenie jadu. W tym ostatnim nikt chyba nie prześcignie Tuska i Giertycha. Warto zauważyć, że nie mają oni swoich odpowiedników po prawej stronie.

Szczególnie niepokojące jest to, że język pogardy zaczyna być traktowany jako normalny instrument sprawowania władzy. Od dawna granica między ostrym sporem a systematycznym odczłowieczaniem przeciwnika zaciera się. Polityczny konkurent przestaje być po prostu konkurentem. Staje się „problemem", „zagrożeniem", „wstydem", kimś, kogo nie trzeba już przekonywać, lecz należy napiętnować. A najlepiej zutylizować. To niezwykle bolszewickie. Niestety.

I właśnie tutaj zaczyna się rzecz naprawdę poważna. Bo demokracja nie polega na tym, że wszyscy się lubimy. Również nie na tym, że każdy ma rację. Polega na tym, że człowiek, którego poglądy uważamy za błędne, pozostaje naszym współobywatelem. Ma prawo głosu, ma prawo krytykować władzę i ma prawo oczekiwać, że państwo nie będzie traktowało jego przekonań jak moralnej skazy i powodu represji. Wydaje się to oczywistością, ale życie zdaje się wskazywać, że wcale takie nie jest.

Tymczasem polityczny przekaz coraz częściej budowany jest według schematu: my jesteśmy po stronie normalności, oni są problemem. My bronimy państwa, oni je niszczą. My reprezentujemy przyszłość, oni należą do przeszłości, my to Europa, a oni to zaścianek. Brzmi znajomo?

Skoro przeciwnik jest z definicji zły, po co dyskutować z jego argumentami? Skoro jego wyborcy zostali przedstawieni jako ofiary propagandy, po co traktować ich obawy poważnie? Skoro każda krytyka może zostać opisana jako obrona „starego układu", „interesów partyjnych" albo politycznej patologii, po co odpowiadać na konkrety? To właśnie jest mechanizm politycznego jadu. Często działa subtelnie. Powtarza określone skojarzenia (np. „alfons") tak długo, aż zaczynają zastępować argumenty. Wtedy do głosu dochodzi pogarda. A kiedy staje się ona codziennością, społeczeństwo zaczyna dzielić się nie według tego, jakie ma poglądy na podatki, gospodarkę, bezpieczeństwo czy edukację, lecz według tego, kogo uważa za człowieka godnego rozmowy. Jest bowiem różnica między ostrym sporem a przekonaniem, że przeciwnik nie zasługuje na szacunek.

Historia polskiej polityki dostarcza aż nadto przykładów, że pokusa pogardy dotyka różnych środowisk. Problem jest szerszy: politycy odkrywają, że gniew mobilizuje skuteczniej niż rozsądek, a konflikt przyciąga większą uwagę niż spokojne tłumaczenie. Polityk, który mówi spokojnie, często przegrywa z tym, który potrafi w ciągu kilkunastu sekund wskazać wrzaskiem kolejnego wroga. W tym wszystkim spoiwem jest jad. W efekcie powstaje polityka permanentnego napięcia. Każdy dzień musi mieć przeciwnika. Każde posiedzenie parlamentu musi mieć skandal. Każda wypowiedź musi być natychmiast wykorzystana jako amunicja. A przecież państwo nie działa dzięki efektownym konferencjom prasowym. Działa dzięki instytucjom, prawu, administracji, przedsiębiorcom, nauczycielom, lekarzom, żołnierzom, policjantom, pracownikom samorządów i milionom obywateli, którzy rano wstają do pracy niezależnie od tego, jaki polityczny spektakl właśnie oglądają w telewizji.

Dlatego warto patrzeć na polityczny język nie tylko przez pryzmat tego, co politycy mówią, lecz także tego, po co to mówią. Czy próbują wyjaśnić problem? Czy mobilizują własny elektorat? Czy sącząc jad, odwracają uwagę od niewygodnego tematu? To nie jest kwestia sympatii partyjnych. To kwestia jakości debaty publicznej.

Polityka bez emocji byłaby zapewne niemożliwa. Polityka bez konfliktu również. Ale polityka bez odrobiny szacunku do własnych obywateli staje się niebezpieczną farsą.

Bo obywatel nie jest pionkiem w partyjnej rozgrywce. Nie jest „ciemnym ludem", „fanatykiem", „betonem" ani żadną inną etykietą, którą akurat wygodnie przykleić. Jest człowiekiem, który może jednego dnia popierać jedną partię, a następnego zmienić zdanie. Może mieć konserwatywne poglądy w jednej sprawie i liberalne w innej. Może nie zgadzać się z rządem, ale jednocześnie nie być jego wrogiem. Może krytykować opozycję, a mimo to nie być jej przeciwnikiem. I właśnie tę prostą prawdę warto dziś przypominać.

Politycy przychodzą i odchodzą. Partie zmieniają nazwy, koalicje się rozpadają, programy są przepisywane, a wyborcze hasła trafiają do archiwów. Państwo pozostaje.

Jeśli przez lata buduje się przekonanie, że druga połowa społeczeństwa jest niegodna rozmowy, nie można później ze zdziwieniem pytać, dlaczego społeczeństwo jest tak głęboko podzielone. Jad polityczny nie zatrzymuje się bowiem na sejmowej mównicy. Spływa niżej.

Do rodzinnych stołów. Do miejsc pracy. Do szkół. Do internetu. Do rozmów między ludźmi, którzy jeszcze niedawno potrafili się różnić, nie traktując się wzajemnie jak wrogowie. A kiedy politycy sączą ten jad wystarczająco długo, wszyscy zaczynamy nim oddychać. I zapominamy, że kiedyś było inaczej.

eprasa.pl b306bac7a5

***Michał Korsun** prezentuje:*
Sąd: TW „Bolek" był analfabetą



Wycinki z przeszłości

Przedwojenna Warszawa skrywała niejedną tajemnicę. W 1930 r. „Expres Zagłębia" donosił o „Klubie samotnych panien": „Do tajemniczego klubu należą panie z towarzystwa, wprowadzane z pewną ceremonją, przysięgą itd.". Spotkania obejmowały „seanse spirytystyczne, narkotyzowanie itp.". Sprawą zainteresowała się policja, gdy córka znanego przemysłowca trafiła do lekarza po tym, jak „w pewnem miejscu paliła chińską fajeczkę".

(sp)


EXPRES ZAGŁĘBIA

Klub samotnych panien.

Najnowsza sensacja stolicy.

Policja wpadła na ślad istnienia w Warszawie klubu pod nazwą „Klub samotnych panien". Do tajemniczego klubu należą panie z towarzystwa, wprowadzane z pewną ceremonją, przysięgą i t. d. Klub mieści się w mieszkaniu jednej z założycielek, jakiejś starszej panny. Co kilka dni urządzane są tam zebrania, na których odbywają się seanse spirytystyczne, narkotyzowanie itp. Każda z uczestniczek klubu obowiązana jest do absolutnej dyskrecji o tem, co w klubie się dzieje.

O instytucji tej niktby się nie dowiedział zapewne, gdyby nie wypadek z córką znanego przemysłowca w Warszawie, p. Ł.

Otóż p. Halina Ł. pewnego wieczora wróciła do domu blada, zmęczona i zdenerwowana. Wezwano lekarza, który po zbadaniu chorej orzekł, że jest ona zatruta narkotykiem, prawdopodobnie opium. Po dłuższych indagacjach p. Halina przyznała, że w pewnem miejscu paliła chińską fajeczkę. Dodała, że jest to jakiś klub. Ojciec o tem zawiadomił władze policyjne.

Burmistrz Wiednia wygwizdany.

Z WOLEJA

Herrenvolk



Ryszard Czarnecki

Rok 2025. Berlin. Wielki turniej piłkarski dla dzieci i nastolatków (od U-9 do U-15). Blisko 1,4 tys. uczestników z 8 krajów. Miejsce: obiekty klubu S.C. Berliner, ale organizatorem są Polacy. To firma, która od lat organizuje takie amatorskie zawody dzieciaków nie tylko w naszym kraju, lecz także na Węgrzech, w Czechach, Austrii, Słowenii, we Włoszech i Hiszpanii. Niemcy zgadzają się, aby ze względu na charakter imprezy – dla dzieci i młodzieży – udostępnić boiska za darmo. Przed samym turniejem zmieniają zdanie i każą Polakom sporo zapłacić. Tuż przed przyjazdem pierwszych drużyn zarządzający obiektami Niemiec żąda od polskiej firmy 6 tys. euro ekstra, inaczej grozi, że zamknie bramę i nikogo nie wpuści. Nasi rodacy są w sytuacji bez wyjścia, zgadzają się i proszą o numer konta do przelewu. Wówczas Niemiec żąda, aby pieniądze były w gotówce, czyli do jego kieszeni. Szantaż i łapówka. Ów międzynarodowy turniej odbył się w Niemczech po raz pierwszy i ostatni. Polska firma uznała, że nie chce mieć nic wspólnego ze szwabskimi szantażystami, łapówkarzami i oszustami.

Rok 2025. Węgry. Miasto Siófok nad Balatonem. Znów międzynarodowy turniej piłkarski dla najmłodszych adeptów futbolu, od 9. do 15. roku życia. 1,5 tys. uczestników. Do finału U-15 dochodzi polski klub Dąb Wieliszew i Niemcy z VfL Pirna-Copitz 07. Wygrywają nasi. Po meczu zwycięskie dzieciaki się cieszą. Teutoni nie mogą znieść porażki. Ich trener uderza w tył głowy młodego Polaka, popycha następnego. Wreszcie każe naszym dwóm dzieciakom... klęknąć i przeprosić go. Interweniuje polski trener i rodzice. Wybucha awantura. Przyjeżdża węgierska policja. Okazuje się, że zachodni sąsiedzi nie potrafili turnieju wygrać, a także go przegrać. Polacy, Węgrzy i pracujący przy turnieju Austriak są oburzeni chamstwem i niezmiennym poczuciem wyższości Niemców.

O tym w mediach nie informowano. Było natomiast o zwycięstwie 3:0 Biało-Czerwonych nad Niemcami w ćwierćfinale siatkarskich mistrzostw Europy. To w ramach odwiecznych porachunków.

Mówi się, że sport pokazuje charakter ludzi. Ich determinację, wytrwałość, pracowitość, cierpliwość, upór, serce do walki, postawę „fair play" – lub ich brak. To samo dotyczy jednak całych narodów. Niektóre – jak się okazuje – przenoszą do rywalizacji sportowej to, co praktykują/praktykowali podczas np. wojen czy okupacji cudzego terytorium. Jak widać, dla niektórych pojęcie „Herrenvolku" („rasa panów") dalej obowiązuje.

eprasa.pl b306bac7a5



OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cyfrowa dżuma

Musimy do znudzenia powtarzać, że największym zagrożeniem jest wyścig technologiczny bez dostatecznych zabezpieczeń

Wśród książek wołających o uwagę na naszej półce stoi tom „Odległe zwierciadło, czyli rozlicznymi plagami nękane XIV stulecie". Wspaniałe dzieło Barbary W. Tuchman, wznowione przez wydawnictwo Prześwity.

Ta książka to nie tylko bogata, klimatyczna opowieść o epoce, w której miała miejsce „najtragiczniejsza klęska żywiołowa zanotowana w historii, a mianowicie Czarna Śmierć w latach 1348–1350, która zabiła [...] jedną trzecią populacji żyjącej między Indiami a Islandią". To również fascynujące studium reakcji społeczeństw na kryzysy.

ANALOGIA

Analogia między średniowieczną epidemią dżumy a możliwym wstrząsem wywołanym przez słabo kontrolowany rozwój sztucznej inteligencji intryguje.

Czarna śmierć była zagrożeniem nagłym, niewidzialnym, niezrozumiałym. Tuchman pokazuje, jak epidemia dżumy podważyła podstawy średniowiecznego porządku: medycyna okazała się bezradna, autorytety religijne utraciły część wiarygodności, a ludzie szukali wyjaśnień w demonologii, przesądach i teoriach spiskowych.

KTO ROZUMIE AI?

Przyglądając się sporom toczonym nawet tylko w gronie fachowców od uczenia maszynowego, widzimy ogromną rozbieżność ocen. Czy obecne modele już rozumieją język, czy tylko to imitują? Czy AI ma lub może mieć zalążki świadomości, czy wprost przeciwnie? Czy potrafimy ją dopasować do ludzkich wartości, czy nie? Czy w ogóle możliwe jest pełne bezpieczeństwo i kontrola nad AI, kiedy na kolejnych polach wyraźnie przekroczy ludzkie możliwości?

Skoro tak jest dla fachowców, to jak zareaguje większość społeczeństwa, np. gdyby AI zaczęła paraliżować cały Internet lub wyłączać (nieważne, czy celowo, czy przypadkiem) systemy energetyczne?

Przewidujemy, że zamiast rzeczowych analiz dominowałyby mity, tajemne rytuały, a więzi społeczne – jak w XIV w. – mogłyby zupełnie się rozpaść. A teorii spiskowych w nadmiarze mamy już od dawna. Przecież tzw. media społecznościowe to idealne narzędzia do szerzenia bzdur.

ULEC TAJEMNEJ SILE

W razie potężnego kryzysu możliwe jest masowe wyobrażanie sobie, że AI to autonomiczny byt, któremu koniecznie należy się podporządkować i zarazem błagać, by nas oszczędził.

Naturalne będzie również poszukiwanie kozła ofiarnego. W średniowieczu prowadziło to do prześladowań Żydów.

W kryzysie AI podobny mechanizm mógłby skierować gniew przeciwko inżynierom, liderom technologicznym, firmom rozwijającym sztuczną inteligencję. Złożony problem zostałby sprowadzony do prostego podziału na winnych i niewinnych, co sprzyjałoby eskalacji przemocy.

Czy analogia tak pesymistyczna, ale naszym zdaniem realistyczna, zgodna z wiedzą psychologii społecznej, daje przestrzeń na jakąś myśl, która byłaby pocieszająca?

ZASADA OSTROŻNOŚCI

Można w kółko powtarzać, że ludzkość nie musi czekać na katastrofę, by uruchomić mechanizmy ochronne. Że w odróżnieniu od dżumy AI jest wytworem człowieka. Że jest tworzona w ramach instytucji, które można kontrolować. Przecież można ograniczyć dostęp do mocy obliczeniowej, można odłączyć te systemy, których nie kontrolujemy, zakazać określonych zastosowań i wymagać niezależnych testów.

Ta garść proponowanych rozwiązań nawet wygląda rozsądnie, ale wiemy, że nie żyjemy w idealnym świecie przestrzegania reguł. Żyjemy w świecie globalnych interesów, gier, w których wszystkie chwyty są dozwolone. Jesteśmy zakładnikami splątanych biznesów, dla których liczy się zysk i monopol.

Ale nie mamy wyjścia. Jak dotąd nie mamy niczego lepszego niż coś, co nazywamy umową społeczną. Musimy do znudzenia powtarzać, że największym zagrożeniem jest wyścig technologiczny bez dostatecznych zabezpieczeń.

Już dziś potrzebna jest spokojna, wspólna i odpowiedzialna reakcja społeczna. Wystarczy poważnie potraktować zasadę ostrożności. Mówi ona, że gdy istnieje ryzyko poważnych lub nieodwracalnych szkód, a wiedza naukowa jest niepewna, należy powstrzymać się od działania lub zastosować środki minimalizujące ryzyko.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl b306bac7a5

wPolsce24

BUDZIMY SIĘ

CODZIENNIE O 6:40



ADAM GIZA

MAGDALENA WIERZCHOWSKA

Zacznij poranek w najlepszym towarzystwie

Zadbamy o to, by Twój dzień rozpoczął się od uśmiechu, ciekawych rozmów i najważniejszych informacji

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl b306bac7a5

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl b306bac7a5